

SIECI

MAREK BUDZISZ:

**WIELU EKSPERTÓW
PYTA, CZY WŁAŚNIE
NIE ZACZĘŁA SIĘ**

**III WOJNA
ŚWIATOWA?**

**KTO PŁACZE,
KTO ŚWIĘTUJE.
SEJMOWE POŻEGNANIA,
POWITANIA I POWROTY**

**SAK • MENTZER • BRAUN • TOMAN
RYJA • BOKOŁ • ZEMPLE**
KONFEDERACJA
- DLACZEGO GRAŁA TAK GŁĘPIO?

REPORTAŻ Z CZARNOBYLA
ŻADEN DZIENNIKARZ
NIE MA TAM DZIŚ WSTĘPU.
ALE NAM SIĘ UDAŁO

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 43 (569) 2023
23-29 października 2023

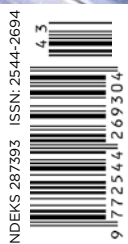
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

CO DALEJ PO WYBORACH

SAMOTNE

ZWYCIĘSTWO PiS

CZY WYNIK MÓGŁ BYĆ LEPSZY? CZY JEST SZANSA NA WIĘKSZOŚĆ?
CZY OPOZYCJA ZDOŁA SIĘ DOGADAĆ?



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Czy wiesz, jaka jest
ULUBIONA
GRA
POLAKÓW?



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl



Kto kogo oszukał

Radość Niemiec po wyborach w Polsce mówi wszystko. Nareszcie będą mogli przeprowadzać reformy UE bez żadnego sprzeciwu i upominania się o suwerenność poszczególnych krajów wspólnoty. Jeśli PiS nie zdoła utworzyć rządu, co jest niemal pewne, mają Polskę w kieszeni. Na własne życzenie Polacy jednego dnia zaprzepaścili dwie szanse: referendum, które mogło być silną blokadą przed realizacją szkodliwych dla nas rozwiązań, i większość rządzącą, która gwarantowała stabilizację i bezpieczeństwo. Wygrała socjotechnika i umiejętność manipulacyjnego sterowania emocjami. Jakże będą skutki?

Długofalowe i zapewne nieodwracalne. Już dziś słychać głosy, że za edukację ma odpowiadać Lewica. A to tylko jeden, mały element wielkiej układanki.

Konstytucja, demokracja i wolność to ulubione hasła opozycji, wykrzykiwane na wiecach i manifestacjach na przemian z „ośmioma gwiazdkami”. Jak traktują konstytucję i demokrację, widać było 15 października, gdy zmanipulowana część ludzi odmówiła sobie prawa do głosowania w referendum. Do dziś nie rozumieją, że dali się podejść politykom opozycji i liberalno-lewicowym mediom, a ta decyzja będzie godzić w ich własne interesy. Dokładnie w ten sam sposób rozumieją wolność. Zbuntowani, nakręcenii, podjudzeni wybrali kłamstwa Donalda Tuska, byle tylko odsunąć PiS od władzy. Przypomina się list Cypriana Kamila Norwida do Mariana Sokołowskiego z 27 lutego 1861 r., w którym pisze: „Czyn bez myśli, idei i prawdy jest niewolą albo służalstwem. [...] Poszukuj usilnie, skąd pomoc dla rzeczy publicznej i skąd niewola”.

PiS wygrało, ale nie zwyciężyło. Pokonało jednak Donalda Tuska o 5 proc. Mówienie o wygranej KO jest więc kłamstwem. Gdyby byli taką totalną opozycyjną jednością, startowaliby z jednej listy. Ponadto sama KO jest złożona z kilku podmiotów: Platformy Obywatelskiej, Nowoczesnej, Inicjatywy Polskiej i Zielonych. Cała kampania była grana na sprzeciwie wszystkich przeciwko PiS. Zaprzęgnięto do tego wszelkie środki finansowe, polityczne, medialne i zagraniczne. Presja była totalna. A jednak mimo tej potężnej spirali nienawiści, mimo użycia „ulicy i zagranicy”, mimo naturalnego zmęczenia dwiema kadencjami rządów – bardzo trudnych, bo obciążonych pandemią, wojną i światowym kryzysem, PiS zdołało zebrać ponad 30 proc. poparcia. W takich realiach to sporo, ale za mało,

by rządzić. Przy tak ostrej polaryzacji trudno mówić o znalezieniu koalicjanta. I pewnie wielu ludzi zadaje sobie to samo pytanie, co brytyjski dziennikarz, który nie potrafi zrozumieć wyborczej decyzji Polaków: „Prawo i Sprawiedliwość powstrzymało imigrację i stworzyła najlepiej prosperującą gospodarkę w UE. Czy ktoś potrafi wyjaśnić to szaleństwo?”.

Opozycja już się szykuje do przejścia władzy. Zaczyna od klótni i fundamentalnych rozbieżności programowych. Bo niby jak 11 skrajnie różnych światopoglądowo partii ma nagle sformułować spójny front? To jednak dalsza kwestia. Dla samego faktu przejścia władzy zrobią wszystko. Tusk tego dopilnuje, bo przecież musi się wywiązać z oczekiwań Brukseli. Pierwsze doniesienia są zatrważające. PO, która odpowiada za reset z Rosją oraz podporządkowanie polskiej polityki dyktatowi Berlina i Brukseli, ma przejąć resorty obrony, sprawiedliwości i finansów. Z kolei Lewica liczy na resort edukacji. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć kolejne scenariusze. Wystarczy doświadczenia z przeszłości.

Wolność i demokracja wygrały – mówią wielcy obrońcy demokracji, którym było duszno w „pi-sowskim reżimie”. Ublizało im, że rząd nie pytał, czy chcą 14. emeryturę i 500+. Ale teraz będzie już dobrze. Opozycja wyrówna krzywdy ubekom, podniesie wiek emerytalny, wielkodusznie sprowadzi nielegalnych migrantów, podporządkuje polskie prawo zaleceniom unijnym, zalegalizuje aborcję na żądanie, rozmontuje polską szkołę, wprowadzi programy seksualizacji dzieci, urządzi świeckie państwo, „opiłuje przywileje katolików”, zaprogramuje bolszewicki antyklerykalizm, nie będzie trwonić pieniędzy na pomoc przedsiębiorcom w sytuacjach kryzysowych, podniesie ceny paliw, które tak nieźnośnie obniżał ORLEN, zamknie kopalnię w Turowie i znów będziemy mogli z radością jeździć do Niemiec na zbiory szparagów, ciesząc się, że jesteśmy tęczowym, postępowym landem UE, zarządzanym przez Olafa Scholza, który oduczy nas „narodowego egoizmu”. A wszystko to w imię wolności! Skolonizowana mentalność niewolników w pełnej krasie. *Sapienti sat!* Norwid opisał to kiedyś tak: „Jak? chcecie, by się Wolność – słowo w rozszerzyła... / Jeśli i te wyrocznie, które prawdy głoszą, / Niewysłowne w sercach niewole ponoszą”.

Marzena Nykiel



24

Z Adamem Bieleńcem
rozmawia **Michał Karnowski**



44

Wielkie oczekiwania
Aleksandra Rybińska



48

Zmiana dobra, czyli
ciąg dalszy nastąpi
Andrzej Nowak

NA POCZĄTEK

- 6** SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** STOŁKI I TABORETY
Krzysztof Feusette
- 9** DROGA USŁANA KOLCAMI
Dorota Łosiewicz
- 10** ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12** SFALSZOWANE REFERENDUM?
Jan Pietrzak
- 12** PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort
- 13** DLACZEGO POLACY GŁOSUJĄ
WBREW SVOJEMU INTERESOWI?
Bronisław Wildstein
- 14** WALIZKA MONIKI MAJEWSKIEJ
Michał Korsun
- 16** OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 17** JAK DOTRZEĆ DO MŁODYCH
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** NIEZWYKŁE WAHANIA NASTROJÓW
Samuel Pereira

PO WYBORACH

- 20** PILNUJ POLSKI!
Jacek Karnowski
- 24** Z ADAMEM BIELEŃCEM
rozmawia Michał Karnowski
- 28** OBIECANKI CACANKI
Marek Pyza
- 32** DYLEMATY ZWYCIĘSKIEGO
LIDERA PLATFORMY
Jan Rokita
- 35** SEJMOWE POŻEGNANIA,
POWITANIA I POWROTY
Dorota Łosiewicz
- 38** TUSK CZY KOSINIĄK-KAMYSZ?
Stanisław Janicki
- 40** TRZECIA DROGA? NIEZUPEŁNIE
Konrad Kołodziejski
- 42** KONFEDERACJA DYSFUNKCJONALNA
Maciej Walaszczyk
- 44** WIELKIE OCZEKIWANIA
Aleksandra Rybińska
- 48** ZMIANA DOBRA, CZYLI CIĄG
DALSZY NASTĄPI
Andrzej Nowak
- 50** PO POLSKĄ MITOLOGIE
NA POCIESZENIE
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 52** LEKCJA Z HISZPANII,
CZYLI JAK PRAWICA ODRADZA
SIĘ PO KLĘSKACH
Małgorzata Wołczyk
- 56** CZY NIE ZAUWAŻYLIŚMY,
ŻE III WOJNA ŚWIATOWA
JUŻ WYBUCHŁA?
Marek Budzisz
- 60** CO PAN TU ROBI?
Andrzej Skwarczyński

HISTORIA

- 64** „TO BYŁA BOMBA”,
CZYLI REAKCJE NA WYBÓR
KAROLA WOJTYŁY NA PAPIEŻA
Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

- 67** ROMANTYK U PODSTAW
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69** ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba
- 70** ŻYCIE WYRZUCONE NA ŚMIETNIK
Robert Tekieli
- 71** WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli
- 72** CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

PODRÓŻE

- 74** MOJE SZLAKI: ANDREA BOCELLI
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 75** SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

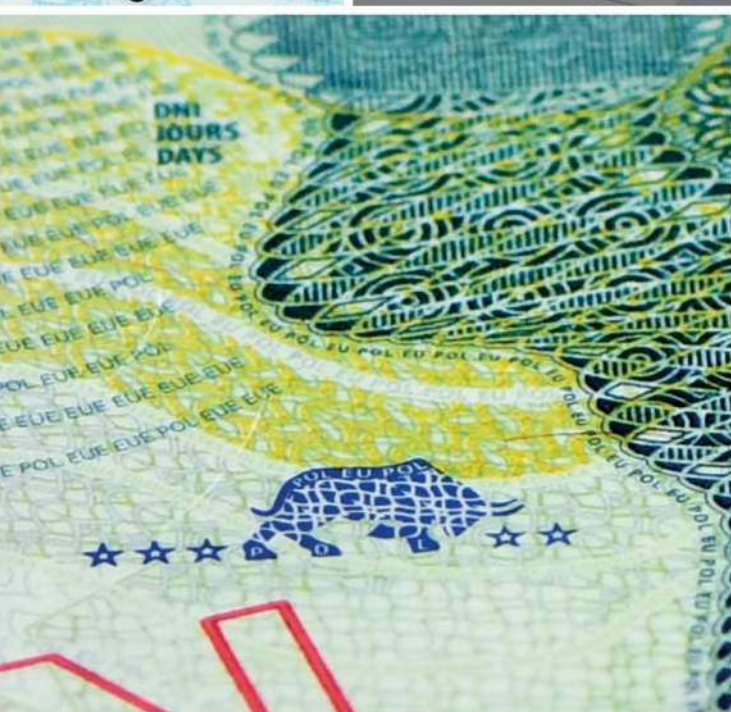
- 76** ONI NAS ZOBOWIĄZUJĄ
Alina Czerniakowska
- 78** JULKIZM
Wiktor Świetlik
- 78** „HONOR I OJCZYŻNA”
Lech Makowiecki
- 80** ŚMIESZNIE JUŻ BYŁO
Piotr Cywiński
- 80** OPERA NA TOROWISKU EUROPY
Adam Ciesielski
- 81** ŻEGNAJĄC STASZKA RADWAŃ
Leszek Długosz
- 82** CUDA NA KIJU
Katarzyna Zybortowicz



- KAR
1. Organ
 2. Nazwis
 3. Imię (I
 - 4a. Data p
 - 4b. Data w
 - 4c. Podmi
 - 5b. Nume
 6. Zdjęc
 7. Podp
 8. Adre



POLSKA WYTWÓRNA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH



TECHNOLOGIA DLA
BEZPIECZEŃSTWA



www.pwpw.pl

Sygnalista nadaje

Adam Borowski, znany działacz opozycji demokratycznej i niepodległościowej w PRL, tak opisał powyborczy krajobraz: „Niby wygraliśmy, ale to pyrrusowe zwycięstwo. Nie mogę pojąć, jak to możliwe, że na partię zdrady, która reanimowała komunistów, która chce ubekom naprawiać krzywdy, która chce zabijać dzieci nienarodzone, która atakuje Kościół zagłosowało ponad 30 proc. moich rodaków. Mam 69 lat i będę musiał patrzeć, jak zdrajcy, za zagraniczne pieniądze, pozbywają się suwerenności mojej Ojczyzny... i to pod szczytnymi hasłami ratowania wolności – jak w XVIII w. To ból nie do zniesienia. Miej Boże Polskę w opiece”. Wesóło nie jest, ale nie rozpaczajmy. Wciąż mamy więcej narzędzi i możliwości niż nasi przodkowie, próbujący ratować I Rzeczpospolitą. Przyjdą jeszcze piękne zwycięstwa.

Świeżo upieczony poseł KO **Michał Kołodziejczak** też deklaruje twardość, znaną z lat 30. ub.w. „Zwolnienie z pracy to dla nich byłaby nagroda, mogliby iść dalej. Oni przy czynili się jasno do tego, że społeczeństwo w Polsce jest skłócone. Oni muszą ponieść za to odpowiedzialność. [...] Ci ludzie muszą dobrowolnie poddać się karze, muszą przeprosić, muszą jasno powiedzieć, że kłamali i muszą później wypaść z obiegu medialnego” – tak mówi o dziennikarzach TVP, dodając: „Nie powinni znaleźć pracy w żadnych mediach w Polsce. Jestem zasadniczy, bezwzględny. Nie miałbym nigdy litości dla tych ludzi”. Kołodziejczak to jedność doskonała. Brzmi, jak wygląda.

Bartłomiej Sienkiewicz, również poseł KO, także chce igrzysk. „Jeśli nie rozliczymy tego rodzaju władzy, to znaczy, że w Polsce nie ma kary, czyli że wszystko wolno. [...] Co drugi mój wyborca mówił: »Zagłosuję na Was, ale jak Wy ich nie rozliczycie, to my was znajdziemy«. To jest bardzo wyraźne przesłanie. Polacy oczekują sprawiedliwości” – mówił w stacji TVN. Gdy przystąpią do rozliczania, okaże się, że nic nie mają w ręku. Wówczas, rozpędzeni, zaczną prześladowania z powodów politycznych. I to będzie początek ich końca.

Senator elekt KO **Adam Bodnar** ocenia, iż „nie ma żadnej gwarancji, że prezydent Andrzej Duda nie będzie wetował ustaw przyjętych przez nowy parlament”, w związku z tym opozycja „musi się przygotować na coś w rodzaju polityczno-prawnych szachów”. Jak będą one wyglądały? „Jeżeli za jednym razem się nie uda, prezydent będzie wetował, to musimy ustawę uchwalić, może odrobinę zmodyfikować, jeszcze raz” – mówi Bodnar. Ciekawy pomysł. Prezydent też może za każdym razem zmodyfikować swój podpis pod wetem.

Bodnar próbuje też kusić prezydenta Andrzeja Dudę pomocą w uzyskaniu stanowiska po zakończeniu kadencji. „Trzeba zadać prezydentowi pytanie, jakie pan prezydent ma plany na siebie, także po zakończeniu swojej kadencji – czy chce kontynuować misję osoby, która ma dobre relacje ze światem, w kontekście wojny w Ukrainie, czy być może chce być tylko i wyłącznie politykiem służącym interesowi odchodzącego obozu władzy”. Sugestia czytelna. Ale czy osobie tak etycznie wzmożonej jak pan

Była wataha i szarańcza.
Teraz Marek Belka postanowił pójść jeszcze dalej! Były premier, były prezes NBP, ale i były działacz PZPR, wypowiedział takie oto słowa:
„Wyborcy partii demokratycznych nie będą tolerować w spółkach Skarbu Państwa ludzi, którzy byli nominatami politycznymi. Nie będziemy dzielić włosa na czworo i zastanawiać się, kiedy będziemy mieli odpowiednią liczbę fachowców służby cywilnej, zdolnych do przejścia urzędów. Należy zrobić szybkie odszczuranie”. Nie dopowiedział, czy za pomocą trutki, czy bardziej drastycznych metod znanych z historii.

Bodnar przystoi składanie propozycji, które można uznać za coś w rodzaju korupcji politycznej?

» Jak wynika z oficjalnych wyników podanych przez Państwową Komisję Wyborczą, w gminie Bogatynia PiS uzyskał 39,30 proc. poparcia, a trzy komitety opozycyjne (Trzecia Droga, Lewica, KO) otrzymały łącznie 49,12 proc. A przecież to rządy Zjednoczonej Prawicy od lat walczyły o możliwość utrzymania wydobywania węgla w kopalni Turów, na którą nastawały rząd Czech, Komisja Europejska i TSUE. Nie zrobiło to jednak wrażenia na mieszkańcach gminy Bogatynia oraz powiatu zgorzeleckiego. Uznano tam, że lepszym wyborem od PiS będą partie opozycyjne. I to jest najlepszy komentarz do ostatniej kampanii: wiele grup naprawdę zagłosowało nawet nie głupio, ale wręcz samobójczo.

» Koalicja Obywatelska w swoich „100 konkretnych” zapisała m.in. zniesienie zakazu handlu w niedziele. Zdaniem nowej senator KO **Małgorzaty Kidawey-Błońskiej** „ważne jest to, że Polacy chcą, żeby sklepy w niedzielę były otwarte”. W internecie już zaczynają pojawiać się głosy oburzonych pracowników handlu. „A ja – pracownik handlu – jak i setki tysięcy moich koleżanek i kolegów z branży, opowiadamy się za pozostawieniem ograniczenia handlu w niedziele takim, jaki jest obecnie. Jeśli politycy opozycji nie będą słuchać takich jak ja, to PiS wróci – bardziej” – żali się Jakub Niemczynowicz. Prawda jest taka, że miliony Polaków nie potrafiły docenić bardzo dobrego rządu. Niestety, to taki rodzaj pomyłki, której nie da się odwrócić bezkosztowo.

» „Dla mnie jest nie do przyjęcia narracja, że byśmy zaczęli naszą kadencję od śmierci. To jest pewnie bardzo ważna sprawa, ale dajmy czas, żeby poukładać sobie sprawy według ważności funkcjonowania państwa” – stwierdził w programie „Graffiti” wicemarszałek Sejmu, polityk PSL Piotr Zgorzelski. Odnosił się w ten sposób do zapowiedzi liberalizacji prawa aborcyjnego, do którego dąży Nowa Lewica. W pełni popieramy. I dodajemy: głosowaniem za śmiercią najsłabszych nie należy też kończyć kadencji. Przyjęcie barbarzyńskiego prawa w środku też nic nie zmienia. Ale dziękujemy za nazwanie sprawy po imieniu.

» Paulina Hennig-Kłoska, wiceprzewodnicząca Polski 2050, powiedziała w Radiu ZET, że „problem emerytur byłych funkcjonariuszy SB trzeba rozwiązać ustawowo”. Jak wyjaśniła, „większość tych funkcjonariuszy, członkowie ich rodzin w procesie postępowania sądowego i tak otrzymują wyroki na swoją korzyść”. A to, jak tłumaczyła, „tylko obciąża sądy, państwo, zmusza państwo do

wypłaty zaległych odszkodowań”. Jest inny sposób rozwiązania tej sprawy: przyjęcie nowej ustawy blokującej sądową ścieżkę omijania prawa. Może pójśćcie tą właśnie drogą? No dobra, wiemy, że nie pójdziecie. Zapleczcie zobowiązując.

» Znany pisarz Szczepan Twardoch o demokracji, rzekomo zagrożonej za rządów Prawa i Sprawiedliwości: „Szanowni, radując się wynikami wyborów, chciałbym zapytać, co z tymi 1231412 końcami demokracji, które wy, koryfeusze polskiego życia intelektualnego, ogłaszaście od 2015 r. przy każdej okazji, średnio trzy razy w miesiącu? Jakoś nieźle ta demokracja wygląda, jak na coś, co się tyle razy rzekomo skończyło. Co z pisowską dyktaturą, która »nigdy nie odda władzy«? Właśnie przegrała wybory i oddaje władzę? To się logicznie nie spina. Może więc nigdy nie było dyktatury, cały czas żyliśmy w demokracji, tyle że rządziła partia, której nie lubimy, a wy po prostu jesteście nieznośnymi histerykami? Czy to jednak zbyt brawurowa koncepcja?”. Teraz to bez znaczenia. Pisarze powinni widzieć coś więcej wtedy, gdy ma to znaczenie. Jeśli widzą za późno, nie przejdą do historii.

» Hasłem tegorocznego Marszu Niepodległości jest „Jeszcze Polska nie zginęła” – poinformowali prezes Stowarzyszenia „Marsz Niepodległości” Bartosz Malewski i lider Konfederacji Krzysztof Bosak. Hasło dobrze dobrane wobec wyzwania obecnego czasu. Niepodległość Polski naprawdę jest zagrożona. Ale po stronie Konfederacji przydałaby się też refleksja po zakończonej, w istocie wieloletniej kampanii politycznej. Konfederacja atakowała rząd PiS ostrzej niż opozycję, często z sukcesami. Nakręcała szalone tezy w czasie pandemii, później nastroje antyukraińskie. Nie przewidziała jednak, że premię weźmie nie ona, ale siły III RP, zwłaszcza Trzecia Droga. Można powiedzieć: najgorsze tradycje obozu narodowego znów dały o sobie znać. Smutne to i przykre.

» Szef sztabu wyborczego Konfederacji Witold Tumanowicz poinformował, że „zapadło postanowienie sądu partyjnego o wyrzuceniu Janusza Korwin-Mikkego z Rady Liderów i zawieszeniu”. Jeśli złamie warunki zawieszenia, sąd partyjny będzie rozpatrywał jego usunięcie z Konfederacji. Powód oczywisty: w czasie kampanii Korwin-Mikke robił to, co zawsze, czyli prowokował i szokował bardzo niemądrymi, skandalicznymi wypowiedziami. Ale to nie dziwi. Dziwi, że Konfederacja dopiero teraz się zorientowała, że lider ich środowiska nie ma pozwolenia na budowanie poważniejszej siły politycznej. On ma placet na budowę środowiska, które prawicę destrukcyjnie prowadzi na manowce. Gdy ruch zaczyna przesadnie zyskiwać, Korwin-Mikke uderza. Tak było, jest i będzie. ▀



Stółki i taborety



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Nie mamy czasu do stracenia, więc przejdę od razu do stanowisk. A więc, tadam, na premiera wyznaczam...

Kołodziejczak: Cicho... Cicho! Ja mówię!

Tusk: W jakim charakterze?

Kołodziejczak: Na rolnictwo.

Kosiniak-Kamysz: Słucham?

Kołodziejczak: Szef rolnictwa, bardzo mi miło. To znaczy minister.

Holownia: Chyba w Peru?

Tusk: Oj, panie Szymku...

Holownia: ...ministrze obrony narodowej.

Czarzasty: Teraz mówi premier...

Kosiniak-Kamysz: Dziękuję bardzo. A zatem...

Biedroń: Chodziło o pana Donalda...

Scheuring-Wielgus: Czy możemy przejść do edukacji?

Lubnauer: Od tego jest premier rady ministrów...

Tusk: Prezes.

Lubnauer: Jak to?! Znowu on?!

Tusk: Rady ministrów prezes, tak się mówi.

Biedroń: Chyba od tyłu.

Tusk: Panie kolego, dla pana jako lidera Nowej Lewicy...

Czarzasty: Współlidera!

Grabiec: Pozwólcie panu premierowi odczytać...

Holownia: Właśnie. Zatem, kochani, zaczę od ministerstwa obrony...

Kosiniak-Kamysz: Gdzie się wyrywasz? Jak się umawialiśmy? Że jak nam poparcie przeskoczy procent bezrobotnych za Tuska...

Tusk: ...i Kosiniaka-Kamysza. W końcu kolega jako minister pracy i polityki społecznej troszkę za bezrobocie odpowiadał. O skoku na OFE i podwyższeniu wieku emerytalnego nie wspominając...

Kosiniak-Kamysz: Stop! Muszę zaapelować. Dość kłótni i doprzodu! Takie było nasze hasło. Przeszłoś odkreślamy, przypomnij mi, Szymon, czym?

Holownia: Grubą kreską. I proponujemy resorty obrony narodowej, klimatu, rolnictwa, służb specjalnych oraz teki wicepremierów.

Tusk: Ale komu? Przecież my już to mamy.

Czarzasty: Co znowu macie? Co jest?!

Biedroń: Nie drzyj się, Włodek. My tu rząd ustalamy.

Czarzasty: Nie widzisz, że chcą nas wy...ać?

Biedroń: Ojejku, jejku. Po prostu mówmy po kolei.

Holownia: Ale o czym?

Scheuring-Wielgus: O aborcji. Dość dyktatury kobiet!

Kosiniak-Kamysz: Mowy nie ma.

Biedroń: O czym?

Kosiniak-Kamysz: Żebyśmy to wpisywali do umowy koalicyjnej. Po moim trupie. To znaczy PSL. To byłby koniec ruchu ludowego, agonía spuścizny Wincentego Witosa...

Czarzasty: Władziu, czy mógłbyś skupić się na rządzie?

Kosiniak-Kamysz: Przecież nie marządu!

Tusk: No właśnie jest. Na tej kartce. Trochę wymiętolona, ale z moim osobistym podpisem: „Zgoda, D.T.”. Musicie wiedzieć, że w ten sposób akceptuję tylko najważniejsze dokumenty. A więc, tadam, na premiera powołuję...

Czarzasty: Z całym szacunkiem, ale powołuję prezydent.

Tusk: Trzaskowski?

Czarzasty: Ostatnio wygrał Duda.

Tusk: Słucham? To czemu, jak mówiłem, że wygrał Rafał, nikt mnie nie poprawił?

Czarzasty: Bali się. Czasem jak pan przewodniczący spojrzy...

Grabiec: Premier!

Kosiniak-Kamysz: Może najpierw ustalmy, kto co dostanie? Bo zrobi się bałagan, a smród zostanie. Myśmy z Szymonem obiecali ludziom, że co, przypomnij mi, Szymek?

Holownia: Że będziemy kotwicą. Demokracji.

Biedroń: Jak wy nie wpisiecie aborcji, to my nie wpisujemy rolnictwa.

Kołodziejczak: O, przepraszam, k...a jego mać, że tak krzyknę, bo kampania się skończyła. Rozsypać ci, tęczusiu, obornik pod ministerstwem?

Holownia: A od kiedy ty, młody, ministerstwa rozdajesz?

Kołodziejczak: Za „młodego” w dziób po spotkaniu.

Tusk: Spokój!

Kosiniak-Kamysz: Niech się odwali od Szymona. Gdyby nie my, grzalıbyście ławy w opozycji następne cztery lata...

Grabiec: Raczej odwrotnie. Gdyby nie pan przewodniczący i jego genialna strategia kampanii, to wy byście kwiczel pod progiem.

Holownia: A wy gdzie? W rządzie z PiS?

Tusk: Basta! Natychmiast przymknąć kołpary! Jak komuś się nie podoba, może wyjść!

Holownia: Z posłami?

Tusk: I gdzie pójdziecie? Jakie wy w ogóle macie możliwości negocjacyjne? Podaję nazwiska. Ministerstwo sportu: Joasia...

Scheuring-Wielgus: Ojejciu, dziękuję bardzo. Ja chciałam edukację, ale co tam...

Tusk: ...Mucha. Czy jest z nami?

Holownia: Niestety, miała fryzjera. Ale bardzo się ucieszy. Zresztą, kto nie lubi Madonny?

Tusk: Ministerstwo spraw wewnętrznych: Romek Giertych.

Biedroń: Słucham?

Tusk: Romek jest prześladowany przez prawo, więc nie może być dzisiaj z nami, natomiast wkrótce powróci na białym koniu.

Kosiniak-Kamysz: To wolę Budkę.

Grabiec: Woleć to pan sobie może być z Szymkiem albo nie. O składzie rządu decyduje premier.

Holownia: My się nie pozwolimy tak traktować!

Grabiec: Holownia-Kałownia!

Tusk: No, już, nie trzeba płakać, pan rzecznik żartował... To Lis tak pana nazwał...

Holownia: Bo chcieliście jednej listy!

Tusk: I to był wtedy genialny pomysł. Zresztą, nie mówiam innych.

Kosiniak-Kamysz: 500+ pan nie chciał, a teraz chce.

Holownia: A myśmy... sorry, muszę nos wydmuchać... obiecali, że rozdawnictwo się skończy.

Tusk: A ja, że wieku emerytalnego nie podwyższę. Co z tego? Obiecaliście też dobrowolny ZUS, a teraz tłumaczycie, że to tylko trzy miesiące zawieszenia. Lewica chciała odpolitycznić spółki, a Gawkowski już mówi, że w Orlenie muszą być ludzie nowej władzy. Sami wiecie, jak jest: teraz to benzyna może być i po 10 zł. Zresztą ja i tak niedługo wyjeżdżam.

Biedroń: To kto wtedy będzie premierem?

Lubnauer: Pewnie prezes...

Każdy z trzech bloków opozycyjnych (a każdy blok współtworzy kilka partii) szedł do wyborów z zapewnieniem, że owe bloki będą współrządzić. Każdy niósł też własne hasła i obietnice. Szybko okazało się jednak, że owe przedwyborcze zapowiedzi będą kością niezgody między potencjalnymi koalicjantami. Szymon Hołownia zapewnia: „Unikniemy gorszącej, publicznej walki o stolik i dogadamy się”. Pożyjemy, zobaczymy.

Pierwszą kością niezgody już stała się aborcja. Lewica i KO obiecywały, że aborcja na życzenie będzie legalna do 12. tygodnia ciąży. Donald Tusk zapewnił nawet, że na listach Koalicji Obywatelskiej nie znajdą się przeciwnicy aborcji, przez co z klubem i partią pożegnał się Bogusław Sonik. „Sprawy światopoglądowe nie mogą być elementem umowy koalicyjnej i ja na jakiegokolwiek wpisywanie w umowę koalicyjną spraw światopoglądowych się nie zgodzę” – powiedział w piątek w Radiu ZET szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Wtórował mu Szymon Hołownia: „Tak, uważam, że to dobry pomysł [żeby umowa koalicyjna nie zawierała spraw światopoglądowych], umówiliśmy się również np. jeszcze w poprzednim, można powiedzieć, parlamencie, że u nas w sprawach światopoglądowych każdy głosuje zgodnie z własnym sumieniem, a nie zgodnie z sumieniem przewodniczącego. Tego będziemy się trzymać w klubie i tego będziemy się trzymać również w koalicji” – mówił świeżo upieczony poseł. To wzburzyło polityków Lewicy, w tym Annę Marię Żukowską, która na platformie X (d. Twitter) komentowała m.in.: „Ci wyborcy i wyborczynie dali wielkość opozycji, bo chcieli cywilizowanych zachodnich standardów dotyczących m.in. praw człowieka. To po to wychodzili na ulice protestować, a nie po to, żeby było miło i żeby politycy się nie kłócili. Więc nie dam sobie wmówić, że JESZCZE NIE CZAS”.

Kością niezgody mogą też być programy społeczne. Hołownia zapowiedział: „Koniec rozdawnictwa”, tymczasem Lewica, idąc do wyborów, zapowiadała, że nic, co zostało dane, nie będzie odebrane. A i to nie wszystko. W Radiu ZET Kosiniak-Kamysz pytany, czy po objęciu władzy nowy

Droga usłana kolcami

Pierwszą kością niezgody wśród zwycięskich opozycyjnych partii stała się już aborcja

klubu Lewicy. „Nie zgodzimy się na likwidację 13. i 14. emerytury ani na podnoszenie wieku emerytalnego czy likwidację świadczenia 800+” – zapowiedział w „Kwadransie politycznym” TVP.

Przed wyborami Donald Tusk obiecywał m.in. kredyt 0 proc. na mieszkanie. Ta obietnica nie znajduje uznania w oczach Ryszarda Petru, posła elekta Trzeciej Drogi, o czym mówił w radiu RMF FM. „To będzie rząd koalicyjny, trzeba znaleźć kompromis pomiędzy obietnicami poszczególnych partii.

Kluczem do tego będzie bilans otwarcia, w jakiej sytuacji przejmujemy gospodarkę po PiS” – stwierdził. Petru odniósł się również do podwyżek dla nauczycieli, obiecanych przez Koalicję Obywatelską podczas kampanii wyborczej. Każdy nauczyciel miałby dostać podwyżkę o co najmniej 30 proc. i nie mniej niż 500 zł brutto. „Sprawa jest bardzo prosta, żeby komuś dać dużo więcej, trzeba szukać oszczędności. Pewne oszczędności są oczywiste, chociażby dotacje do telewizji publicznej, analiza projektu CPK. W krótkim okresie czasu mamy ważniejsze priorytety. Finanse publiczne mogą ograniczyć możliwość realizacji niektórych obietnic w krótkim okresie” – zaznaczył Petru.

Kością niezgody będą też podatki. W ramach „100 konkretów” partia Tuska zapowiedziała podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Trzecia Droga mówiła w kampanii o tzw. francuskim PIT, czyli możliwości rozliczania się małżonków wraz z dziećmi. Lewica chciałaby zaś podatków progresywnych, takich, by najlepiej zarabiający płacili wyższe podatki.

Dlatego rozmowy koalicyjne to będzie droga usłana kolcami. Co do tego, że partie dzisiejszej opozycji się dogadają, nie mam wątpliwości, bo nie mają innego wyjścia. Jeśli jednak każdy zrezygnuje z części swoich postulatów, niezadowoleni będą wyborcy.

Dorota Łosiewicz



Tajemnicza awaria

Niemal w rocznicę uszkodzenia gązociągów Nord Stream doszło do kolejnego tajemniczego zdarzenia na Bałtyku. Nocą w niedzielę 8 października gwałtownie spadło ciśnienie w podmorskim rurociągu Baltconnector, łączącym Finlandię z Estonią. W tym samym czasie norweska fundacja NORSAR, zajmująca się monitoringiem sejsmologicznym, zanotowała podejrzaną eksplozję na Bałtyku u wybrzeży Finlandii.

Zaraz po wykryciu awarii przesył gazu podmorskim rurociągiem został wstrzymany, aby zapobiec wyciekowi paliwa do morza. Okazało się też, że oprócz gazociągu zniszczeniu uległ położony nieopodal kabel telekomunikacyjny. Uszkodzenia były tak duże, że wykluczono jakiekolwiek przyczyny naturalne. Zdaniem władz Finlandii mamy do czynienia z aktem dywersji, za którym ukrywa się „podmiot państwowy”. I choć nie powiedziano tego wprost, dla każdego było jasne, że chodzi o Rosję.

Wstępne dochodzenie wskazało, że w okolicy, w której doszło do uszkodzeń

– fińskiej strefie ekonomicznej – pojawiły się dwa rosyjskie statki, Sibirakow oraz Admiral Władimirski. Obie jednostki (co ciekawe, zbudowane w stoczni w Szczecinie) są oficjalnie statkami badawczymi, ale wchodzą w skład rosyjskiej floty wojennej i – jak się podejrzewa – służą do działań dywersyjnych. Co więcej, rok temu Admirala Władimirskiego widziano w rejonie, w którym doszło do eksplozji rurociągu Nord Stream. Trudno jednak wytyczyć dokładne kursy obu statków, ponieważ miały one wyłączone lokalizatory.

W chwili awarii Baltconnectora w bezpośredniej bliskości gazociągu przepływały dwie inne jednostki – rosyjska i chińska. Chiński frachtowiec zauważalnie zwolnił, gdy zbliżał się do miejsca, w którym jest położony gazociąg. Na razie nie jest jasne, czy obecność obu statków miała związek z awarią, jed-

nak dzięki oględzinom uszkodzeń gazociągu udało się ustalić, że jest on przerwany i przesunięty w bok, co mogłoby wskazywać na celowe zacementowanie ciężką kotwicą ciągniętą po dnie morza.

Baltconnector zaopatruje Finlandię w gaz sprowadzany drogą morską do terminali LNG w państwach bałtyckich. Według władz w Helsinkach jego naprawa może zająć kilka miesięcy. Nie powinno to jednak wpłynąć na zapasy gazu na zimę, ponieważ Finlandia sprowadza LNG również bezpośrednio ze Stanów Zjednoczonych i jej bezpieczeństwo energetyczne nie zależy od tranzytu przez Łotwę i Estonię.

Uszkodzenie bałtyckiego gazociągu powinno być za to kolejnym sygnałem ostrzegawczym dla Zachodu, w tym Polski. Infrastruktura krytyczna państw NATO jest bowiem od dawna na celowniku Moskwy.

Konrad Kolodziejski



Ministerstwo Zdrowia Kambodży poinformowało o drugim w ciągu tygodnia zgonie osoby zarażonej wirusem ptasiej grypy H5N1. Tym razem ofiarą jest dwuletnia dziewczynka, która bawiła się tam, gdzie wcześniej znajdowały się kurczaki. Dostała wysokiej gorączki i mimo przewiezienia jej do stołecznego szpitala zmarła.

Kilka dni wcześniej w sąsiedniej prowincji zmarł 50-letni mężczyzna z podobnymi objawami, a w lutym 11-letnia dziewczynka. Jej ojca, mimo że również zaraził się ptasią grypą, udało się wyleczyć. Nie wiadomo, czy te przypadki są powiązane, ale we wszystkich miejscowościach, gdzie pojawiły się zakażenia, widziano martwe ptaki. Władze Kambodży są zaniepokojone sytuacją, bo były to pierwsze od 2014 r. przypadki zgonów w wyniku ptasiej grypy. Jedną z analizowanych możliwości jest pojawienie się nowej, znacznie groźniejszej mutacji wirusa.

W związku z wydarzeniami w Kambodży brytyjskie czasopismo medyczne „The Lancet” powołało międzynarodowy

Wirus zabije fermy



panel naukowy, którego zadaniem ma być zbadanie mechanizmów przenoszenia wirusów od zwierząt na człowieka. Naukowcy, jak powiedział prof. Dirk Pfeiffer z Uniwersytetu w Hongkongu, mają przeanalizować, czy wycinka lasów, funkcjonowanie ferm zwierząt futerkowych lub popularne w krajach azjatyckich targi żywych zwierząt mogą być źródłem mutacji wirusów i ich szybszego rozprzestrzeniania.

Ostatnio wykryte przypadki zarażenia wirusami ptasiej grypy ssaków – mowa o lisach, niedźwiedziach grizzly, norkach i wydrach – wywołały obawy związane z pojawieniem się nowej mutacji wirusa, łatwiej przenoszącej się na naczelne. Zdaniem specjalistów jest jeszcze zbyt wcześnie, aby mówić o nowej pandemii, ale przyszłość hodowli zwierząt futerkowych, zwłaszcza w Europie, wydaje się być przesądzona. Trudno jednak powiedzieć, czy większą rolę odgrywają tu względy medyczne, czy ideologiczne.

Marek Budzisz

Sprostowanie Autorem artykułu „Bomba migracyjna” zamieszczonego w poprzednim numerze „Sieci” jest Konrad Kolodziejski. Czytelników i autora za brak podpisu serdecznie przepraszamy.



Kanada

W obronie praw rodziców

Rząd kanadyjskiej prowincji Saskatchewan skorzystał z prawa do uchylenia konstytucyjnych wolności, aby wprowadzić ustawę potwierdzającą prawa rodziców do wychowywania swoich dzieci. Stało się to konieczne, ponieważ lokalny sąd, kierując się ideologią gender, uznał, że używanie właściwych płciowo zaimków wbrew czyjejś woli narusza prawa człowieka. Tym samym jednak odebrał rodzicom prawo do kontroli nad decyzjami ich własnych dzieci w kwestii tzw. samookreślenia płci.

Zeby temu zapobiec, władze prowincji postanowiły zawiesić wynikające z kanadyjskiej konstytucji tzw. prawa nieletnich i ustawowo zastąpić je prawami rodziców, zapewniającymi im władzę nad edukacją i wychowaniem dzieci. Ustawowe wzmocnienie władzy rodzicielskiej ma m.in. zobowiązać nauczycieli do uzyskiwania zgody rodziców na używanie wobec ich dzieci zaimka lub imienia odnoszącego się do tzw. pożądanej tożsamości płciowej. Okazało się bowiem, że dyrekcje szkół instruowały nauczycieli, aby ukrywali przed rodzicami informacje o takich sytuacjach. Wszystko to dzieje się w obliczu fali rozbudzania u dzieci tzw. ekspresji płciowej, czyli przekonywania ich do tego, że mogą dowolnie określać swoją płeć.

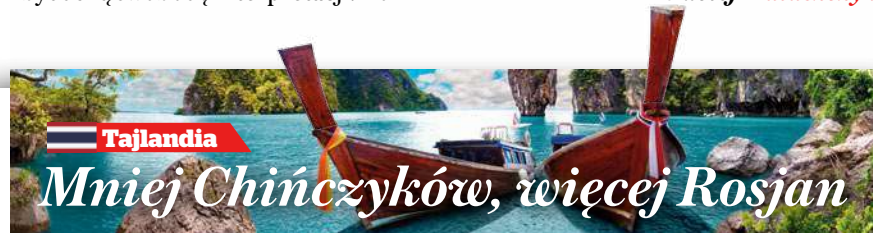
Do akcji natychmiast wkroczyły lewackie organizacje, które zaatakowały władze prowincji za ustanowienie „niebezpiecznego precedensu” godzącego w wolność prywatności, równość i bezpieczeństwo „bezbrowniej młodzieży transpłciowej”. Podobnie jak w Polsce, rząd został oskarżony o brak wsparcia w zakresie zdrowia psychicznego w szkołach.

Uchwalona 40 lat temu kanadyjska konstytucja, która zastąpiła XIX-wieczną ustawę o Ameryce Brytyjskiej, zawiera Kanadyjską Kartę Praw i Wolności, będącą katalogiem podstawowych praw obywatelskich. Władze poszczególnych prowincji uznały jednak, że Karta daje sądom zbyt dużą swobodę interpretacji. Kom-

promisowym wyjściem stała się więc możliwość ustawowego odstąpienia od niektórych postanowień sądów w kwestiach wolności obywatelskich, jeśli władze uznają, że sędziowie przekroczyli swoje kompetencje.

Konflikty wywoływane ideologią gender wybuchają w Kanadzie od kilku lat. Ale to Scott Moe, kierujący konserwatywnym rządem stanu Saskatchewan, jako pierwszy skorzystał z klauzuli, aby przeciwstawić się konsekwencjom ideologicznego szaleństwa. Decyzją kanadyjskich sądów to również przykład tzw. aktywizmu sędziowskiego, polegającego na interpretacji praw po linii ideologicznej, a niezgodnie z intencjami ustawodawcy. Nieżyjący już dziś sędzia Sądu Najwyższego USA Antonin Scalia swego czasu nazwał takich sędziów „mullami Zachodu”.

Maciej Walaszczyk



Jeszcze w 2019 r. obywatele Chin stanowili 27 proc. wszystkich turystów przyjeżdżających do Tajlandii. W tym roku ich odsetek zmniejszył się do 12 proc. Powodem jest wzrost nastrojów antychińskich. W dużej mierze jest on rezultatem dziennikarskich śledztw, których wyniki publikują tajskie media. Według nich w Tajlandii centrale mają chińskie grupy przestępcze, specjalizujące się w handlu ludźmi różnych narodowości do pracy przymusowej w sektorze oszustw internetowych. Okazuje się, że bardzo wielu wyłudzeń w cyberprzestrzeni w skali globalnej dokonują chińskie gangi, jednak tropy często wiodą nie do Pekinu czy Szanghaju, lecz Bangkoku.

Kulminacją antychińskich nastrojów była niedawna strzelanina w centrum tajskiej stolicy, w wyniku której zginął obywatel Chin, a drugi został ranny. W Państwie Środka rozpoczęła się więc kampania odradzająca mieszkańcom tego kraju wyjazd do Tajlandii. W efekcie w ciągu kilku dni Chińczycy odwołali co najmniej 60 tys. zarezerwowanych podróży.

Niedobór turystów z jednego kierunku władze w Bangkoku rekompensują jednak napływem z innego. Od półtora roku do Tajlandii przybywa bowiem coraz więcej Rosjan. Najczęściej są to młodzi ludzie uciekający przed poborem do wojska albo zamożniejsi obywatele, którzy, nie widząc dla siebie perspektyw w kraju, postanowili zainwestować posiadane zasoby na Półwyspie Indochińskim, aby zabezpieczyć w ten sposób przyszłość swoich rodzin. Szczególnie upodobał sobie wyspę Phuket, masowo wykupując tam rezydencje. W związku z tym tajskie media zaczęły nawet pisać o „rosyjskiej inwazji” na ten region.

Rząd w Bangkoku sprzyja jednak napływowi Rosjan, przedłużając im ostatnio prawo bezwizowego pobytu do 90 dni. Wydaje się, że miejscowe władze, poprzez prowadzenie selektywnej dyplomacji turystycznej, starają się równoważyć wpływy wielkich mocarstw, aby w kluczowej dla siebie branży nie uzależnić się za bardzo od jednego z nich.

Grzegorz Górny



**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sfałszowane referendum?

Ewentualni zwycięzcy wyborów lubią się posługiwać jakimiś gwiazdkami na swych transparentach. Skoro nadciąga taka moda, myślę sobie, trzeba spróbować, jak to działa... ***** Tuska!

Jestem chyba przewrażliwiony, ale niepokoi mnie sprawa sfałszowanego przez kogoś (?) referendum. Pojawiły się relacje, że niektórzy członkowie komisji wyborczych powstrzymywali wyborców od uczestnictwa w referendum. Ktoś im wdrukował taki punkt do regulaminu? Czy to nie jest antypaństwowa zмова? Czy prokuratura nie powinna kogoś przesłuchać? I to szybko, zanim pamięć przestępcom nie wyparuje.

Przyznaję, że idąc rano do lokalu wyborczego, nie wiedziałem o tym procederze i dałem się wciągnąć w dziwną rozmówkę z miłą panią, z tym że jednak zażądałem wszystkich kart. Gdybym wiedział, że trwa tajna akcja unieważniania czterech pytań, zrobiłbym głośną awanturę.

Szeptanka antyfrekwencyjna z pewnością zniekształciła referendum. Widzę teraz w mediach, jak lekceważąco mówią

o tej sprawie komentatorzy. A przecież na naszych oczach popełniono przestępstwo. Wysoki Sejm specjalną ustawą przedstawił rodakom cztery niezwykle istotne pytania. Ponieważ komuś (?) bardzo się nie podoba pytanie Polaków o cokolwiek, więc ktoś postanowił je unieważnić przy pomocy agentów. Czy mamy skwitować aferę słynnym refrenikiem: „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało”?

Otóż stało się, ponieważ czekamy na nowy rząd. Jeżeli po nieczystej kampanii wyborczej i sfałszowaniu referendum „partia zewnętrzna” przejmie tu władzę, należy się spodziewać wszystkiego najgorszego. Mechanizmem zarządzania państwem będzie codzienna dawka oszustw.

Swoją drogą, dlaczego po ujawnieniu pierwszych manipulacji wokół kart referendalnych już w godzinach porannych nie zarządzono alertu, nie ogłoszono we wszystkich programach radia i TV, że dzieje się coś złego? Taki pozornie drobny, cwaniacki numer rozwalil słuszny, mądry projekt ujawnienia społecznych preferencji dotyczących IMIGRANTÓW, EMERYTUR, GRANICY, WYPRZEDAŻY POLSKI... To nie były blahe pytania. Pośle Kukiz, co o tym sądzisz? 

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Lewica po antysemitce

Wojna, szczególnie za bliską granicą, zawsze wywołuje wielkie i sprzeczne emocje. Przez chwilę, czasem trochę dłużej, burzy nawet głęboko zakorzenione, tradycyjne narodowe sympatie i antypatie. Dzięki temu przez wiele miesięcy potrafiliśmy kibicować Ukraińcom zaatakowanym przez Rosjan. Choć już Żydom, okrutnie mordowanym przez arabskich terrorystów, znacznie krócej, chyba tylko kilkadziesiąt godzin.

Zacznijmy od Ukraińców. Opuśćmy już rzezie, tryzuby, Banderę i Wołyń. Dziś bardziej irytują nas ich maserati, porsche i mercedesy zajmujące miejsca parkingowe w stolicy pod najbardziej ekskluzywnymi hotelami, wkurzają nas gadający po rusku, panoszący się w Warszawie trzydziestolatkowie z Kijowa (w wieku poborowym), wynajmujący mieszkania w centrum miasta za 5 tys. zł. miesięcznie – bo może sprzedaliby te swoje auta i kupili dla Ukrainy czołgi, a sami by wrócili bronić ojczyzny. Ale wiadomo: kto bogatemu kosmopolicie zabroni przepłynąć pogranicznika i wyjechać za granicę, i olewać to, co się dzieje w jego kraju? Akurat ci koleś nie muszą się na kasie w Biedronce, gdzie znaleźli dla siebie miejsce ich liczni rodacy.

A teraz kolejna kwestia. Arabscy terroryści mordujący Żydów w Izraelu – i krwawa (choć zasłużona) zemsta tych

drugich przeciw pierwszym. Emocje mniej dla nas bezpośrednie, choć jednak jakże bliskie. Palestyńczyków i Żydów w Polsce jest niewiele. Ale to też nasz problem, historyczny i ideologiczny. Bo Żydzi to także część dziejów Polski. A z drugiej strony: arabska bandyterka od lat jest wspierana przez europejską (także naszą) lewicę, usprawiedliwana i autoryzowana.

Izraelskie działania mające na celu zniszczenie palestyńskiego terroru już teraz są potępiane. Tak dla porządku przypomnę: w Palestynie większość obywateli od lat popiera bandziorów z Hamasu, co potwierdzają wyniki tamtejszych wyborów. To trochę tak jak w Niemczech z lat 30., gdy w demokratycznym głosowaniu wygrała partia Hitlera.

A w Polsce mamy lewackie demonstracje poparcia dla terrorystów. Nie pojmuję tego. Może to skutek wysuszonego z mlekiem matek antysemityzmu? Czyżby ci czerwoni, od zawsze odcinający się od polskości, dziś tę najobrzydliwszą, przypisywaną Polakom, antysemicką tradycję przyswoili najlepiej? Tę, od której ci inni, teoretycznie źli, potrafili się odciąć?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl 



**Dominik
Zdort**

Dlaczego Polacy głosują wbrew swojemu interesowi?

Donald Tusk zdobył ponad pół miliona głosów w Warszawie, bijąc tym samym wszelkie rekordy. Osiągnął to człowiek, który zostawił najważniejsze stanowisko w Polsce na rzecz intratnej synekury w Brukseli, zrobił więc coś, co było nie do pomyślenia w krajach Europy Zachodniej, do których podobno aspirujemy. Premier Danii, którą również brano wówczas pod uwagę na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, oświadczyła, że chętnie je zaakceptuje, naturalnie po zakończeniu kadencji w kraju. Tusk z dnia na dzień przerwał swoją, chociaż obiecywał, że tego nie zrobi. Można uznać, że nie ma obietnicy, której by nie złamał. Kiedy jeden z proplatformerskich dziennikarzy nie wytrzymał i zapytał, dlaczego nie zdymisjonował ministra Aleksandra Grada, co miał zrobić – wielokrotnie to podkreślał – jeśli ten nie znajdzie inwestora dla polskich stoczni, Tusk odpowiedział, że... się pomylił. – A co, panu się nigdy nie zdarzyło? – kontratakował.

Ponieważ każdemu się to zdarzyło, dziennikarze przeszli do następnej sprawy. Nie wiedziałem, co bardziej podziwiać: bezczelność ówczesnego premiera czy ignorancję żurnalistów, nieodróżniających pomyłki od złamania obietnicy.

Tusk rozbrajał polską armię, tłumacząc, że żadne niebezpieczeństwo nam nie grozi – na kilka lat przed agresją Rosji na Ukrainę. Wyliczanka powodów, dla których Polacy nie powinni na niego głosować, znacznie przerosła by ramy felietonu, a nie tego ma on dotyczyć. Ma on odpowiedzieć na tytułowe pytanie.

Nie chodzi w nim o wielkie kwestie w rodzaju: jak Polacy rozumieją związek swoich indywidualnych losów z kondycją narodu. Bo o tym, że są do niego przywiązani, świadczyła choćby zmiana propagandy Tuska, który barwy unijne zastąpił pustym serduszkami w narodowych kolorach. W tytułowym pytaniu chodzi o indywidualny interes, bo powierzanie władzy komuś, na kim nie tylko nie można polegać, ale który wraz z ekipą uznał, że optymalna dla niego jest rola namiestnika Berlina, stanowi działanie przeciwko najbardziej trywialnie pojmowanemu dobru Polaków. Przecież zrozumienie, że nasze i Niemców interesy różnią się, wydaje się stosunkowo łatwe, a egoizm berlińskiej polityki, który umożliwił rosyjską agresję, jest oczywisty i wskazywany również w Europie. Jak więc rozumieć warszawski triumf Tuska?

Osobiste doświadczenia człowieka stanowią znikomą część jego wiedzy. Tej nabiera on w procesie uczenia się, który trwa całe życie. Jego sądy w przeważającej mierze warunkowane są przez wspólnotę, z którą łączy go tożsamość kultury. W oparciu o jej zasady dokonuje rozumowania i odwołuje się do proponowanych przez nią wzorów. W epokach historycznych

wstrząsów, kiedy podważone zostają fundamenty cywilizacji, członkowie narodu, jakkolwiek ciągle przywiązani do jego symboli, przestają rozumieć, co za nimi stoi i generalnie – co jest dobrem wspólnoty. Żyjemy w epoce takiego właśnie zamętu, gdy usiłuje się nam wmówić, że polski interes najlepiej zostanie rozpoznany i zrealizowany przez naszych zachodnich opiekunów oraz ich polskich namiestników.

Dominująca ideologia kwestionuje tradycyjne pewniki cywilizacji, a ludzie ich pozbawieni rozpaczliwie poszukują mentalnych punktów oparcia. Mają im je zapewnić główne ośrodki opiniotwórcze. Techniczny postęp zwielokrotnia ich rezonans. Podstawowa metoda, którą się posługują, ma charakter negatywny i polega na stygmatyzowaniu przeciwnika, diabolizowaniu go oraz projektowaniu na niego wszystkich społecznych problemów. Przeciwnikiem liberalnej demokracji są tzw. populisci, często utożsamiani z faszystami, z którymi nie prowadzi się debaty, ale należy ich usunąć poza nawias życia publicznego. Demonstracją tego była „konferencja prasowa” zorganizowana pod budynkiem TVP przez Tuska, który groził dziennikarzowi zadającemu merytoryczne pytanie.

„Populisci” uznają, że narody nie muszą być poddane kurateli „oświeconych” elit, mają prawo decydować o własnym losie, bronić swojej tożsamości i kulturowego środowiska. Innymi słowy – chcą przywrócić demokrację. Nic więc dziwnego, że są oskarżani o zamach na nią i autorytarne rządy. Wszystko zgodnie z regułami świata na opak, w którym żyjemy.

Ideologia emancypacji tak jak jej poprzedniczki domaga się reagowania, nie myślenia. „Populisci”, Kaczyński, mają wywoływać odruch agresji i zgrzytania zębów; ci, którzy z nimi walczą, siłą rzeczy aprobatę. Obywatele mają się stać kibicami. Niestety, do pewnego stopnia przedsięwzięcie się udaje. Demonstruje to rekord Tuska.

Po wyborach zaszedłem do kawiarni, gdzie młodzi ludzie świętowali swoje, jak to określali, „obalenie komuny”. Przerzucali się sloganami wbijanymi im w głowy przez totalną propagandę, przez które żaden argument czy niewygodne spostrzeżenie nie miały szansy się precyzować.

Ponure doświadczenie. ▀



Walizka Moniki Majewskiej

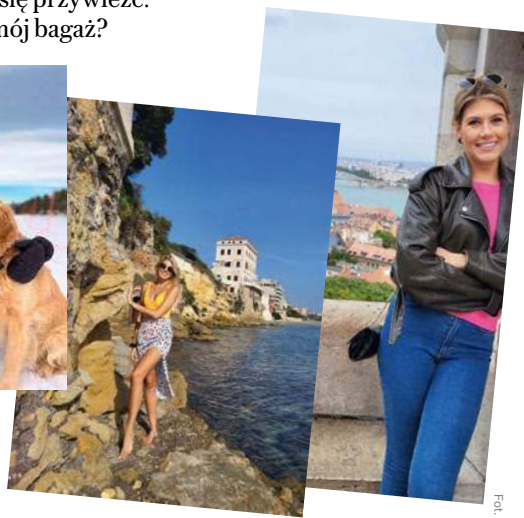
dziennikarki, prezenterki telewizyjnej

Kocham zwiedzać, poznawać, doświadczać. Odkrywać nieznane zakątki miejsc z mojej podróżniczej listy. Ta jest jeszcze bardzo długa, ale konsekwentnie wykreślam kolejne punkty. Poznawanie nowych kultur i krain jest najlepszą inwestycją oraz najwspanialszym doświadczeniem. Kiedy wyruszasz na kilkudniową wyprawę, stawiam na wygodę i praktyczność.

W tym roku przy okazji zawodowej podróży udało mi się odwiedzić Norwegię – krainę fiordów i zachwycających krajobrazów malowanych przez naturę. Na zamrzniętym jeziorze w sercu parku narodowego nagrywaliśmy reportaż o rekordzisie Guinnessa we freedivingu, którym został Polak! Do Norwegii z pewnością wrócę, by odkryć jej północną część, ale dziś zabieram Was do Budapesztu, z którego właśnie przywożłam kolejne wspomnienia.

Z przyjemnością zdradzę Wam swój sposób na udany city break i mój bagaż podręczny, który spokojnie wystarczy na kilka dni. Minimalistyczny, ale jest w nim wszystko, co potrzebne (lub nie). Budapeszt. Kraina pachnąca słodkim kołaczem i aromatycznym gulaszem. Jedna z europejskich stolic, która z pewnością zasługuje na uwagę. Co na lokalnych straganach? Papryka w najróżniejszych wydaniach, zatem nie mogło jej zabraknąć w moim bagażu powrotnym! Kolekcjonuję wspomnienia, nie rzeczy, ale kilka drobiazgów zawsze staram się przywieźć.

Co zawiera mój bagaż?



SPRZĘT DO NAGRYWANIA

Aby wideo z podróży było w dobrej jakości, z obrazem, który płynie, ukazując nam realne piękno zwiedzanych obiektów. W każdą podróż zabieram gimbal ze statywem. Mój dziennikarski instynkt podpowiada, że przecież zawsze możemy znaleźć się w centrum wydarzeń.



POWER BANK

W nowo poznawanym mieście warto się zgubić, poznając kręte, urokliwe uliczki. Ale gdy na powrotną drogę nie ma rady, a nasz telefon właśnie stracił moc, power bank ratuje każdą, absolutnie każdą sytuację! Bez niego się nie ruszam.



APARAT

Nie taki zwykły, bo wywołujący zdjęcia od razu. Nie do końca praktyczny w bagażu podręcznym, ale jeśli starczy miejsca, warto go mieć.

Choć wizualnie wolałabym wersję z lat 90., wtedy odbitki były nawet większych rozmiarów. Zdjęcia to przecież najlepsza pamiątka.



SŁUCHAWKI

W samolocie lubię na chwilę wyłączyć się i wylogować ze świata. Wtedy ulubiona playlista z klasykami umila podróż. Czego słucham? Od Czesława Niemena przez Felicjana Andrzejczaka, Halinę Mlynkową, Perfect, Dawida Podsiadłę po Beyoncé. Ale zdecydowanie najbardziej lubię stare przeboje.



SPORTOWE BUTY

One sprawdzą się zawsze i w każdej stylizacji. Na wyjazdach stawiam na wygodę i luz. W mojej walizce nie znajdziecie szpilek. Chyba że miałabym na liście romantyczną kolację w Paryżu!



CIEPŁE, ALE WIELOFUNKCYJNE UBRANIA

Ten zestaw uratował mój wyjazd do Budapesztu. Było znacznie chłodniej, niż pokazywały to prognozy. Więc sweterek nosiłam w najróżniejszych konfiguracjach.



RZECZY NA BASEN

Żyję aktywnie, nawet na wyjazdach. W Budapeszcie odwiedziliśmy Łaźnie Gellérta, z których słynie miasto. Zatem kąpiel w ciepłych, leczniczych wodach jest obowiązkowa! Moja rada: jeśli chcesz zabrać basenowy ręcznik, weź cienki, szybkoschnący, z mikrofibry. Zajmuje mniej miejsca!

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY

W dobie internetu chyba niewiele osób korzysta z przewodników drukowanych. Ja jednak pamiętam, jak zwiedzałam

Polskę z rodzicami z wielkim atlasem samochodowym. Książka ma dla mnie zupełnie inną wartość.



MINIKOSMETYKI

Less is more. Na wyjazdach moja skóra odpoczywa od ciężkich makijaży. Wystarczy mi kilka podstawowych kosmetyków do malowania i koniecznie filtr SPF 50 na twarz. Do bagażu podręcznego możemy zabrać jedynie małe pojemności.

PAMIĄTKI

Z Budapesztu przywożłam magnesy na lodówkę i coś absolutnie typowego dla regionu – paprykę, której bez liku w sklepach i na straganach. Lubię w mojej kuchni lokalne specjały:



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Operacja „Dragonfly”



Moskal od miesięcy próbował zdobyć Awdijiwkę, jedną z najstarszych miejscowości obwodu donieckiego. Niegdyś liczyła ponad 30 tys. mieszkańców, ale już od września 2014 r., kiedy to ruszy separatyści przypuścili pierwszy szturm, zaczęła się wyludniać. Obecnie pozostało mniej niż 2 tys. mieszkańców, a i tych wzywa się do ewakuacji. Po miesiącu walk siły zbrojne bantustanu Donbabwe (Doniecka Republika Ludowa) odpuściły i zaczęły regularnie ostrzeliwać miasto. Po agresji Federacji Moskiewskiej na Ukrainę jej wojska zbombardowały koksownię. Agresorzy wielokrotnie ostrzeliwali miasto z zakazanej amunicji fosforowej, celując zarówno w obiekty przemysłowe, jak i cywilne (budynek szkoły został całkowicie zniszczony). Od kilku miesięcy na podejściu do Awdijiwki trwają zaciekłe walki. Ruski uwziął się na miasto, ponieważ po jego zdobyciu mógłby wyjść na płaskie tereny Zaporozża, zachodząc Ukraińców od tyłu. Jednocześnie sztab Kremla obawia się, że z Awdijiwki Tryzuby mogą ruszyć na Donieck. Próbowali od czoła – nie wyszło. Zaczęli więc ze skrzydeł (północ i południe). Również spaliło na panewce. Ponad tydzień temu rzucili do natarcia liczne pododdziały czołgów. Uderzyli na 12 kierunkach, jednak główny atak szedł z północy. I tam nadziali się na hałdę zakładów koksowniczych. Pozycja strategicznie górowała nad terenem i kto miał hałdę, ten kontrolował sytuację. Tryzuby nie dość, że hałdy nie oddali, to jeszcze spuścili Moskalom taki łomot, że słynna klęska wojsk pancernych Kacapii pod Węgłodarem była tylko przygrywką. Ukraińcy stracili jeszcze pięć samolotów szturmowych Su-34 i Su-35, które wspierały pancerny szturm, oraz zniszczyli równowartość ok. 3 batalionowych grup bojowych. Kilkuset Moskali trafiło na łono Abrahama

i nic już ich stamtąd nie cofnie. Pancerna pięść została rozbita w starciu pod Krasnohoriwką, gdzie Ruski stracił 63 pojazdy bojowe. Ukry nazwały to miejsce „aleją mnóstwa spalonych czołgów”. Awdijiwka wytrzymała, Moskal wyraźnie odpuszcza, a Władimir P. razem z dowódcą wojsk Kremla gen. Walerijem Gierasimowem mogą sobie dla poprawy humoru puścić cover Billa Withersa „Ain’t no sunshine”, a jak wolą, to w wersji naszej Budki Suflera: „Znowu w życiu mi nie wyszło”.

Między Awdijiwką a Dnieprem mamy front zaporoski. Tam Ukraińcy męczą się pod Robotynem nad przełamaniem pasa umocnień zwanych linią Surowikina. Na razie nie widać wyraźnych postępów. Trwa mordercza walka „twarzą w twarz” o okopy, jak w czasie I wojny światowej. Jedni atakują, drudzy się bronią i kontratakują w potwornym tańcu śmierci. Tryzuby nie idą na razie na przełom, a jedynie „penetrują” rosyjskie pozycje – jak informuje Skipper, współpracownik wojennych felietonów. „Bardziej jest to dziurawienie frontu niż rozrywanie, ale podziurawiony łatwiej rozerwać” – twierdzi i ma rację.

Natomiast coraz ciekawiej robi się nad samym Dnieprem – na zachód od frontu zaporoskiego. Siły ukraińskiej piechoty morskiej w składzie jednej kompanii dokonały udanego desantu na lewym, okupowanym przez Kacapów brzegu rzeki w obwodzie chersońskim. Jak podaje amerykański think tank ISW, marines spod znaku Tryzuba weszli jak nóż

w masło, uzyskując czasową kontrolę nad miejscowościami Pojma i częścią Piszczaniwki. W związku z coraz większą aktywnością Sił Zbrojnych Ukrainy Moskale dostali stracha, że może być to tzw. podgatowka do większej ofensywy z tego kierunku. Ponieważ mają siły zaangażowane w rejonie Awdijiwki i frontu zaporoskiego, obawy sztabu Federacji Moskiewskiej nie są bez uzasadnienia. Na razie Ukry macają teren, ale jak tam się zacznie na poważnie, to Moskal będzie miał już poważny problem.

Tym bardziej że do akcji wszedł cichaczem dostarczony Kijowi przez Amerykanów system GLSDB (Ground-Launched Small Diameter Bomb). Jest to pocisk precyzyjny o napędzie rakietowym, powstały z połączenia napędu od standardowych pocisków rakietowych kal. 227 mm, używanych przez m.in. systemy M142 HIMARS/M270 MLRS z bombą precyzyjną GBU-39. Poprzez to pocisk po wystrzeleniu i zużyciu się silnika rakietowego pokonuje dalszy dystans, szybując, co wydłużyło zasięg rażenia do 150 km. Dzięki naprowadzaniu za pomocą GPS oraz wyposażeniu w system nawigacji bezwładnościowej może on precyzyjnie razić wskazany cel znacznie dalej od standardowych pocisków rakietowych. Właśnie byliśmy świadkami debiutu tego systemu na froncie moskiewsko-ukraińskim. Podczas operacji „Dragonfly” („Ważka”) uderzono w lotnisko wojskowe położone koło Berdiańska. Trafiono i posłano na złom osiem śmigłowców bojowych Kacapii. Teraz dni mostu Krymskiego – oczka w głowie Władimira P. – wydają się być policzone.

Andrzej Rafał Potocki

Jak dotrzeć do młodych

Media społecznościowe to potężne narzędzie służące do rozpowszechniania informacji na masową skalę i o równie wielkim potencjale wyrządzania szkód w postaci rozpowszechniania dezinformacji. Zaangażowani młodzi ludzie ze wszystkich środowisk politycznych i obywatelskich codziennie korzystają z mediów społecznościowych w celu wymiany informacji, mobilizacji oraz zaznaczenia swojej obecności w przestrzeni politycznej. Od 2015 r. stoją oni na pierwszej linii frontu ruchów odwołujących się do ochrony praw człowieka i środowiska. Młodzież jest aktywnym dyskutantem w internecie i stanowi siłę polityczną, z którą należy się liczyć. Media społecznościowe mogą więc niewątpliwie służyć jako narzędzie mobilizacji młodych wyborców, którzy natknęli się na kampanię wyborczą w internecie i na podstawie tego, co zobaczyli, decydują, czy ją śledzić.

Badania pokazują, że młodzi ludzie coraz częściej żywią przeświadczenie, że nie mają jednego wiarygodnego źródła informacji, z którego mogliby czerpać wiadomości i kształtować swoje poglądy polityczne. Młodzież nie zadowala się jedynie otrzymywaniem informacji od mediów i liderów opinii – bazuje na sieciach zaufania, a nie autorytecie lub legitymizacji wynikającej z zajmowania konkretnego stanowiska. Skuteczne podejście do angażowania dużej liczby młodych ludzi polega na przyjęciu bardziej sieciowego, cyfrowego podejścia w komunikacji. Szczególnie skuteczne w rozpowszechnianiu informacji są Facebook, X (d. Twitter), Snapchat i Tik Tok, gdzie treści generowane przez użytkowników, dla pozostałych znacznie bardziej wiarygodne i inspirujące niż oficjalne komunikaty, mogą zyskać szeroki zakres oddziaływania. Tworzenie postów i rozpowszechnianie ich pozwalają młodym ludziom tworzyć własne historie i mieć poczucie, że odgrywają aktywną rolę w życiu publicznym.

Media społecznościowe i zaangażowanie cyfrowe stanowią kontrargument dla tezy, że współczesna młodzież jest mniej zaangażowana politycznie niż poprzednie pokolenia: kampanie, protesty, różnego rodzaju zgromadzenia często zawdzięczają frekwencję informacjom, szybko i masowo przesyłanym za pośrednictwem sieci społecznościowych. Zaangażowanie w internecie często wypiera tradycyjne więzi społeczne (wynikające z sąsiedztwa lub uczęszczania do tej samej szkoły).

Jednym z kilku powodów, dla których marketing polityczny w mediach społecznościowych zyskuje popularność, jest możliwość dotarcia do ściśle określonych grup wyborców oraz za pomocą dostosowanych do indywidualnych potrzeb przekazów. Reklama kierowana do najmłodszych wyborców powinna nieść prosty, bezpośredni przekaz, przedstawiać ludzi i sytuacje, z którymi młodzież może się identyfikować, być zwiędła i zawierać muzyczne tło oraz atrakcyjną oprawę graficzną. Młodzi ludzie są przyzwyczajeni do natychmiastowej komunikacji i natychmiastowego efektu.

Ważne, by marketing skierowany do młodych umożliwiał interakcję. Młodzież ma potrzebę poczucia sprawczości.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Podmiot publikujący informację może zapewnić swoim odbiorcom możliwość współpracy. Komunikacja z młodymi może zatem przybrać formę zaproszenia do wyrażenia opinii oraz zachęty do zamieszczenia posta na blogu, w mediach społecznościowych, stworzenie i udostępnienie hashtaga. Młodzi ludzie odrzucają protekcyjne komunikaty. Wyrażenia potoczne i codzienne najlepiej nadają się do budowania zainteresowania i zaufania.

Zamieszczanie na stronie internetowej informacji dostosowanych do młodych wyborców to świetny sposób na zaangażowanie młodych ludzi i zapewnienie, że mogą nawiązać kontakt z kandydatami, a sprawy młodych są przedstawiane w sposób dla nich atrakcyjny. Ogromnym wsparciem w budowaniu zaufania młodych są sportowcy, artyści i wszelkiego rodzaju influencerzy. Według People First, amerykańskiej firmy specjalizującej się we współpracy z nimi, 43 proc. osób ankietowanych częściej kierowało się opinią zaufanych influencerów niż treściami publikowanymi bezpośrednio w ramach kampanii politycznych.



*Panu
Maciejowi Świrskiemu*

*Wyrazy współczucia
z powodu śmierci*

MAMY

składa

Zarząd Polskiej Agencji Prasowej S.A.

Niezwykłe wahania nastrojów



**Samuel
Pereira**

„15 października 2023 r. skończył się w Polsce kaczym”. To hasło niczym mantrę powtarzają dziś przeciwnicy Prawa i Sprawiedliwości, zapewne nie do końca wiedząc, czy nawet zastanawiając się, co to znaczy. Jeśli oceniać kaczym pod kątem jedynie politycznym, to koniec rządu PiS może grozić zwijaniem się koncepcji politycznej braci Kaczyńskich, ale każdy konserwatysta wie doskonale, że to problem głębszy, bo odnoszący się do pewnego konkretnego zestawu wartości oraz spojrzenia na kraj i świat.

Trudno tutaj abstrahować od światowego trendu i lewicowej fali płynącej z Zachodu oraz sekularyzacji, która prowadzi do odwrócenia, wręcz zaprzeczenia temu wszystkiemu, co przyniosła nam cywilizacja judeochrześcijańska. Przy wszystkich swoich wadach PiS przez lata było murem broniącym przed tą falą. I ten mur, raz zburzony, może się długo nie podnieść. Polska scena polityczna w dalszej przyszłości może ulec tak głębokiemu przeobrażeniu, że z dzisiejszej perspektywy będzie to niewyobrażalne.

Oprócz warstwy światopoglądowej jest też cały podział w podejściu do suwerenności. Widać to bardzo mocno w usilnej presji, jaką od lat na Polskę i inne, mniejsze kraje w UE

wywierają Niemcy i Francja, żeby Unię sfederalizować. Przewodzi tym staraniom Berlin, który widzi siebie w roli nowego (starego) lidera na kontynencie i w swoich dążeniach taranuje wszystko, co stoi na niemieckiej drodze. Raz zlikwidowane weto przy podejmowaniu decyzji w UE nigdy nie zostanie przywrócone, a jeśli Polska zejdzie z drogi eurorealizmu, to innym państwom trudniej będzie postawić się decydom w Brukseli.

Rozpatrując wybory z 15 października w tym kontekście, nie możemy zapomnieć również o Rosji, z którą reset jest już szykowany w Berlinie, a stojąca na tej drodze Ukraina już jest poddawana solidnej presji oraz finansowym szantażom. Wystarczy, że Ukraińcy wrócą pod niemieckie skrzydła, a na czele polskiego rządu stanie Donald Tusk i zacznie się proces, którego nie zatrzyma nikt. „Teraz kiedy piszę te słowa zwołennicy ugody / zdobyli pewną przewagę nad stronnictwem niezłomnych / zwykle wahanie nastrojów losy jeszcze się ważą” – pisał Herbert. Obecne wahania są jednak zdecydowanie niezwykle.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Jagna była we mnie już wcześniej

Z aktorką *Kamila Urzędowską* rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Czuje się pani jeszcze Jagną?

Kamila Urzędowska: Tak naprawdę przestałam nią być dopiero w dniu premiery, kiedy film oddaliśmy widzom. Spędziłam z bohaterką cztery lata. To długo, ale myślę, że Jagna była we mnie już wcześniej. Musiałam jej tylko w sobie poszukać, przypomnieć sobie pewne rzeczy.

Co okazało się kluczem do tej postaci?

Przede wszystkim to, że widziałam dobro w ludziach, że – tak ją postrzegam – zawsze chciała dobrze, ale też szukała siebie.

Czy któraś ze scen szczególnie dużo pani kosztowała?

Wywóz Jagny był bardzo obciążający i psychicznie, i fizycznie, ale najtrudniejszy okazał się stan wewnętrzny rozdrgania Jagny, sprzeczności, które ma w sobie.

Niewiele aktorek może zobaczyć siebie w ożywionej malarzkiej wersji. I nie

jest to tylko efekt „dziewczyny jak malarowanie”.

Mam nadzieję, że widzowie dostrzegli lub dostrzegą w Jagnie – i jej losach – życiowy przekaz, że wyciągną wnioski po obejrzeniu tego filmu.

„Chłopi” to polski kandydat do oscarskich nominacji. Film ma skutecznego amerykańskiego dystrybutora. Liczy pani na podróż do Los Angeles?

Oczywiście bardzo bym pragnęła tej podróży. Mam nadzieję, że do niej dojdzie. Trzymam mocno kciuki za film i wszystkich ludzi pracujących nad jego sprzedażą oraz promocją, bo od tego bardzo dużo zależy.

Co wydarzyło się w pani zawodowym życiu od zakończenia zdjęć do „Chłopów”?

Całkiem sporo. Teraz też coś się dzieje, ale nie mogę jeszcze o tym mówić.



Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

Rysują Mr Donk & dr Fish



1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
SIECI HISTORII	-	169 zł	295 zł

2 Zamów i opłać:

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- Jeśli nie korzystasz z internetu, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:

tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 9-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę



Dane do opłacenia prenumeraty **SIECI na pocztę:**

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 265 zł)

Antypranoc

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘKA, ANIA.LABĘKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTUŁE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WALAŚCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNIE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNĄ SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI X 2, WOJCIECH OKUSIŃSKI/KEAST NEWS,
JACEK DOMINKSI/REPORTER, ANDRZEJ WIANCZAK/REPORTER, FILIP NAUMENKO/REPORTER, BEATA
ZAWRZEŁ/REPORTER, SHUTTERSTOCK/RIFAZIONE, FOTO, GRAND WARSZAWSKI, DEZET, RED, BARON



Pilnuj Polski!

Każda partia, która nie osiąga założonych celów politycznych, musi temat swojej porażki – obiektywnej albo relatywnej – przepracować, przemyśleć, poddać analizie. To naturalne i potrzebne. Prawo i Sprawiedliwość też to czeka.

W istocie ta debata już trwa



JACEK KARNOWSKI

Jednocześnie wewnątrz obozu padają głosy, czasem bardzo ostre, które są nie tyle diagnozą, ile reakcją emocjonalną, często historyczną. To typowa „autoagresja”, skierowana w stronę prawicy i jej przywódców. Działanie najprostsze, zupełnie jałowe i bardzo szkodliwe. Tym bardziej że każdy „Wujek Dobra Rada” mógł wcześniej zdradzić swoją złotą receptę na sukces. Może

pisali, może mówili, ale, niestety, ja nie zauważyłem.

PiS próbowało w tej kampanii wszystkiego. Kampania pozytywna – o którą tak wielu dziś woła – toczyła się z wielką intensywnością wiosną i latem. Wydano dużo pieniędzy na sławetny „ul programowy”, po którym nastroje i notowania tapnęły, a partii groziła śmieszność. Zapowiedziano podniesienie 800+, co podniosło poparcie dla Konfederacji do 15 proc., z perspektywą wzrostu do 20 proc. Obsypano deszczem dotacji miast, miasteczka i wsie, dostając w zamian narastającą falę irytacji. Do samego końca zdecydowana większość przekazu PiS była przekazem pozytywnym, a niemal wszyscy kandydaci w terenie skupiali się na promowaniu osiągnięć

inwestycyjnych i finansowych rządów Zjednoczonej Prawicy. A w ciągu ostatnich dwóch tygodni również na poziomie centralnym powrócono do eksponowania sukcesów.

W tym miejscu można przytoczyć opowieść jednego z posłów, w czasie kampanii wyborczej biorącego udział w otwarciu nowej drogi, na którą lokalna społeczność czekała pół wieku. Były wstęgi, podziękowania i brawa od kilkudziesięciu mieszkańców, którzy przyszli na ceremonię. Gdy jednak poseł zapytał, na kogo zgłoszą, okazało się, że sporo głosów padnie na Trzecią Drogę, na Lewicę, a nawet na PO. Na PiS też, ale jednak nawet tak namacalny, potrzebny, wyczekiwany konkret, jak nowa droga, nie wpłynął na preferencje polityczne mieszkańców.

WKURZAŁO SAMYM SVOIM ISTNIENIEM

Debatując o wyniku wyborów, trzeba pamiętać o sprawie podstawowej: Prawo i Sprawiedliwość tępnęło w sondażach na przełomie lat 2020 i 2021, schodząc z wyników powyżej 40 proc. do wyników powyżej 30 proc. Te spadki utrwaliły kolejne problemy przychodzące z zewnątrz: pandemia, wojna, inflacja. Teflon się skończył, zużywanie się władzy przyspieszyło. Ciągłe kryzysy utrudniały podjęcie środków zaradczych, czyli przede wszystkim przebudowę wizerunkową – na którą zawsze potrzeba czasu, liczonego w latach. Nikt nie miał recepty na zmianę tej sytuacji. Kampania pozytywna, nieuchronnie wpadająca w nieznośne tony samochwalstwa, powodowała jedynie pogorszenie sytuacji. Poza tym, kogo PiS miało przekonać do swojej polityki faktami, to już przekonało. Z kolei zyski z nowych propozycji, w tym z owych kampanijnych „konkretów”, okazały się iluzoryczne. Mówiąc wprost: propozycje raczej drażniły wyborców, niż ich zachęcały.

W pewnym sensie ma rację pewien analityk, który ujmując sprawę krótko: „PiS przegrało z hasłem »j...ć PiS«, z owymi ośmioma gwiazdkami. Nie znalazło recepty na problem mody na nienawiść wobec formacji rządzącej. Wkurzało samym swoim istnieniem coraz szersze grupy społeczne”. Inaczej rzecz ujmując, polityczny kordon sanitarny stał się kordonem komunikacyjnym. PiS przestało być słuchane przez olbrzymie grupy społeczne i nawet gdyby każdemu wyborcy wręczyło sztabkę złota, niewiele by to pomogło. Interesy ideologiczne oraz dystrybucja prestiżu okazały się ważniejsze. Język społecznych interesów przegrał z najniższymi emocjami stadnymi. Formacja rządząca niepotrzebnie wzmacniała te skojarzenia, prezentując najbardziej wulgarnie występy opozycyjnych polityków i aktywistów na własnych konwencjach. A powinna była od nich uciekać.

W istocie to właśnie kampania porównawcza, niesłusznie nazywana „negatywną”, której elementy, zresztą

wybiórczo i niekonsekwentnie, wprowadzono latem, uratowała Prawo i Sprawiedliwość przed „mijanką” z Koalicją Obywatelską. Pozwoliła na faktyczną eliminację tematów śmiertelnie niebezpiecznych (z aborcją na czele), na tożsaczenie boju w obszarze korzystnym dla PiS. Prawo i Sprawiedliwość przestało odgrywać rolę bezczynnej ofiary przemocy domowej, licząc na to, że dobrze

Teraz z perspektywy PiS najważniejsza jest obrona własnej bazy wyborczej. Dziś trzeba myśleć o ocaleniu fundamentów. Trzeba pilnować sztandarów. Najważniejsze starcie czeka nas w 2025 r. w czasie wyborów prezydenckich. One zdecydują o losach Polski już na dekady

wykonane obowiązki chronią ją przed ciosami. Podejmując bezpośrednią rywalizację z Tuskiem, zablokowało nakręcenie się fali, która wczesnym latem groziła całkowitą klęską, a więc zajęciem drugiego lub nawet dalszego miejsca w wyborach. W tle była konstatacja, że po ośmiu latach władzy pozyskanie nowych wyborców jest zadaniem po prostu nierealnym. Pozostawały zabiegi o mobilizację własnej bazy, w dużej mierze zakończone powodzeniem.

ZAGADKA WIELKIEJ MOBILIZACJI

Gdyby nie bezprecedensowa fala mobilizacji drugiej strony, obejmująca także grupy nigdy wcześniej nie spolietyzowane, wynik PiS byłby przyzwoity, a nawet dawałby szansę na utrzymanie władzy. Owa mobilizacja to zagadnienie na długą dyskusję, ale z pewnością dużą rolę odegrał w niej sektor organizacji

pozarządowych, być może wsparty zewnętrznymi pieniędzmi. Nie była to operacja prowadzona przez sztab KO, to było coś znacznie większego, poważniejszego. Coś, co wciągnęło do swoich „politycznych bachanaliów” ludzi całkowicie przypadkowych. Przypominało to wybuch po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji albo protesty przeciwko Acta. Wszystko w typie imprezy, właściwie happeningu, zwoływanego *ad hoc* poprzez media społecznościowe. I był w tym wszystkim posmak „kolorowych rewolucji”, które – wiemy to przecież doskonale – bywają reżyserowane z zewnątrz. Takich elementów było więcej, choćby lista o nazwie Polska jest Jedna, która także urwała PiS cenne głosy, a którą skutecznie „wpuszczono” w środowiska katolickie.

Tak wygląda dziś zglobalizowany świat: suwerenne państwa są atakowane i niszczone przez wielkie sieci nacisku, w skład których wchodzi wielki biznes, wielkie media, NGO, ośrodki dystrybucji prestiżu, instytucje międzynarodowe, nawet te prawnie zobowiązane do neutralności. Można im przeciwstawić jedynie zorganizowaną siłą, pracowicie i cierpliwie budowanymi instytucjami, kumulującymi zasoby i doświadczenie, podejmującymi walkę także na tak trudnych obszarach jak media społecznościowe. Siły wyrastające z nurtu sprzeciwu przeciwko opresji nigdy nie mogą zapominać, w jak niebezpiecznym otoczeniu funkcjonują. Nie mogą dać się zwieść złudzeniu, że panują nad sytuacją, ani nadziei, że zostaną w taki czy inny sposób zaakceptowane przez system. To się nie zdarzyło nigdzie i na pewno nie zdarzy się w Polsce.

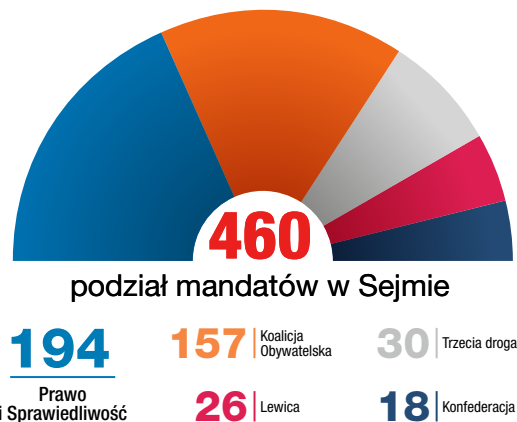
Dlatego po zdobyciu władzy siły niepodległościowe stają zawsze w obliczu trudnego wyboru. Albo próbują uzyskać realny wpływ na rzeczywistość, co naraża je na oskarżenia o intencje i praktyki dyktatorskie (np. premier Viktor Orban na Węgrzech), albo szybko stają się chłopcem do bicia i zwierzyną łowną. PiS próbowało iść środkiem tej drogi, szukając szans na wzmocnienie swojej władzy, ale



w istocie nie przekraczając czerwonych linii, które mogłyby uprawdopodobnić zarzuty opozycji w oczach społeczeństwa. Okazało się to niewystarczające, ale też wątpliwe, czy ostrzejszy kurs przyniósłby lepsze owoce. Jest natomiast jasne, że z perspektywy czasu batalia na niektórych frontach w obecnych warunkach cywilizacyjnych nie mogła zostać wygrana i należało je po prostu opuścić.

Czy w samej kampanii popełniono jakieś błędy? Z perspektywy czasu nietrafionym pomysłem było rzucenie na ostatniej prostej hasła: „Koalicja chaosu”. Nie zostało ono potraktowane poważnie przez wyborców. Po pierwsze, Zjednoczona Prawica też nie miała tu czystej karty, tocząc publicznie wiele sporów. Po drugie, podkreślanie wielonurtowości opozycji było jej pośrednią reklamą, bo podpowiadało, że każdy znajdzie tam coś dla siebie. Po trzecie, wizja potencjalnych klótni nie okazała się czynnikiem realnie odstraszającym wyborców. Lepszym rozwiązaniem byłoby podkreślanie, że głos na Hołownię to w istocie głos na Tuska. Ten błąd nie był jednak decydujący.

Dużo poważniejsze konsekwencje przyniosło faktyczne zlekceważenie tzw. afery wizowej, drobnej w istocie sprawy rozdętej do kuriozalnych rozmiarów przez cały aparat opozycji, w tych wyborach skoordynowany w stopniu maksymalnym, wcześniej nieznanym. PiS miało podstawy sądzić, że PO nie ma szans, podejmując atak na polu imigracji, na którym jest tak mało wiarygodna. Obawiało się także, że wchodząc w starcie wokół kwestii wiz, nakręci jedynie temat niosący opozycję. Siła tego uderzenia okazała się jednak tak wielka, że z perspektywy czasu lepszym wyjściem byłoby podjęcie próby wyjaśnienia społeczeństwu, na czym polega manipulacja. Ordynarne kłamstwo wizowe, tak cynicznie rozdyskrebowane, mocno podkopało wiarygodność formacji rządzącej w kluczowym obszarze, spowodowało załamanie się dobrych trendów i w tym sensie jest aktem założycielskim przyszłego rządu opozycji.



COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ ZACZYNA

Wynik wyborów jest jednoznaczny. Szanse PiS na utrzymanie władzy są raczej teoretyczne. PSL nie jest w stanie pójść samodzielną drogą, nawet jeśli Władysław Kosiniak-Kamysz dostałby ofertę premierostwa. Przeciwstawienie się presji medialnej i społecznej obozu III RP jest w tym przypadku niemal niewyobrażalne. Inna sprawa, że w nowym Sejmie będzie „inna większość”, złożona z posłów PiS, PSL, małej części Lewicy oraz części Konfederacji, która będzie wybrzmiewała w pojedynczych głosowaniach i w pewnym momencie, zapewne po wyborach prezydenckich, może stać się podstawą nowego rozdania. Ale dziś jest na to zdecydowanie zbyt wcześnie. Teraz z perspektywy PiS najważniejsza jest obrona własnej bazy wyborczej. Dziś trzeba myśleć o ocaleniu fundamentów. Trzeba pilnować sztafardów.

O wszystkim zdecyduje kilka najbliższych miesięcy. I odpowiedź na kilka pytań: Czy uda się obronić niezależne instytucje, takie jak TVP, Trybunał Konstytucyjny, Narodowy Bank Polski, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, przed pragnieniem zemsty ze strony totalnej władzy, do niedawna zwącej się totalną opozycją? Czy zostanie zachowana jedność struktur obozu niepodległościowego? Pamiętajmy: ma on w Sejmie prawie 200 szabel i będzie silną opozycją. Bywały czasy, gdy o takim poziomie zorganizowania polscy patrioci mogli jedynie marzyć. Czy prezydent ochłodzi rozgrzane głowy i zapobiegnie demolowaniu państwa oraz jego pozycji

przez siły antypaństwowe, globalistyczne? Wszyscy ludzie dobrej woli powinni mu w tym pomagać. Czy naród będzie bronił polskiej suwerenności w nadchodzącej bitwie o prawo weta w Unii Europejskiej i nowe traktaty? Czy zrozumiemy, że stawką naprawdę jest niepodległość, a przynajmniej jej ramy – możliwe do wypełnienia treścią w przyszłości? W trakcie kampanii zrozumiała to, niestety, jedynie mniejszość, ale przed nami boje zasadnicze, bo grożące domknięciem budowy unijnego superpaństwa, a tym samym redukcją Polskę do pozycji prowincji wielkiego imperium, z bardzo ograniczoną autonomią. Ujmując rzecz przekrojowo: zadaniem numer jeden staje się dziś obrona potencjału naszej państwowości w każdej sferze, tak instytucjonalnej, majątkowej, jak i prawnej. Trzeba pilnować Polski.

Debata o przyczynach porażki jest także debatą nad przyszłym kursem Zjednoczonej Prawicy. Przed nami przecież wybory samorządowe i europejskie. Będą to ciężkie bitwy, trudno w nich liczyć na wielkie sukcesy. Ale każdy krok do przodu będzie na wagę złota. A przede wszystkim jest to okazja do budowy „maszyny politycznej” mocno osadzonej w terenie, otoczonej ruchami społecznymi, a jednocześnie sprawnej analitycznie i badawczo, będącej w stanie wygrać z kisiem globalizmu, a więc nie tylko z siłami politycznymi, lecz także z mediami, NGO, zewnętrznym finansowaniem, presją międzynarodową. Najważniejsze starcie czeka nas rzecz jasna w 2025 r. w czasie wyborów prezydenckich. One zdecydują o losach Polski już na dekady. Jeśli III RP przejmie Pałac Prezydencki, domknie budowę systemu właściwie niemożliwego do obalenia. Wybór kandydata prawicy będzie więc sprawą kluczową. W sferze programowej z kolei trzeba szukać pozycji wyrazistych, ale też takich, które nie pozwolą na zepchnięcie PiS do roli niewybieralnego Frontu Narodowego we Francji. Ta porażka, paradoksalnie, otwiera też ciekawe możliwości.

Coś się kończy, ale coś się zaczyna. Walka o Polskę nie kończy się nigdy.

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ



PO WYBORACH

SIECI

Nie poddamy się!

Teraz najważniejsza jest jedność

Nie wiem, czy wszyscy Polacy zdają sobie sprawę,
że stara bieda może zaraz wrócić

Michał Karnowski rozmawia z **Adamem Bielaniem**, posłem do Parlamentu Europejskiego, członkiem sztabu wyborczego Prawa i Sprawiedliwości w ostatnich wyborach

Czy można było te wybory nie tylko wygrać, co się udało, lecz także zrobić to tak wyraźnie, by rzucić trzecią kadencję?

Adam Bielani: Możliwe było zdobycie ok. 8 mln głosów. Czyli powtórzenie wyniku z 2019 r.

Zabrakło niewiele. Na listę Prawa i Sprawiedliwości padło dokładnie 7 640 854.

Przy dotychczasowej, nawet wysokiej frekwencji dawałoby to, nawet jeśli nie samodzielna większość, to tak dużą liczbę mandatów, iż skonstruowanie rządu bez naszego udziału nie byłoby możliwe. Czyli powyżej 215. Ostatecznie zdobyliśmy 194.

Co zdecydowało, że wynik był słabszy niż oczekiwano? Zawiodło gdzieś samo PiS? Historycznie wysoka, niemal 75-proc. frekwencja była czynnikiem, na który nie było sposobu?

Żeby przeprowadzić uczciwą, pogłębiającą analizę kampanii wyborczej trzeba się skupić na trzech okresach. Była ona długa, zaczęła się w zasadzie tuż po wyborach prezydenckich w 2020 r., kiedy to we wszystkich partiach zaczęto już myśleć o wyborach parlamentarnych, przygotowywać się do nich. Tak też było w Zjednoczonej Prawicy, lecz trzeba pamiętać, że jako ugrupowanie rządzące mierzyliśmy się w tym czasie z nadzwyczajnymi wyzwaniami. Liczba plag, które przyszły z zewnątrz i spadły na Polskę, była niespotykana od dekad.

Pandemia była pierwszą.

I związane z nią bolesne lockdowny, których skutki mocno wychodziły w kampanii, także przez pojawienie się w polityce grup, dla których tamte emocje były główną siłą napędową i które zabrały nam sporo głosów. Wojna na Ukrainie, zaangażowanie w nią rządu i państwa polskiego oraz związana z nią putinizacja. Światowy kryzys energetyczny pogłębiany szaleńczą polityką klimatyczną. Niewątpliwie w tym czasie popełnialiśmy błędy, skutkujące nadzwyczajną mobilizacją przeciwko nam.

Drugi okres do analizy to zapewne czas od powołania sztabu?

Tak, to kampania właściwa; zaczęła się w grudniu ub.r. Wtedy sformował się też zrab sztabu. Oraz trzeci okres – ostatnia prosta, do której zaliczam wakacje i późniejsze sześć tygodni aż do dnia wyborów. W samej końcówce kampanii mieliśmy do czynienia z wydarzeniami mającymi istotny wpływ na wynik wyborczy, takimi jak rezygnacja z posad dwóch znaczących generalów czy kwestie związane z wydawaniem wiz. Decyzje kryzysowe, podejmowane w tym czasie przez rząd – takie jak ewakuacja rodaków z Izraela – były słuszne, być może jednak należało inaczej poprowadzić komunikację społeczną. Podobnie jak w przypadku nieprawidłowości dotyczących wydawania wiz. W praktyce chodziło o raptem 268 przypadków dotyczących ustalania miejsca w kolejce po wizę, nawet nie wydawania wiz (sic!). Wystarczyło to jednak w zupełności, by opozycja i jej media powieliły kłamstwa o setkach tysięcy nadużyć.

Ostatnia prosta to też nagłe wsparcie przez system III RP Trzeciej Drogi. Czyba skuteczne?

Tak, Donald Tusk poniósł tu prestiżową porażkę. Wielokrotnie zapowiadał, nawet ogłaszał „mijankę” z Prawem i Sprawiedliwością w sondażach, wywindowanie Platformy Obywatelskiej na pierwsze miejsce. To było dla niego ważny cel, którego na szczęście nie osiągnął. Kilkanaście dni przed wyborami musiał się z tym pogodzić i zrobić miejsce dla Trzeciej Drogi, by z jej pomocą odzyskać chociaż część władzy.

Na ostatniej prostej mieliśmy też do czynienia z potężną i bardzo drogą kampanią profrekwencyjną po stronie opozycji. Kto za nią zapłacił?

Ta sprawa wymaga pogłębionej analizy i dokładnego sprawdzenia. Bez wątpienia zostały w to zaangażowane ogromne pieniądze, pochodzące od tzw. organizacji pozarządowych, prywatnych firm, a zapewne i z zagranicy.

Uważam, że doszło do naruszenia regul kampanii, polskiego prawa wyborczego. Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia w 2007 r., gdy w telewizji przeprowadzono kampanię: „Idź na wybory, zmień kraj”. Dziś grube miliony poszły na taką kampanię, teoretycznie profrekwencyjną, faktycznie agitacyjną – w internecie, mediach społecznościowych. Polskie prawo wyraźnie zakazuje finansowania kampanii z zagranicy, precyzyjnie wskazuje, z jakich źródeł komitety wyborcze mogą pozyskiwać środki i jak się z nich rozliczać. Mówię o tym także dlatego, że zgoda na takie numery oznacza otwarcie bram politycznych piekieł, nieograniczoną możliwość wpływania na wybory Polaków przez pieniądze z zagranicy.

Czy Prawo i Sprawiedliwość nie powinno było mocniej i wcześniej podjąć walki o wyborców w internecie, który jako przestrzeń pozyskiwania informacji, komunikowania się ludzi stale zyskuje na znaczeniu?

W wakacje, po zmianach w sztabie, zaczęliśmy analizowanie tego obszaru. Sytuacja była dramatycznie zła, gdy chodzi o ruch kreowany przez duże portale internetowe – tam przewaga informacji korzystnych dla opozycji wobec pozytywnych dla nas wynosiła 85 do 15. W obszarze ruchu organicznego kreowanego przez polityków było niewiele lepiej, 80 do 20 na naszą niekorzyść. W wyniku ciężkiej pracy te ostatnie proporcje udało się nieco odwrócić, chociaż przede wszystkim na portalu X, dawnym Twitterze, niestety, nie na najważniejszym portalu społecznościowym, jakim pozostaje Facebook. Ogólnie tej różnicy nie dało się już nadgonić. Tym bardziej że zderzyliśmy się tu jeszcze ze wspomnianymi kampaniami organizacji pozarządowych, które wydawały sumy nieosiągalne dla nas. Z tego wszystkiego musimy wyciągnąć wnioski zarówno przed kolejnymi wyborami, jak i długoterminowo.

Wspomniał pan o zmianach w sztabie. Tomasza Porębę zastąpił Joachim Brudziński, dokonano też



korekty linii kampanii po majowym „ulu programowym”. Jak dziś ocenia pan te decyzje?

Mieliśmy bardzo długi okres kampanii wyłącznie pozytywnej, w której rozliczaliśmy się z ośmiu lat rządów, przypominaliśmy nasze sukcesy i wydarzenia z tego okresu – moim zdaniem najlepszego po 1989 r. – jednocześnie prezentując projekty i plany na przyszłość. Apogeum tego był właśnie majowy „ul programowy”. Widzieliśmy jednak, że ze względu na sytuację geopolityczną, wciąż wysoką inflację i niepokoje przekładające się na poczucie ludzi, iż sytuacja w kraju idzie w złym kierunku, ta narracja budziła irytację. Byliśmy bardzo blisko „mijanki”, PO była bliska wyprzedzenia nas, a jednocześnie rosła Konfederacja.

Co ciekawe, jej największe wzrosty zaczęły się po ogłoszeniu waloryzacji 500+ do 800+.

Co pokazuje, jak zmieniały się nastroje, jak bardzo konieczna była korekta linii. Przecież Konfederacja nie ukrywała, że jej głównym celem jest zmieniecie nas ze sceny politycznej, przeprowadzenie „depisacji” wspólnie z Platformą. Przed wakacjami przekroczyła 15 proc. i wierzyła, że zaraz będzie miała 20. Wprowadzenie w tym momencie elementów kampanii porównawczej wyrwało nas z tego korkociągu.

Copan ma na myśli, mówiąc o kampanii „porównawczej”?

Pokazywanie naszego dorobku na tle poprzedników. Dane statystyczne, lecz także świadectwa ludzi, fakty, wypowiedzi. To przecież był realny wybór Polaków: rządu Tuska, który się nie zmienił, lub kontynuacja tego, co zaczęliśmy w 2015 r. Gdyby nie zdecydowane przypomnienie, jak było kiedyś, nasz wynik byłby znacznie gorszy.

Mimo wszystko pojawiają się głosy, że kampania wyłącznie bardziej pozytywna, przedstawiająca obietnice, dałaby lepsze efekty. Jak pan się odnosi do tych wypowiedzi?

Do „ula programowego” kampania była wyłącznie programowa, pozytywna. Potem posłowie prowadzili kampanie pozytywne, przedstawiając plany dla regionów, konkretnych wsi i miast. Tylko to nie uchroniło nas przed kryzysem sondażowym, choć właśnie złożyliśmy bardzo kosztowne, szerokie propozycje programowe.

Gdzie pan widzi przyczynę?

Konieczność wzmocnienia retoryki porównawczej z rządami Tuska wynikała m.in. z irytacji ludzi, uważających, że mają mniej w portfelu

Mieliśmy bardzo długi okres kampanii wyłącznie pozytywnej. Ale ze względu na sytuację geopolityczną i inflację ta narracja budziła irytację. Rosły PO i Konfederacja. Wprowadzenie elementów kampanii porównawczej wyrwało nas z tego korkociągu

z powodu wyższych cen w sklepach, a nie odczuwali wskazywanych przez GUS wzrostów płac, które pewnie nie rozkładały się równomiernie. Dalsze atakowanie wyborców wyłącznie komunikatami o tym, ile dobrego zrobiliśmy i co zamierzamy zrobić, choć prawdziwe, groziło pompowaniem opozycji, w tym Konfederacji. Pamiętajmy, że ta partia odżegnywała się od koalicji z nami.

Co nimi motywowało?

Chcieli nas zastąpić, doprowadzić do wymiany praktyki. Także z tego powodu korekta kampanii, zapowiadana zresztą w wywiadzie dla „Sieci” prezesa Jarosława Kaczyńskiego, musiała nastąpić.

Drugą linią ataku jest rzekomo nachalna propaganda, w tym w mediach publicznych. Co pan odpowie?

Przez wiele lat mieliśmy do czynienia z inną propagandą. Całkowicie odebraną od faktów, w mediach związanych z Platformą Obywatelską. Potężna stacja komercyjna, ogromne portale internetowe w zwalczaniu nas i wspieraniu opozycji podeptały wszelkie zasady dziennikarstwa oraz przyzwoitości. Ataki na TVP wynikały najczęściej z tego, że pojawiła się szczelina w tym systemie i Polacy mogli poznać ukrywane przed nimi fakty o rządach Tuska, dorobku naszych rządów, usłyszeli inne opinie. PO nie podobało się też, że ktoś patrzył jej na ręce w samorządach, gdzie trzyma przecież potężny kęs władzy. Tak było m.in. w Warszawie, a tylko tu doszło do np. gigantycznej afery związanej z gospodarką śmieciową, problemów z oczyszczalnią ścieków i odprowadzaniem nieczystości do Wisły. Media przychylnie Platformie ledwie o tym napomknęły. Media publiczne wspierały kulturę narodową, organizowały wspólne przeżywanie historii, rocznic dumy narodowej. Warto tego bronić.

PO przejmie media publiczne?

Nie mam wątpliwości, że zrobią wszystko, by domknąć system. Obawiam się, że wrócą czarne czasy z lat 2007–2015, gdy wszyst-

kie największe media nadawały w zasadzie to samo, z wściekłością atakując ówczesną opozycję, w ogóle nie patrząc na ręce tamtej władzy, kibicując Tuskowi. To był medialny monopol, dziś mamy pluralizm.

Wróćmy do kampanii. Jak w PiS przebiegają rozmowy podsumowujące kampanię? Noce długich noży czy spokojne rozmowy?

Mieliśmy długie spotkanie i szczerą dyskusję z prezesem Jarosławem Kaczyńskim w poniedziałek, tuż po wyborach. To oczywiście, że nie mogę ujawniać jej treści, ale jestem w stanie powiedzieć, że w dużej mierze było ono poświęcone przyszłości. Temu, że już dziś trzeba myśleć o kolejnych

wyborach – samorządowych w przyszłym roku, następnie europejskich. Te ostatnie będą zapewne wielkim starciem w obronie suwerenności Polski. Jeżeli Tusk zostanie premierem, narzuci Polsce przymusową relokację migrantów. Zaakceptuje zapewne propozycję zmiany traktatów unijnych, co może pozbawić Polskę prawa weta w blisko 90 obszarach. Przełożone już, m.in. ze względu na wybory w Polsce, głosowanie w PE odbędzie się 25 listopada br., a w związku z tym Tusk bardzo szybko zaszkodzi Polsce.

Może się zreflektuje? Nie sprzeda Polski za medale z Berlina?

Potężni polityczni sponsorzy zainwestowali w wygraną Tuska ogromnie dużo, dali mu pełne wsparcie Brukseli, blokadę należnych nam środków, potężne niemieckie media, popłynęły też różne wielkie fundusze. Myśli pan, że nie zażądają zwrotu z inwestycji? Już żądają.

O czym jeszcze było na spotkaniu?

O potrzebie jedności w tym trudnym okresie. Gdybyśmy się dzisiaj podzielili, szanse na pozytywny scenariusz dla Polski w przyszłości spadłyby do zera. Ostrzegam też przed próbami rozgrywania naszego obozu przez media opozycji. Już teraz pojawiają się np. wyjątkowo zakłamanie ataki na szefa sztabu Joachima Brudzińskiego. Objął sztab w trudnym momencie, kilka dni przed planowaną konwencją w Łodzi, którą musiał od razu odwołać, w biegu rozładowując kryzysy, i zawsze doskonale sobie radził. Nie znam nikogo, kto lepiej poprowadziłby naszą wyborczą pracę w tym trudnym czasie.

Gra o władzę jest już skończona? PSL odrzuca propozycję rozmów.

To jest tak naprawdę pytanie o to, czy nazwa „Trzecia Droga” była opisem polityki, którą zamierzają prowadzić, czy była oszustwem, bo chodziło tylko o zdobycie głosów dla Tuska. Czy będą prowadzić własną autonomiczną politykę, czy powtórzą służebną rolę PSL wobec Tuska z lat 2007–2015. Jeśli tak uczynią, szybko potem znikną. Jestem sceptyczny wobec szans na po-

rozumienie, ale zostawiam niewielką furtkę na pozytywne zaskoczenie. Tych rozmów na pewno spróbuje nasz kandydat na premiera.

Prezydent jest pod potężnym naciskiem, grożą mu nawet cięciem w budżecie Kancelarii Prezydenta, by tego nie uczynił. Nie ulegnie?

Nie mam wątpliwości, że nie ulegnie. Jest dobrym obyczajem polskiego parlamentaryzmu, że to zwycięskie

Powrót rządów Donalda Tuska będzie dla Polski bardzo dużym zagrożeniem. Obóz patriotyczny jest obecnie osłabiony. Ale mamy silne karty w parlamencie. I wciąż poparcie milionów Polaków

ugrupowanie pierwsze podejmuje próbę stworzenia większości rządowej w Sejmie. Nasz mandat jest bardzo silny, zwycięstwo bezdyskusyjne, nie ma powodów, by nas pozbawiać tej możliwości.

W tym Sejmie są inne potencjalne większości. Obrony wartości chrześcijańskich, obrony programów prodominnych i społecznych, obrony niepodległości. Jesteście otwarci na rozmowy z Lewicą i Konfederacją?

Oczywiście. Wyborcy zdecydowali, że nie mamy samodzielnej większości, naszym obowiązkiem jest więc próba uzyskania tak dużego wpływu na bieg spraw państwowych, jak to możliwe. Będziemy rozmawiali zarówno o tworzeniu większości rządowej, jak i w konkretnych sprawach, które będą się rozstrzygały. Dobro Polski i Polaków jest najważniejsze.

To prowadzi nas do pytania, czy ta kadencja będzie zabetonowana, czy możliwe są jakieś zmiany?

Spokojnie na pewno nie będzie. Jednak pan prezydent, co zresztą już zapowiedział, a w co ja szczerze wierzę, będzie bronił dobrego dla Polaków dorobku ostatnich lat rządów Zjednoczonej Prawicy. Ugrupowania opozycji są koalicjami złożonymi z bardzo wielu różniących się formacji, to w sumie 11 podmiotów! To będzie rozbijało spójność tej polityki, prowadziło do rywalizacji o wyborców. Zarządzanie taką grupą będzie niezwykle trudne.

Przecież one zaczęły się różnić już w pierwszych godzinach po podaniu wyniku wyborów.

Pani Izabela Leszczyna już mówi o rzekomej dziurze budżetowej, padają stwierdzenia, że obietnice wyborcze były „przenośnią”. Te słowa coś zapowiadają?

Wskazują, że nie tylko nic z tego, co obiecywano, nie zostanie wprowadzone, lecz także wszystkie dobre zmiany wprowadzone przez nasze rządy są bardzo poważnie zagrożone. Nie wiem, czy wszyscy Polacy zdają sobie sprawę, że stara bieda może wrócić.

Wspomniał pan o prezydencie. Za półtora roku mamy wybory prezydenckie. Myślicie już o nich?

Zaczynamy. W maju 2025 r. odbędzie się kolejna bardzo ważna bitwa o Polskę. Musimy wybrać najlepszego kandydata i wszyscy wspólnie pracować dla niego w kampanii.

Wielu naszych czytelników martwi się o Polskę. Co by im pan powiedział?

Z pełnym przekonaniem przez ostatnie miesiące powtarzałem, że to będą najważniejsze wybory po 1989 r. Nie mogę więc dzisiaj powiedzieć, że nic się nie stało. Obóz patriotyczny został osłabiony. Wciąż na czele mamy jednak znakomitego lidera Zjednoczonej Prawicy, jakim jest prezes Jarosław Kaczyński, oraz miliony Polaków, dla których przyszłość Polski jest ważna, a którym chciałbym bardzo podziękować za każdy oddany na nas głos. Dziękuję również wszystkim działaczom i osobom zaangażowanym w minioną kampanię. Przed nami kolejne wybory. Nie poddamy się!



Obiecanki cacanki

Wystarczyło kilkadziesiąt godzin od wyborów, by mające w nowym Sejmie większość partie opozycyjne wycofały się z wielu kampanijnych obietnic. Ich wyborcy zaczynają się czuć oszukani, a kolejne grupy społeczne z przerażeniem słuchają, co jeszcze zabierze im nowa władza.

Był to scenariusz oczywisty, przestrzegaliśmy przed nim. Naród dziarsko zagłosował jednak za ukreśnieniem sobie bata na własne plecy.

Teraz Tusk nie cofnie się już przed niczym



MAREK PYZA

To była bodaj najbardziej obłudna kampania wyborcza w ostatnich dekadach. Oparta nie tylko na nienawiści, ale i opozycyjnych fake newsach, ciężkiej propagandzie. Kłamstwa dotyczące rzekomej afery wizowej rozbuchano do niebotycznych rozmiarów, czym podmínowano główny element kampanii PiS – obronę Polski przed nielegalną migracją. Histerią wokół cen paliw doprowadzono do zaburzenia ich dostaw. Socjotechniką i skrajnie złymi emocjami wielu odciągnięto od racjonalnego myślenia i rzeczowego spojrzenia na dobro rządów Zjednoczonej Prawicy, zwłaszcza w zestawieniu z wcześniejszymi ośmioma latami.

Wreszcie bardzo precyzyjnie zaplanowano też system obietnic wyborczych. Od razu było widać, że są nie do zrealizowania, choćby ze względu na totalną rozbieżność programową wśród ugrupowań deklarujących wspólne rządy. Dlatego nie wyszła jedna lista. Dlatego trwa ostra walka o choćby zręby umowy koalicyjnej, która ma jakoś spajać nadchodzącą większość parlamentarną.

Portal wPolityce.pl trzy tygodnie przed wyborami ujawnił, że Donald Tusk ma już przygotowane zdanie, którym po ewentualnym uzyskaniu większości sejmowej przez partie opozycyjne odwoła niemal wszystkie obietnice. Miało ono brzmieć: „Zastanawiam się, czy sytuacja dużo gorsza niż sądziłem. Dlatego wszystkie plany trzeba odłożyć na bok. Konieczne są drastyczne oszczędności”. Niektórzy drwili, że słynne słowa wypowiedziane przez Jana Vincenta Rostowskiego: „Piniendzy nie ma i nie będzie” to pieśń przeszłości i na próżno się nim straszy. Ale już w pierwszych powyborczych dniach okazało się, że

mieliśmy rację, a w obozie liberalistów (to oni będą w nim dominować) zwyciężyła chęć cięć i zmuszania Polaków do zaciskania pasa. Dla wielu może to być bolesna konstatacja, ale nawet wyborcy PO muszą sobie uświadomić, że i dla nich idą ciężkie czasy.

Przypomnijmy jeszcze jeden fragment publikacji z 25 września: „Radykalne cięcia mają dotyczyć nie tylko własnych zapowiedzi, ale także programów prorodzinnych i społecznych wprowadzonych przez rządy PiS. Mówi się o »zawieszeniu« 13. i 14. emerytury, ograniczeniu 800+ dla najuboższych, rezygnacji z większości dodatków dla rodzin. Co jakiś czas zresztą posłowie PO o tym mówią, choć są uciszani »dla dobrej kampanii«. Argument zastanej rzekomo »katastrofy« ma być też użyty do zatrzymania kluczowych, zniechędzonych przez opozycję projektów, jak CPK, budowy silnej armii, inwestycji w atom i petrochemię. Słowem – cała wstecz, hamulec na maksa”.

Wygląda na to, że sprawdzi się wszystko.

PRZENOŚNIA OBYWATELSKA

27 września Tusk deklarował błyskawiczne załatwienie miliardów z Komisji Europejskiej na Krajowy Plan Odbudowy: „Skladam tu, w Sopocie, moim rodzinnym Sopocie, to uroczyste przyrzeczenie, że dzień po wyborach, po zwycięstwie, pojadę i te pieniądze odblokuję, i wszyscy to odczujemy”. Tusk nie mówił, że potrzebuje 24 godz. od momentu zostania premierem, lecz doby od wyborów. Ten czas już minął. I nawet jeśli zupełnie nierealne było oczekiwanie, że Komisja Europejska odblokuje te środki „na gębę”, tylko dlatego, iż Tusk ma wreszcie szansę stworzyć rząd, to można się było spodziewać, że popłynie jakiś sygnał z Brukseli, iż teraz droga do wypłaty Polsce pieniędzy jest szeroka i bez wybojów. Nic takiego nie miało miejsca.

Jak to wytłumaczyć wyborcom? Katarzyna Lubnauer bezceremonialnie wypaliła, że obietnica Tuska była... przenośnią. A zatem nie należało się do niej przywiązywać. Bezczelne? Owszem, choć nie to najbardziej. Pieniądze z Brukseli są bowiem najmniejszym problemem, jaki spadł na świadomość wyborców w kilkadziesiąt godzin po głosowaniu. Bez pieniędzy na KPO obchodziliśmy się dotychczas znakomicie i możemy dalej się obejść. Zresztą wiele zaplanowanych w planie inwestycji już powstaje, bo rząd Morawieckiego znalazł na nie środki. Gorsze, że partie opozycyjne wycofują się już ze swoich sztandarowych obietnic wyborczych i zapowiadają cięcia niemal w każdej sferze.

Przypomnijmy, co jeszcze miało się składać na nowe polskie eldorado. Działający już, zaplanowany w budżecie i zbilansowany projekt nisko oprocentowanych (2 proc.) kredytów mieszkaniowych miał zostać przebity Tuskowym „kredytem 0 proc.”. Dopiero

po wyborach słyszymy (np. od polityków Trzeciej Drogi), że to rozwiązanie nie do przyjęcia, bo spowoduje wyłącznie wzrost cen mieszkań. Dodatkowo Lewica postulowała inny sposób na uzdrowienie polityki mieszkaniowej – system budowy tanich lokali na wynajem. Trzeba się więc będzie zdecydować

wytrzymując i już zapowiadają, że tak nie będzie. Jak ujawnił Paweł Zalewski, losy wspomnianego świadczenia mają być dopiero przedmiotem rozmów w koalicji, a jego ograniczenie nie będzie złamaniem obietnicy, bo... „to nie jest świadczenie socjalne”. Mógł od razu dodać: i co nam zrobicie?



na jedno bądź drugie. A zatem któraś z partii (albo obie) swojej gruszki z wierzby nie utrzyma.

Wszystkie programy socjalne (w tym 800+) miały zostać zachowane. Ale parlamentarzyści Polski 2050 (druga siła w spodziewanym nowym rządzie) nie

Rząd miał się zresztą ukonstytuować szybko, resorty miały być błyskawicznie rozdane, a ustawy wyjęte z szuflad i wprowadzane pod obrady. Nic podobnego się nie dzieje i nie stanie, nie tylko dlatego, że do utworzenia nowego rządu jeszcze co najmniej kilka tygodni.



Mamy konflikt w negocjacjach koalicyjnych, i to na poziomie fundamentalnym – w jakim składzie partyjnym sklei się Radę Ministrów. Podchody pod wykasowanie zeń Lewicy trwają, a sygnały wysyłane przez wielu polityków np. Trzeciej Drogi tylko to potwierdzają. Piotr Zgorzelski z PSL twardo sprzeciwił się np. temu, by lewej stronie przypadł resort edukacji: „Byłoby to przełożenie wajchy z jednej strony w drugą. [...] w polskiej szkole niepożądany jest zwrot ideologiczny i ta warstwa ideologiczna nie powinna być na pierwszym miejscu”. Jak widać, mocno się tam kotłuje, a kampanijne opowieści o znakomitej współpracy i dogadaniu się partii opozycyjnych można włożyć między bajki.

Odpolitycznienie spółek skarbu państwa? Była o tym mowa na prawie każdym wiecu opozycyjnym. A co słyszymy po wyborach? „W połączeniach czy wielkich fuzjach, takich jak ORLEN miał, trzeba mieć swoje władze. Dlatego te władze muszą być z nowego rozdania politycznego” – bezceremonialnie ogłosił Krzysztof Gawkowski z Lewicy. A więc zapomnijcie już, drodzy wyborcy, o konkursach i wybieranych w nich fachowcach. Będzie skok na spółki wygłodniałej ekipy.

„PINIENDZY NIE MA”

Donald Tusk co i rusz mamił: 20 proc. podwyżki dla wszystkich pracowników budżetówki i 30 proc. dla nauczycieli. Z pedagogami skończy się zapewne na tym (jeśli i to nie zostanie obcięte), że od stycznia otrzymają podwyżki w wysokości 12 proc., ale to zaplanował jeszcze rząd PiS.

A co z resztą budżetówki? To m.in. do tej grupy był skierowany tweet Izabeli Leszczyny, niegdyś lansowanej na minister finansów w rządzie PO: „PiS to oszuści: ukrywali przed wyborcami, że w tegorocznym budżecie jest gigantyczna dziura Morawieckiego”. Czy pani poseł po wyborach posiada jakąś tajemną wiedzę, która była dla niej niedostępna przed elekcją? Nie. Projekt budżetu był znany od miesięcy. I nie, nie ma w nim dziury. Ma to być jedynie

wytrych dla wycofania się ze wszystkiego, co miał dać ludowi dobry pan Tusk. Ten sam pan, który na jednym ze spotkań wyborczych czarował: „Jeśli w Polsce znowu nastanie rząd odpowiedzialny, który wie, na czym polega gospodarka, to pieniądze znajdą się w sposób niemalże automatyczny [...] wiecie, z czego można sfinansować ten program 100 konkretów w 100 dni? Z uczciwości, kompetencji, dobrej reputacji przyszłego rządu”.

Wszystkie programy socjalne (w tym 800+) miały zostać zachowane. Ale parlamentarzysty Polski 2050 (druga siła w spodziewanym nowym rządzie) nie wytrzymują i już zapowiadają, że tak nie będzie

To wyjątkowo obłudny passus, dla najbardziej naiwnych, ale jednak wypowiedziany, więc można Tuska z niego rozliczać. Czy ta rzekoma wspaniała reputacja rządu zrekompensuje Polakom obniżenie standardu życia? Z końcem roku znikają tarcze z zerowym VAT na żywność czy energię. Nowy rząd ich nie przedłuży, więc podskoczą ceny. Wszystkiego.

Przypominają się słowa Donalda Tuska wypowiedziane do prezesa ORLENU Jacka Krawca po wyborach w 2011 r.: „Teraz, k...a, to paliwo może być nawet i po 7 zł”. I zapewne będzie.

Może za to nie być darmowych akademików obiecywanych przez szefa PSL. Powątpiewa w to nawet Ryszard Petru, który dostał się do Sejmu z listy Trzeciej Drogi: „Stan finansów publicznych określi, co jest możliwe, a co nie”. Podobnie z kwotą wolną od podatku w wysokości 60 tys. zł czy zerowym PIT dla zarabiających do 6 tys. zł miesięcznie, zapowiadanymi przez PO. To po co się naobiecywało? To proste – wyłącznie, żeby wygrać.

Raczkciem pełnie prezes ludowców, który tyle opowiadał o „dobrowolnym ZUS” dla przedsiębiorców, a po wyborach ogłosił, że przecież nie chodzi o żadną dobrowolność, lecz możliwość „wakacji”, zawieszenia płatności na parę miesięcy, gdy firma przeżywa ciężkie chwile. W programie PSL (i Kosiniaka-Kamysza przed wyborami prezydenckimi) zawsze znajdowało się jednak coś innego. Zaglądamy do tych dokumentów: „Samozatrudniony będzie mógł zdecydować, czy chce opłacać ZUS, czy z tego rezygnuje, ponosząc konsekwencje nieopłacania składki”.

Trzecia Droga rzeczywiście zapisała w swoim przedwyborczym résumé „wakacje od składek ZUS” dla „mikrofirm zagrożonych niewypłacalnością”, lecz w kampanii Kosiniak-Kamysz wciąż mówił o „dobrowolnym ZUS”. Taka mała sztuczka, by podebrać postulat Konfederacji, która rzeczywiście domagała się tu dobrowolności.

AKCJA LIKWIDACJA

Nie ma więc większych wątpliwości – rząd Tuska skupi się nie na dawaniu, lecz zabieraniu. I tak Kosiniak-Kamysz postuluje likwidację 13. i 14. emerytury. Chce je zastąpić zniesieniem opodatkowania emerytur, a tym samym pozbawić znaczących środków miliony emerytów pobierających niskie świadczenia. Bo przecież już dziś emerytura do wysokości 2,5 tys. zł jest zwolniona z podatku, a przy wyższych płaci się daninę do budżetu (w dodatku obniżoną z wcześniejszych 17 proc. do 12 proc.) tylko od kwoty, o jaką przekracza się 2,5 tys. zł. A zatem emerytowi, który otrzymywał co miesiąc 2,5 tys. zł, zostanie zabrane ponad 4 tys. zł rocznie. Jeśli ktoś dostawał więcej, również straci. Kto zyska na genialnym systemie Kosiniaka-Kamysza? Nikt. Chyba że lider PSL miał na myśli (a tu nie ma jasności) zniesienie nie tylko podatku, lecz również składki zdrowotnej płaconej od emerytury. W takim przypadku aby wyjść na delikatny plus (30 zł rocznie!) po Kosiniakowych zmianach trzeba otrzymywać 4,5 tys. zł emerytury. Dodajmy jeszcze, że to rozwiązanie ko-

rzystne dla zdecydowanej mniejszości seniorów. Dość powiedzieć, że według ostatnich danych ZUS, emerytury w wysokości poniżej 2,4 tys. zł pobiera aż 42,5 proc. kobiet. A zatem panie może i się dla ludowców liczą, lecz na pewno nie te w podeszłym wieku.

Czy seniorzy powinni się obawiać? Tej ekipy zawsze, zwłaszcza że w wieczór wyborczy Hołownia cieszył się jak dziecko: „W niedzielę 15 października skończyły się w Polsce klótnie i rozdawnictwo, a zaczęła się współpraca i inwestycje w naszą przyszłość”.

W tym przypadku mamy na szczęście dwa parasole ochronne. Pierwszy to postawa Lewicy, kategorycznie sprzeciwiającej się odbieraniu emerytom dodatkowych świadczeń. Zagrożeniem byłby więc układ, nad którym trwają już prace – Lewica jest w nim wykiwana przez PO i Trzecią Drogę, jej posłowie podebrani, znajduje się poza rządem i nie przeszkadza Tuskowi w jego turboliberalnej polityce. Nawet w takim przypadku likwidację musi jednak zaakceptować prezydent, co jest właściwie wykluczone.

Idźmy dalej. Głosowałeś na Lewicę? Zapomnij o ułatwieniach w przeprowadzaniu aborcji (i bardzo dobrze!). Nie godzi się na to PSL. Tu nic nie jest pewne, ale opór Kosiniaka-Kamysza, który zapowiedział weto wobec wpłacania jakichkolwiek spraw światopoglądowych do umowy koalicyjnej, powstrzymał mordercze zapędy Lewicy i PO. Przynajmniej na razie, a co zrobią później dla utrzymania władzy, to się dopiero okaże.

Partia Czarzastego i Biedronia tak bardzo chce udziału we władzy, że swój sztandarowy projekt jest gotowa złożyć jako poselski. Podobnie wycofuje się z obrony praw pracowników. Do niedawna opowiadała się bowiem za utrzymaniem zakazu handlu w niedzielę, ale wobec nacisków Platformy oraz Trzeciej Drogi i ten postulat porzuca. Anna Maria Żukowska przyznała w Polskim Radiu: „Mam wrażenie, że niedziele handlowe wrócą, ale będziemy walczyli o postulaty związkowców dotyczące płac”. Wszystko dla dobrej koalicji. To przecież cenniejsze niż dobro obywateli.

OTWIERAMY GRANICE

Najbardziej martwi jednak zupełne odwrócenie wektorów w strategicznej polityce rządu nad Wisłą. Na każdym kroku słyszymy o planach wycofania się z budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, projektu, którego zazdrości nam świat i który jest olbrzymią szansą rozwojową dla naszego kraju. Niedawno analitycy z firmy Ernst & Young policyli, że koszt powstania CPK zwróciłby się w ciągu 12 lat tylko z dodatkowych dochodów z cła i VAT, zaś w kolejnych zarabialiśmy na nim miliardy rocznie (do 2060 r. 200 mld zł z samych przeładunków towarów). Jak można myśleć o rezygnacji z takiego biznesu?

Okazuje się, że można. Takich decyzji należy się też spodziewać w odniesieniu do innych generalnych inwestycji – rozbudowy portu w Świnoujściu, przystosowania Odry do zwiększonej żeglugi, gazoportu w Trójmieście czy wzmocnienia armii.

Głosowałeś na Lewicę?
Zapomnij o ułatwieniach
w przeprowadzaniu aborcji
(i bardzo dobrze!). Nie godzi się
na to PSL

Szef PSL jest dumny ze swojego postulatów przeznaczania 50 proc. wydatków na armię w polskim przemyśle zbrojeniowym. Najwyraźniej nie wie, że nie dysponujemy zakładami produkującymi sprzęt, którego potrzebujemy (w dodatku pilnie), a przebąkiwania wielu polityków opozycji o budowie małej, ale profesjonalnej armii każą się obawiać najgorszego scenariusza – ponownego rozbijania wojska i liczenia głównie na sojuszników. Czyżby tak jak przed dekadą, gdy obronę przed najazdem ze Wschodu zakładano na linii Wisły?

Wszystkie kwestie opisane w tym tekście mają jeden wspólny mianownik – są w interesie Niemiec. Donald Tusk jest

największym gwarantem konsekwencji takiej polityki. Tak ją prowadził w latach 2007–2014 (i później jako szef Rady Europejskiej), tak będzie i teraz.

Tym, co stanowi największe zagrożenie, jest zgoda na relokację nielegalnych migrantów do Polski. Rząd Tuska zgodzi się na to błyskawicznie. Poseł Michał Krawczyk (KO) ogłosił w TVP Info, że „pakt migracyjny jest rozwiązaniem, który na pewno zapewni większe bezpieczeństwo na granicy polsko-białoruskiej, niż zapewniał PiS”, a senator Wojciech Konieczny (Lewica) stwierdził, że „nie będzie nielegalnych imigrantów, ponieważ oni będą zweryfikowani”. Na pytanie, czy widział, jak się weryfikuje tych ludzi np. na Lampedusie, odparł: „Dlatego ten pakt trzeba przyjąć, ten akt prawny powinien wejść w życie, powinno się to usprawnić”. Posłanka Daria Gosek-Popiołek (też Lewica) w tej samej stacji cieszyła się zaś, że „referendum w Polsce okazało się nieważne, bo możemy na serio przygotowywać jakąkolwiek politykę migracyjną”. Oczywiście chodzi jej o wspólną politykę unijną, czyli narzucaną przez Berlin „przymusową solidarność”.

Po to była ta antydemokratyczna i antyobywatelska akcja zniechęcająca do udziału w głosowaniu, po to te skandaliczne, sprzeczne z wytycznymi PKW zachowania członków komisji. Udało im się, frekwencja okazała się niewystarczająca. Dlaczego jednak nie mówili wprost, o co chodzi przed 15 października? Dlaczego nie de-

klarowali, że chcą relokacji migrantów do naszego kraju? Bo wiedzieli, że to im zamknie drogę do władzy. Trzeba było sięgnąć po wielkie oszustwa – w sprawach systemu wizowego i referendum – by zapewnić zagranicznym mocodawcom uległość Warszawy w tej arcyważnej kwestii, chwiejącej polskim bezpieczeństwem.

Co jeszcze nam zafundują? Guru liberałów Leszek Balcerowicz ma usta pełne podpowiedzi dla nowej władzy: podniesienie wieku emerytalnego, cięcie 800+, no i sztandarowa prywatyzacja, w tym takich spółek jak ORLEN. Niemożliwe? Ależ owszem!

Oczekujemy więc najgorszego. 



Dylematy zwycięskiego lidera Platformy

W jakimś sensie dylemat Tuska jest podobny do dylematu Piłsudskiego, który w 1926 r. uznał, że okoliczności polityczne i społeczne poparcie pozwalają mu na dokonanie gwałtu na legalnych fundamentach państwa. Ze znanymi, oplakanyymi konsekwencjami tej decyzji



JAN ROKITA

Zwycięstwo wyborcze centrolewu jest wyraźne, a sejmowa przewaga mandatów na tyle duża, że pozwala myśleć o czterech latach ustabilizowanych rządów. Spekulacje (w tym także moje na tych łamach) na temat ryzyka polskiego wariantu „zawieszonego parlamentu” się nie sprawdziły. Walnie

przyczyniła się do tego niespotykana w dziejach polskiej demokracji mobilizacja wyborców, za sprawą której zobaczyliśmy rzecz od jakiegoś czasu intuicyjnie coraz bardziej oczywistą. Tę mianowicie, że w nowoczesnym społeczeństwie postępowe mieszczaństwo, o ile tylko znajdzie się sposób na jego mobilizację, dysponuje liczebną przewagą nad prowincją i wsią.

To oczywiście nie znaczy, że konserwatywna prawica jest już w Polsce skazana na trwały brak szansy na władzę. Odbicie jednak na nowo władzy, kiedykolwiek w przyszłości, stanie się rzeczą bardzo trudną, o ile konserwatywna prawica nie będzie mieć jakiegokolwiek partnera do współrządzenia. Albo na radykalnej prawicy (jak premier Meloni we Włoszech

ma Ligę), albo bardziej w centrum (jak kanclerz Nehammer w Austrii ma Zielonych). Wiele bowiem wskazuje na to, że koalicyjny model rządów okaże się modelem trwałym dla polskiej demokracji, przynajmniej w perspektywie jednej, dwóch następnych dekad.

DWA OGRANICZENIA

Tych kilka uwag o powyborczej przyszłości piszę w chwili, w której jeszcze nie wiadomo, ani komu prezydent powierzy misję tworzenia rządu, ani jakie są w tej mierze uzgodnienia pomiędzy partiami nowej, centrolewicowej koalicji. W każdym razie powyborcza dominacja Platformy w centrolewie jest tak duża, że należy założyć czteroletnie rządy Tuska, chociaż tym razem niemające tak wyraźnego charakteru „rządów osobistych” jak w latach 2007–2014. W ciągu tamtego siedmioletnia Tusкови udało się w pełni uzależnić od swojej woli większość parlamentarną (z ubezwłasnowolnionym PSL włącznie), marszałka Sejmu, Trybunał Konstytucyjny, prezydentów wielkich miast. Ale przede wszystkim ówczesne warunki pozwalały mu kształtować wedle własnych doraźnych potrzeb gietki i uległy w jego rękach – niczym plastelina – kształt ideowy oraz polityczny własnego obozu. Tym razem czekają go przynajmniej dwa ograniczenia, w praktyce uniemożliwiające powtórkę tamtego systemu rządów osobistych.

Pierwsze to wielopartyjna koalicja, w której kilka grup ma silne parcie na zachowanie albo nawet zbudowanie na nowo swej wyrazistej podmiotowości. W klubie Lewicy mocną frakcją są nieoportunisticzni działacze młodego pokolenia, nastawieni na walkę par force w imię swoich socjalistycznych idei. Postacią symboliczną dla tej grupy może się stać sosnowiecki poseł Łukasz Litewka, który spektakularnie zepchnął w swoim okręgu wyborczym na margines starego komunistę, ale zarazem formalnego przywódcę Lewicy – Czarastego. Z kolei w klubie Polski 2050 sam Hołownia, wraz ze swoim najbliższym otoczeniem, nie ma zamiaru odegrać roli przystawki wobec PO i bez wątpienia będzie budować fundamenty swej kruchej, jeszcze, słabo społecznie osadzonej partii na kontrze wobec skłonności Tuska do jedynowładztwa.

Ograniczenie drugie to odmienna niżli w 2007 r. natura politycznego zaplecza Tuska. Wtedy było ono rozproszone, ideologicznie stonowane i mało skłonne do ultracyzmu. Toteż stosunkowo łatwo było, po krótkim okresie wyborczej mobilizacji, „wysłać je na grill” (jak to ujął wówczas nieżyjący już prof. Paweł Śpiwak). Dziś w zapleczu Tuska widać zorganizowane, bojowo nastawione, często ostentacyjnie ultrasowskie, a przede wszystkim żadne politycznego odwetu grupy interesów: feministki, zielonych fundamentalistów, prawników rewanżystów czy sfanatyzowanych dziennikarzy i intelektualistów. O ile do czasu wyborów owi zorganizowani lobbyści dobrowolnie zaprzegli się do kampanijnego rydwanu Tuska, broniąc go i ochraniając przed każdą krytyką wewnątrz obozu centrolewu, o tyle teraz każde z owych lobby w radykalnej formie postawi swoje żądania, licząc na ich natychmiastowe spełnienie. Tusk będzie mieć zatem wąskie pole manewru, musząc po części ustępować przed ich rozlicznymi żądaniami, a po części próbować je wyhamowywać. Do 2014 r. lider PO robił w gruncie rzeczy w państwie, co chciał, gdyż nie odczuwał z wnętrza swojego obozu żadnej poważniejszej presji. Tego rodzaju swoboda tym razem nie będzie mu już dana.

REALIZACJA OBIETNIC

Oprócz oczywistej konieczności szybkiego rozstrzygnięcia koalicyjnych sporów o obsadę ministerstw od przywódców centrolewu pospiesznego działania wymagają trzy kwestie. Tusk doskonale pamięta, że podstawą wieloletniej wiarygodności rządów PiS stało się rychłe wypełnienie przedwyborczych zobowiązań socjalnych na przełomie lat 2015–2016. I wiele wskazuje na to, że nie zważając na zastrzeżenia wobec stanu finansów publicznych, ma zamiar tamten wzór naśladować.

O ile mało kto w Polsce potraktował serio (przynajmniej na razie) plany skrócenia tygodnia pracy do 35 godzin, o tyle wielokrotnie ponawiane przyrzeczenia Tuska natychmiastowego podwojenia kwoty wolnej w podatku dochodowym (z 30 do 60 tys. zł) oraz równie natychmiastowych podwyżek płac dla całej sfery budżetowej, w tym dla nauczycieli aż o 30 proc. – stanowią twarde i dobrze

zapamiętane wyborcze zobowiązania. Już po wyborach, apelując do prezydenta o rychłe oddanie władzy centrolewicowej koalicji, Tusk argumentował swój apel koniecznością wpisania podwyżek dla nauczycieli do przyszłorocznego budżetu. A poseł Leszczyzna, zwykle wypowiadająca się na takie tematy w imieniu PO, sugerowała, również już po wyborach, że projekt budżetu zgłoszony do Sejmu przez rząd Morawieckiego musi zostać przepracowany, a to ze względu na konieczność uwzględnienia wyższej kwoty wolnej od podatku.

O ile przed wyborami związani z Platformą ekonomiści publicznie pochwalali kolejne obietnice finansowe Tuska jako instrumenty kampanii wyborczej, o tyle nie będą ich pochwalali jako realnej polityki państwowej, narażającej nowy rząd na nieuchronność karnej unijnej procedury nadmiernego deficytu. To zatem, co zostanie teraz zdecydowane w kwestii kwoty wolnej i podwyżek, przesądzi tak naprawdę o wyborze długofalowego modelu rządzenia przez centrolew. Morawiecki skutecznie zepchnął rolę ministra finansów do funkcji czysto księgowej; podobną rzecz dawno temu zrobił również premier Miller. Ale PO nigdy dotąd nie działała wedle takiego modelu, a resort przy Świętokrzyskiej, od Balcerowicza do Rostowskiego, stanowił w istocie centrum polityki państwa, przesądzając o stronie wydatkowej budżetu.

Jeśli Tusk, przy entuzjazmie lewicy, ale sceptycyzmie Hołowni, zdecyduje o poluzowaniu i tak już bardzo rozrzuconego budżetu Morawieckiego (4,5 proc. deficytu), to musi zarówno zminimalizować rolę ministra finansów, oddając ów resort komuś politycznie uległemu, o temperamencie urzędniczym, jak i zdecydować się na spór o finanse z brukselską biurokracją. A jeśli nie, to zacznie swoje rządy od spektakularnego nadużycia zaufania, co odąd każdego dnia będzie eksploatowane przez opozycyjną prawicę.

Na dodatek te wszystkie operacje wymagają rychłego działania, o ile końcówka stycznia nie ma zostać zdominowana przez polityczną awanturę na temat rozwiązania Sejmu i nowych wyborów. Jak wiadomo to, czy termin 29 stycznia jako maksymalna data uchwalenia ustawy budżetowej stosuje się do obecnej sytuacji, czy też nie, jest przedmiotem



długotrwałego sporu ustrojowego. Ponadto prezydent Duda musiałby stracić zdrowy rozsądek, aby najpierw sztucznie wydłużyć czas formowania rządu, a potem wykorzystać to wydłużenie do ogłoszenia nowych wyborów. Sam zamęt, jaki wywołałyby zapewne karczemne awantury toczące w Sejmie i w mediach na ten temat, byłby rujnujący dla nowego rządu. Tusk będzie się musiał więc zwinąć jak w ukropie, jeśli chce tego wszystkiego uniknąć. Tyle tylko, że takie pospieszne działanie wymaga nie tylko sprawnej organizacji nowej władzy od pierwszego dnia, ale przede wszystkim pewności i jasności trudnego wyboru, jakiego trzeba tu dokonać, i to o dalekosiężnych skutkach dla nowego obozu władzy.

Druga kluczowa rzecz to zdjęcie sankcji z unijnych funduszy dla Polski. I rzecz nie w tym, czy to się uda, bo w Komisji Europejskiej aż się pała do takiego uczczenia „powrotu Donalda”. Brukselska biurokracja zapewne nie pozwoli sobie jednak na to, aby z dnia na dzień zmienić o 180 st. swoją politykę wobec Polski wyłącznie z powodu zmiany władzy. Musi dostać do tego jakiś „podkładkę”. A dostarczenie takiej „podkładki” wiązać się musi choćby z zarysem decyzji, co nowa władza zamierza postanowić w kwestii polskich sądów. Czy i w jakim trybie chce zrobić czystkę tzw. neosędziów, czyli wszystkich sędziów mianowanych przez Dudę; co chce zrobić z wydanymi przez nich wyrokami; jak zamierza obalić obecną Krajową Radę Sądownictwa? W każdej z tych spraw, o ile miałyby zostać uchwalone nowe ustawy, należy założyć skuteczne weto prezydenckie. A jeśli nie ustawy, to jakiego rodzaju zobowiązania nowy rząd miałby podjąć w Brukseli, aby zaspokoić tamtejszą biurokratyczną potrzebę „podkładki”? Może się więc okazać, że cała rzecz jest zawiła i znów wymagająca kichś przewlekłych negocjacji. Zaś każdy kolejny dzień niemożności odblokowania funduszy będzie pozbawiać Tuska autorytetu i wiarogodności w kraju.

Lider PO staje także tutaj wobec węzła gordyjskiego, którego sposób przecięcia będzie wiele znaczyć nie tylko dla całych jego rządów, ale może rzucić mroczny cień na dalsze dzieje Rzeczypospolitej. Przejęcie przez nową władzę wymiaru sprawied-

liwości nie może bowiem zostać tym razem opakowane w pozory formalnej legalności, jaką daje możliwość uchwalania doraźnych specustaw, co z upodobaniem w przeszłości robił PiS. Rysując choćby wstępny plan działań w tej materii na użytek zyskania eurofunduszy, Tusk musi odpowiedzieć sobie na pytanie o radykalizm politycznych środków, jakie jest gotów zastosować. Tym razem bowiem rzecz już nie będzie szła o międzynarodowy spór z Unią, w jaki wpadł na tym tle obóz Kaczyńskiego, bo kluczowe instytucje unijne są gotowe uczynić wiele dla legitymizacji każdego odwetowego działania Tuska. Tym razem chodzić będzie o rzecz o wiele poważniejszą niż doraźny konflikt z UE: o to, do jakiego stopnia naprawdę można doko-

Ale najbardziej wyczekiwany i upragniony łupem są państwowe media z telewizją na czele. Włamanie się do nich znów stwarza poważne dylematy

nać demontażu legalnych fundamentów państwa w imię doraźnej rozgrywki o władzę. W jakimś sensie dylemat Tuska jest podobny do dylematu Piłsudskiego, który w 1926 r. uznał, że okoliczności polityczne i społeczne poparcie pozwalają mu na dokonanie gwałtu na legalnych fundamentach państwa. Ze znanymi, oplakany konsekwencjami tej decyzji.

ŁUPY I TROFEA

Kwestia łupów to zresztą ogólny problem stojący przed Tuskiem i całym obozem zwycięskiego centrolewu. Nic w tym dziwnego, od zarania dziejów towarzyszy ona każdemu politycznemu czy wojennemu zwycięstwu, a w demokracji stanowi nieuchronną i brudną stronę każdego wyborów. Tyle tylko, że po obecnym głosowaniu rzecz nabiera nieznanego dotąd w Polsce, wyjątkowo drastycznego oblicza.

Łupy dla prawników rewanżystów, z pasją angażujących się w walkę po stronie Tuska, to tylko jeden kawałek problemu. Oczywiście jak zwykle najcenniejsze łupy wojenne są do zdobycia w licznych spółkach skarbowych, ba, dzięki PiS, mającemu obsesję nacjonalizacyjną, jest ich do wzięcia sporo więcej niż jeszcze parę lat temu, np. w wielkich, *de facto* upaństwowionych bankach. Tu akurat rzecz nie jest skomplikowana, gdyż praktyka łupienia spółek skarbowych została w Polsce rozwinęta do perfekcji, a na dodatek ubrana doskonale w ramy formalnej legalności. Trzeba tylko poczekać na stworzenie rządu i powołanie ministra reprezentującego skarb państwa.

Lecz najbardziej wyczekiwany i upragniony łupem są państwowe media z telewizją na czele. Włamanie się do nich znów stwarza poważne dylematy. To jasne, że jakimś wytrychem Tusk musi się jak najszybciej dostać do państwowej telewizji, i to nie tylko dlatego, że sto razy to obiecywał. Z drżeniem rąk i rozrzuconymi emocjami czeka bowiem na ten łup jego najtwardsze zaplecze: rozproszeni po różnych miejscach lepsi i gorsi dziennikarze, ofiarnie poświęcający dla Tuska ethos swojego zawodu, bijąc się w jego sprawie niczym najwierniejsze wojsko, a teraz czekający na swe życiowe szanse w dalszej służbie. Ale wyczekuje tego łupu także zwykły platformerski lud, żądny jak nigdy dotąd odwetu na propagandowej tubie PiS.

Dylemat Tuska polega na tym, że również w tym przypadku obie publicznie dyskutowane metody włamania się nowej władzy do telewizji (tzn. fikcyjna likwidacja firm albo uchwały sejmowe unieważniające wybór członków rad medialnych) stanowiłyby oczywisty gwałt na zasadach prawa. Można jednak domniemywać, że o ile nowa władza w imię podstawowych interesów państwa musi starać się jakoś zmiarkować skalę gwałtów, jakich zamierza dokonać w wymiarze sprawiedliwości, o tyle w przypadku telewizji może sobie pozwolić na większą swobodę. W końcu stworzona przez Jacka Kurckiego telewizja solidnie zapracowała na to, aby stać się obiektem najzacieklejszej nienawiści dzisiejszych zwycięzców. 



Sejmowe pożegnania, powitania i powroty

Po 32 latach z parlamentem żegna się Iwona Śledzińska-Katarasińska, po 26 latach Tadeusz Cymański, w poselskich ławach nie pośpi już Janusz Korwin-Mikke. Sejmowe drzwi znowu otworzyły się dla Romana Giertycha, na Wiejskiej zadebiutują Jacek Karnowski, Apoloniusz Tajner czy Marcin Józefaciuk – wytatuowany dyrektor jednej z łódzkich szkół, który już zapowiedział, że, jak Jacek Kuroń, garnituru jako polityk nie założy. Jak będzie wyglądał Sejm X kadencji?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Choć Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory (na to ugrupowanie Polacy oddali najwięcej głosów – 7 640 854), to jednak rządzić (raczej) nie będzie, bo liczba mandatów brakujących do większości jest po prostu zbyt duża. Choć opozycja w sumie zdobyła więcej mandatów od partii rządzącej, to jednak Koalicja Obywatelska (6 629 402 głosy) nie pokonała PiS, co wielokrotnie zapowiadał Donald Tusk.

Opozycja zdobyła więcej mandatów głównie dzięki rewelacyjnemu wynikowi Trzeciej Drogi (3 110 670 głosów), którego nie przewidziała żadna sondażownia oraz utracie poparcia (w stosunku do sondaży) Lewicy (1 859 018 głosów) i Konfederacji (1 547 364 głosy). W wieczór wyborczy Donald Tusk cieszył się: „zrobiliśmy to”, ale najbardziej zrobiła to jednak dla opozycji Trzecia Droga. I to wbrew temu, że lider PO zapewniał, że „nie ma żadnej trzeciej drogi”, Szymon Hołownia został ochrzczony „grabarzem jednej listy”, „kałownią” czy „chloptasiem na posyłki”, a Silni Razem wylewali na niego kubły pomyj. Gdyby pierwotny pomysł Donalda Tuska – pogrzebania Trzeciej Drogi – się ziścił, lider Platformy nie miałby powodu do radości. Choć rzecznik PSL Miłosz Motyka o politykach PiS mówi dziś „hołota”, która niszczyła PSL, powinien spojrzeć, kto przez ostatnich kilka miesięcy próbował zniszczyć Trzecią Drogę. Ale tego robić nie będzie, bo trzeba się jakoś dogadać.

POJEDYNKI NA LISTACH

Często lubię powtarzać, że łaska wyborcy na pstrym koniu jeździ. Te wybory pokazały, jak bardzo, bo mieliśmy arcyciekawe pojedynki wewnątrz list. To dowodzi, jak świadomie wybierała większość wyborców. Skończyło się bezmyślne oddawanie głosów na jedynkę na liście.

Np. w Warszawie (okręg nr 19) Marek Jakubiak, kandydujący z listy PiS z miejsca ósmego, zrobił drugi wynik, zdobywając 39 151 głosów. Pierwszy na liście PiS minister Piotr Gliński uzyskał 135 339 głosów. Z tej listy nie zdobył mandatu Jarosław Krajewski, szef warszawskich struktur PiS. Ciekawie było też na warszawskiej liście Lewicy, gdzie Annę Marię Żukowską, startującą z miejsca drugiego, pokonała (jeśli chodzi o liczbę głosów) Dorota Olko, rzeczniczka partii Razem, która startowała z miejsca czwartego i zdobyła 44 188 głosów, czyli o 5762 głosy więcej niż Żukowska. Pierwszy na tej liście Adrian Zandberg uzyskał 64 435 głosów. Z ostatniego miejsca na liście Trzeciej Drogi w tym okręgu mandat zdobył (trzeci dla Trzeciej Drogi) Ryszard Petru, na którego zagłosowało 24 192 wyborców. Pierwszy na tej liście Michał Kobosko zdobył 61 452 głosy.

To, że ostatni mogą być pierwszymi, udowodnił pojedynek w okręgu nr 322, obejmującym m.in. Sosnowiec. Tam jedynką na liście Lewicy był współprzewodniczący tej partii Włodzimierz Czarzasty, który zdobył 22 332 głosy. Pokonał go jednak Łukasz Litewka, lokalny radny, działacz społecznik, tiktoker, na plakatach występujący z bezdomnymi psami, apelując o ich adopcję, startujący z ostatniego miejsca na liście. Dostał 40 579 głosów. Nim Państwowa Komisja Wyborcza podała ostateczne wyniki, na portalach zdążyła pojawić się informacja, że Czarzasty nie zdobył mandatu. Ostatecznie jednak w Sosnowcu Lewica uzyskała dwa mandaty i współprzewodniczący partii znalazł się na liście posłów. Ta sztuka nie udało się jednak Arkadiuszowi Iwaniakowi, który, choć pochodzi z Płocka, wystartował jako jedynka w okręgu 20, tzw. podwarszawskim obwarunku. Dotychczasowy poseł został pokonany przez drugą na liście Joannę Wichę, dość dobrze znaną lokalnej społeczności pielęgniarkę – zdobyła ona 15 324 głosy, podczas gdy startujący z jedynki Iwaniak uzyskał ich 10 374 i mandatu posła nie odnowił. Podobnie zresztą jak Maciej Gdula, jedynka w okręgu nr 13, obejmującym Kraków. Znany polityk Lewicy zdobył 16 308 głosów. Lepsza od niego była jednak startująca z dwójki

Daria Gosek-Popiołek, która uzyskała aż 39 054 głosy i to ona zdobyła z listy Lewicy mandat w tym okręgu.

Startujący z miejsca drugiego w okręgu nr 9 (Łódź) Waldemar Buda, obecny minister rozwoju i technologii, z 45 474 głosami pokonał ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua, startującego z miejsca pierwszego. Poparło go 32 387 wyborców. Obaj politycy uzyskali jednak mandat. Wielkie emocje wzbudził też pojedynek toczący się w okręgu nr 35 (Olsztyn) na liście PiS. Ostatecznie mandaty zdobyli: minister cyfryzacji Janusz Cieszyński, wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki, posłanka Iwona Arent, wiceminister rozwoju i technologii Olga Semeniuk-Patkowska (14 183), która, startując z miejsca piątego pokonała Błażeja Pobożego, wiceszefa MSWiA, który na liście był czwarty i zdobył 10 770 głosów. Niestety, nie dało mu to mandatu. Z ostatniego, 30. miejsca na liście PiS w okręgu nr 23 (obejmującym Rzeszów) dostał się do Sejmu Marcin Warchoń, obecny wiceminister sprawiedliwości, którego poparło 26 750 wyborców. Jedynką na tej liście był Zbigniew Ziobro, który uzyskał 74 592 głosy.

I wreszcie do symbolicznego, damsko-męskiego pojedynku doszło w okręgu nr 20 (podwarszawski obwarunek) na liście Konfederacji. Z miejsca pierwszego startował tam Janusz Korwin-Mikke, druga była żona Krzysztofa Bosaka Karina Bosak, która z powodu ciąży praktycznie nie prowadziła kampanii. Jednak pani Bosak znokautowała jedynkę z listy, zdobywając 21 217 głosów, przy 9939 głosach oddanych na Korwin-Mikkę. Tym samym odesłała na polityczną emeryturę posła, który podczas większości posiedzeń spał na sali plenarnej. „Jest w tym coś symbolicznego, że po negatywnych wypowiedziach o kobietach, kobieta przekakuje go, jeśli chodzi o wynik wyborczy. Czas wyciągnąć wnioski, wyborcy je wyciągnęli” – skomentował wynik żony Krzysztof Bosak.

DZIESIĘCIU NAJLEPSZYCH

Najlepszy wynik w skali całego kraju jeżeli chodzi o łączną liczbę głosów, zrobił Donald Tusk (okręg nr 19). Poparło go ponad 538 634 osób, czyli niemal co

trzeci wyborca w okręgu warszawskim. Drugim najlepszym wynikiem może się pochwalić Jarosław Kaczyński. Prezes zdobył ponad 177 228 głosów w okręgu nr 33 (woj. świętokrzyskie). Trzeci był Adam Szłapka, startujący z listy Koalicji Obywatelskiej w okręgu nr 39 (Poznań), na którego oddano 149 064 głosy. Czwarty wynik należy do Barbary Nowackiej, startującej z listy KO (okręg nr 26 – zachodnia część województwa pomorskiego wraz z Gdynią) i zdobyła 139 524 głosy. Pani poseł była bezkonkurencyjna w swoim okręgu. Poparło ją 20,43 proc. wszystkich głosujących. Nowacka pokonała Piotra Müllera z PiS, na którego głos oddało 72 813 osób. Na piątym miejscu znalazł się wspomniany już minister Piotr Gliński, startujący z listy PiS w okręgu nr 19, który zdobył 135 339 głosów. Szósty był szef MON Mariusz Błaszczak, startujący z listy PiS w okręgu nr 20 z wynikiem 127 578 głosów. Siódmy w skali kraju wynik uzyskała Małgorzata Wassermann, startująca z listy PiS w Krakowie (okręg nr 13) – zdobyła poparcie 125 786 Polaków, pokonując jedynek KO Bartłomieja Sienkiewicza, który wyborczy wyścig zakończył z 95 873 głosami. Ósmy był minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek – startujący z listy PiS w okręgu nr 6 (Lublin) zgromadził 121 686 głosów. Ten wynik sprawił, że Prawo i Sprawiedliwość w tym okręgu pokonało konkurencję (zdobyło 45,48 proc. głosów, wyprzedzając KO, którą poparło 20,32 proc. głosujących). Dziewiąty wynik należy do premiera Mateusza Morawieckiego – zdobył on 117 064 głosów w okręgu nr 31 (Górny Śląsk). Listę dziesięciu polityków, którzy osiągnęli najlepszy wyborczy wynik, zamyka minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg – w okręgu nr 36 (południowa część województwa wielkopolskiego) zdobyła 109 870 głosów. Minister Maląg znokautowała rywali, ponieważ oddano na nią dwa razy więcej głosów niż na jej głównego przeciwnika Jarosława Urbaniaka z KO (50 724 głosów). Parlamentarzystkę PiS wsparło 20,26 proc. głosujących w tym okręgu.

SEJMOWI EMERYCI I DEBIUTANCI

Kolejna, dziesiąta już kadencja Sejmu, to pożegnania posłów, którym wyborcy podziękowali za służbę, powitania z tymi, którzy zaufanie zdobyli i wielkie powroty tych, którzy w ławach sejmowych już zasiadali, ale mieli przerwę. Do Sejmu nie dostali się niektórzy wieloletni posłowie, ale i nowe osoby, których nazwiska budziły w kampanii wyborczej duże emocje.

Walkę o mandat przegrał raptem o 100 głosów doskonale znany z barwnego języka poseł PiS Tadeusz Cymański. Z parlamentu wypadają posłowie Konfederacji – Janusz Korwin-Mikke (o tym,

To, że ostatni mogą być pierwszymi, udowodnił pojedynek w okręgu nr 322, obejmującym m.in. Sosnowiec. Tam jedyneką na liście Lewicy był Włodzimierz Czarzasty, pokonany w liczbie oddanych głosów przez startującego z ostatniego miejsca lokalnego radnego, tiktokera Łukasza Litewkę

dłaczego stracił mandat, pisałam wyżej) i Dobromir Sośnierz. W Sejmie nie będzie też Moniki Pawłowskiej, posłanki, która opuściła Lewicę i przeszła do PiS. Narodowiec Robert Bąkiewicz nie zdobył serc mieszkańców okręgu radomskiego. Mandatu nie uzyskała także Hanna Gil-Piątek, która zaczynała w klubie Lewicy, by później wesprzeć Polskę 2050 i skończyć na liście Koalicji Obywatelskiej. Z Sejmem pożegna się Andrzej Rozenek, który opuścił klub Lewicy i startował z list KO, ostry w ocenach Maciej Gdula (też wspomniany w tym tekście) czy Paweł Poncyliusz, kiedyś poseł PiS, a później ostry krytyk Zjednoczonej Prawicy. Wyborcy nie udzielili ponownego mandatu zaufania także

Krzysztofowi Mieszkowskiemu i Iwonie Śledzińskiej-Katarasińskiej – oboje z KO, Jackowi Protasiewiczowi, startującemu z listy Trzeciej Drogi czy Arturowi Dziamborowi, który po rozstaniu z Konfederacją także próbował sił z listy Trzeciej Drogi. Bez sukcesu o mandat walczyła Anna Maria Siarkowska, kiedyś w PiS, a startowała z listy Konfederacji. Z Sejmem muszą się pożegnać także niektórzy politycy partii rządzącej. Mandatu nie odnowili: Przemysław Czarnecki, Zbigniew Girzyński, Tomasz Rzymkowski, Anna Paluch, wspomniany już Błażej Poboży czy Jadwiga Emilewicz. Oprócz wspomnianych polityków Lewicy z Sejmem żegnają się także Anita Sowińska, Paweł Krutul czy Monika Falej.

Z kolei dla Apoloniusza Tajnera i Bogusława Wołoszańskiego, startujących z list KO, Sejm to będzie nowe doświadczenie. Podobnie jak dla Sławomira Mentzena (Konfederacja) i Aleksandry Wiśniewskiej (KO). Na Wiejskiej zobaczymy także Michała Kołodziejczaka, kontrowersyjnego i rozkrzyczanego lidera Agrounii, który ostatnio zapewniał w mediach, że złagodniał i w Sejmie pokaże swoje nowe oblicze. O mandat skutecznie ubiegał się Szymon Hołownia, przewodniczący Polski 2050 i współlider Trzeciej Drogi, który po raz pierwszy przeszedł wyborczą weryfikację w wyborach parlamentarnych, i to całkiem skutecznie, bo Trzecia Droga zdobyła w sumie 65 mandatów. Z list tej koalicji do Sejmu dostał się także gen. Mirosław Różański. Posłem został również Jacek Karnowski, przez ostatnie ćwierćwiecze pełniący funkcję prezydenta Sopotu. I to do tego polityka należy pierwsza spełniona obietnica – zadeklarował, że zetnie włosy, gdy PiS zostanie odsunięte od władzy. Jak zapowiedział, tak zrobił. W obecności kamer oraz świetle fleszy udał się do fryzjera i ściął włosy.

Wreszcie do sejmowych ław po przerwie wracają: Donald Tusk, Roman Giertych, Ryszard Petru, Marek Jakubiak czy Bartosz Arłukowicz. Mandat senatora zdobył Waldemar Pawlak. Ten skład parlamentu gwarantuje nam, że przez kolejne cztery lata w polityce na pewno nie będzie nudno.



Tusk czy Kosiniak-Kamysz?



Nic nie będzie takie proste, jak się wydaje partiom mogącym stworzyć nowy rząd. Przed nimi wiele problemów, a na plecach bagaż obietnic, którymi kusili Polaków



STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk czy Władysław Kosiniak-Kamysz? – to najczęściej stawiane pytanie o nowego premiera po wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r. Stawiane z tego powodu, że deklarujące chęć działania w koalicji rządzącej ugrupowania mają 248 mandatów (157 Koalicja Obywatelska, 65 Trzecia Droga i 26 Nowa Lewica). Pytanie jest uzasadnione, choć przedstawiciel tej koalicji nie musi być wskazany na Prezesa Rady Ministrów przez prezydenta. Tym bardziej że wybory wygrało Prawo i Sprawiedliwość, mające najwięcej mandatów (194, czyli o 37 więcej niż druga Koalicja Obywatelska), i to zwycięska partia w pierwszej kolejności zwyczajowo ma możliwość

wskazania premiera oraz stworzenia sejmowej większości.

Jeśli Donald Tusk miałby jakiekolwiek szanse zostać w grudniu 2024 r. szefem Komisji Europejskiej, a taki wariant jest rozważany w Brukseli i w Berlinie, to nie mógłby nie być wcześniej szefem polskiego rządu. Nawet gdyby pełnił tę funkcję tylko kilka miesięcy – daje mu to odpowiedni punkt „odbięcia”. Wprawdzie jego partia nie wygrała wyborów, lecz może się dowartościować kierowaniem ugrupowania, które w przyszłej koalicji będzie miało najwięcej mandatów. Tusk jako premier potwierdziłby, że zrealizował „misję” powierzoną mu w Brukseli i Berlinie. To zdecydowanie mocniejszy punkt startu, także wobec innych stolic, niż z pozycji tylko przewodniczącego jednego ze stronnictw w Europejskiej Partii Ludowej. Dopiero po zrealizowaniu przez Tuska tego „wymaganego” scenariusza, mógłby on oddać władzę komuś innemu. A wtedy w grę wchodzi właściwie tylko dwie osoby: Władysław Kosiniak-Kamysz i Rafał Trzaskowski. Nie będzie brany pod uwagę Szymon

Hołownia, bo nie ma żadnego doświadczenia państwowego.

Lecz oprócz tego, co jest możliwe, także w związku ze scenariuszem „europejskim”, pozostaje pytanie, czy i komu opłacałoby się być premierem. Władza oraz prestiż są oczywiste, ale równie oczywisty jest stopień trudności rządzenia, i to już w pierwszych tygodniach urzędowania nowego premiera. Przed nim wiele problemów, które mogą się okazać zderzeniem ze ścianą.

Obecnie mrożone są ceny np. energii, a jeśli tych działań nie było, od początku 2024 r. mogą one wzrosnąć nawet o 70 proc. W 2023 r. ceny elektryczności podskoczyły o ok. 60 proc., ale ze względu na ich zamrożenie gospodarstwa domowe tego nie odczuły. Ceny prądu są czynnikiem proinflacyjnym: wyższe rachunki za energię oznaczają wyższe wydatki gospodarstw domowych, a wzrost kosztów firm oznacza podwyżki cen wielu towarów i usług. Jeśli na to nałoży się spodziewana w całej Unii Europejskiej recesja gospodarcza, zacznie się spadek tempa wzrostu PKB. Ucierpiałoby wtedy zarówno przedsię-

biorstwa, jak i gospodarstwa domowe. Wyborców nie będzie interesowała przyczyna tych kłopotów, zapytają tylko, dlaczego jest gorzej, skoro miało być lepiej. Takie problemy nowy premier i nowy rząd napotka dziesiątki, w tym fundamentalne kwestie wojny Rosji przeciw Ukrainie, zmiany ustroju Unii Europejskiej czy zalanie Starego Kontynentu kolejnymi falami imigrantów. Czy wobec tego opłacałoby się obejmować funkcję premiera, choćby tylko na kilka miesięcy?

PODZIAŁ ŁUPÓW

Wskazanie, a potem posiadanie własnego premiera wydaje się szczytem marzeń i możliwości każdego ugrupowania po wyborach parlamentarnych. W Polsce szef rządu ma bowiem bardzo realną władzę i nawet jeśli jego partia nie posiada większości w koalicyjnym rządzie, funkcja premiera to rekompensuje, a nawet daje nadwyżkę. Choćby dlatego, że jeśli nowy rząd zostanie już utworzony, istnieje małe prawdopodobieństwo odwołania premiera, gdyby zaczął się wyłamywać z koalicyjnych ustaleń i skupiać więcej władzy, niż wcześniej zakładano. Lecz na początku może w ogóle nie być korzyści z objęcia stanowiska szefa rządu z powodu zderzenia z bardzo trudną rzeczywistością (tak wewnętrzną, jak i zewnętrzną).

W konstytucji proces tworzenia nowego rządu regulują art. 154 i 155. Na początek prezydent RP ma obowiązek zwołania posiedzenia nowego Sejmu i Senatu najpóźniej 30 dni od daty wyborów. Następnie powołuje „Prezesa Rady Ministrów wraz z pozostałymi członkami Rady Ministrów w ciągu 14 dni od dnia pierwszego posiedzenia Sejmu”. Prezesem Rady Ministrów może być dowolna osoba przedstawiona przez głowę państwa. Taka osoba wskazuje ministrów. W ciągu 14 dni od daty powołania premier musi uzyskać wotum zaufania w Sejmie. Jeśli to się nie uda, izba niższa parlamentu ma obowiązek wyboru nowego premiera (kandydata może zgłosić grupa co najmniej 46 posłów) oraz proponowanych przez niego ministrów. Wtedy wybór ma się odbywać „bezwzględnie większością głosów w obecności co najmniej połowy usta-

wowej liczby posłów”. Prezydent ma obowiązek zaprzysiężenia takiego rządu. Jeżeli w sejmowym głosowaniu nie znajdzie się większość udzielająca wotum zaufania, premiera ponownie (w ciągu 14 dni) wyznaczy prezydent i odbierze przysięgę od niego oraz ministrów. Sejm ma 14 dni na udzielenie wotum zaufania Radzie Ministrów powołanej przez prezydenta (zwykłą większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów). Jeżeli także w tym wypadku nie dojdzie do powołania nowego rządu, prezydent ma prawo rozwiązać parlament i zarządzić nowe wybory.

Politycy Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy udają, że nowego rządu nie czekają żadne zderzenia ze ścianą, nie zależy im na posadach w nowym gabinecie, nie będzie iskrzyć ani podczas tworzenia rządu, ani podczas jego funkcjonowania. To naiwne albo celowo zmistyfikowane podejście, gdyż im więcej koalicjantów (a tych wewnątrz trzech bloków jest aż dziesięciu), tym gorzej dla sprawności rządzenia i ustalania celów.

Mimo zapewnień, że celem partii mających tworzyć koalicję rządową jest tylko służyć Polsce, już toczy się walka o stolki. O ten najważniejszy, premiera, między Donaldem Tuskiem i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Gdyby jednak to szef PO miał być szefem rządu, wtedy o stanowisko marszałka Sejmu mieliby rywalizować lider ludowców i Szymon Hołownia. Ten ostatni chciałby mieć wpływ na obsadę stanowiska ministra obrony, co zapewne wynika z tego, że jego żona, Urszula Brzezińska-Hołownia, jest pilotem myśliwca w polskich siłach powietrznych. Ministrem obrony wskazanym przez Hołownię miałby zostać zapewne generał w stanie spoczynku Mirosław Różański, który został senatorem. Lecz MON chciałoby też kontrolować Polskie Stronnictwo Ludowe (poza „oczywistym” resortem rolnictwa), a Donald Tusk miał obiecać posadę szefa resortu obrony Tomaszowi Siemoniakowi. Rywalizacja jest duża zapewne dlatego, że MON dysponuje obecnie ogromnymi pieniędzmi, co przekłada się na wielkie możliwości i równie wielkie wpływy.

Politycy Polski 2050 chcieliby kontrolować politykę klimatyczną i edu-

cję oraz cyfryzację – o czym mówił poseł Michał Gramatyka. Do tego dodaje się jeszcze energię (nawet w formie osobnego ministerstwa). Politycy lewicy zakładają, że zajmowałby się zdrowiem, polityką społeczną i edukacją. Apetyt na stanowisko ministra edukacji ma np. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Lewica chciałaby też odpowiadać za mieszkalnictwo – w osobnym ministerstwie.

WŁADZA DLA WŁADZY

Politologzy, np. prof. Bartłomiej Biskup z UW, uważają, że „Donald Tusk nie po to wrócił do kraju, by nie zdyskontować wyborczego sukcesu”, czyli kierować rządem. Lecz „z punktu widzenia wizerunku przyszłego rządu być może powinien nim kierować polityk reprezentujący bardziej »miękką« opcję, np. Władysław Kosiniak-Kamysz”. Poniekąd prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego musi walczyć o fotel premiera, by „ugrać możliwie jak najwięcej dla PSL”, np. za to, że później ustąpi.

Problemem dla przyszłego rządu jest to, że o ile inni liderzy opozycji obiecali dużo, o tyle Donald Tusk obiecywał wręcz hurtowo i w gigantycznej liczbie. Polacy będą oczekiwali, że te obietnice spełni, nawet jeśli w latach 2007–2014 nie dotrzymał ogromnej większości. Choćby dlatego, by sprawdzić, czy Tusk się zmienił i czy można go traktować poważnie. Jak zauważył politolog prof. Wawrzyniec Konarski, „najlepszą formą uwiarygodnienia obietnic programowych Koalicji Obywatelskiej z okresu kampanii wyborczej byłoby objęcie stanowiska premiera przez Donalda Tuska”. Tylko czy lider PO chce cokolwiek uwiarygodnić? Bardzo wątpliwe, by czuł się zakładnikiem własnych obietnic. Jeśli zostanie premierem, to tylko dlatego, by wypełnić warunki przed drugą ucieczką do Brukseli. I zapewne wcale nie martwi go sprawa następcy, a nawet z jakąś przyjemnością obserwowałby np. walkę Rafała Trzaskowskiego z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem.

A gdzie w tym interes Polski, Polaków? To akurat najmniej ważne. Istotne jest to, żeby mieć władzę. Nawet dla samej władzy – jak podpowiadał nieżyjący już historyk idei prof. Marcin Król. 



Trzecia Droga? Niezupełnie

Trzecia Droga to najbardziej udany polityczny projekt marketingowy ostatnich lat. Wysokie poparcie w wyborach zawdzięcza temu, że udało się ją przedstawić jako nową jakość na polskiej scenie politycznej. W rzeczywistości jest to jednak klon Platformy, dzięki któremu turboliberalna ekipa Tuska znów otworzyła sobie drogę do władzy



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wysoki wynik Trzeciej Drogi, która uzyskała 14,4 proc. głosów i 65 mandatów sejmowych, okazał się największą niespodzianką tych wyborów. Niektóre sondaże przedwyborcze nie dawały przecież Trzeciej Drodze szans na przekroczenie progu. Tymczasem koalicja PSL oraz Polski 2050 Szymona Hołowni zdołała wejść na podium, stając się siłą, bez której trudno sobie wyobrazić budowę jakiegokolwiek stabilnego układu rządowego.

Żadną niespodzianką nie powinna być natomiast afiliacja polityczna Trzeciej Drogi, która zaraz po wyborach zaczęła przymierzać się do utworzenia wspólnego rządu z Platformą Obywa-

telską. Szybko okazało się – co od dawna było jasne dla każdego przytomnego wyborcy – że głosowanie na Trzecią Drogę było w istocie głosowaniem na partię Tuska, dzięki czemu możliwe stało się odsunięcie PiS od władzy i powrót do rzeczywistości sprzed 2015 r.

Można wątpić, czy wyborcy Trzeciej Drogi głosowali z intencją powrotu Tuska do władzy. Gdyby tak było, to zapewne oddaliby swoje głosy bezpośrednio na PO. Wydaje się więc, że wielu z nich po prostu dało się nabrać na chwyt marketingowy, jakim była rzekoma alternatywa w postaci Trzeciej Drogi. Bo to nie jest żadna „trzecia droga”, lecz doskonale znana sprzed 2015 r. formacja liberalna, coś jakby Platforma w nowym opakowaniu. Oddanie głosu na Trzecią Drogę z pewnością będzie dla niektórych jej wyborców bolesnym rozczarowaniem.

WYBÓR MNIEJSZYCH MIAST

Dość trudno jest scharakteryzować wyborcę Trzeciej Drogi, bo, według

badania late poll przeprowadzonego przez Ipsos w dniu wyborów, nie wyróżnia się on niczym szczególnym. Jeśli już szukać jakichś jego cech, jest to zazwyczaj mieszkanie w mniejszym mieście, żyjący z własnej działalności gospodarczej. Drugą widoczną grupą wyborców Trzeciej Drogi są ludzie z najmłodszej grupy wiekowej 18–29 lat. Na tych, dość zresztą wątych, podstawach można nakreślić przybliżoną sylwetkę głosującego na Trzecią Drogę.

Przede wszystkim jest to człowiek aspirujący. Zarówno finansowo, jak i kulturowo. Miasta poniżej 500 tys. mieszkańców i mniejsze już od dawna – jak wskazują badania – przechodzą transformację kulturową, próbując gonić za największymi metropoliami i być do nich podobne. Awans w oczach wielu mieszkających tam ludzi często jest utożsamiany ze zmianami obyczajowymi i odejściem od tradycyjnych wartości, postrzeganych jako prowincjonalne i ciągnące w dół.

Jednocześnie istnieją tam nadal dość duże pokłady niechęci wobec najwięk-

szych metropolii, zwłaszcza Warszawy, której mieszkańcy postrzegani są jako ludzie aroganccy i uprzywilejowani. Ten zestaw emocji, w których krzyżuje się poczucie niesprawiedliwości, że inni mają lepiej, z jednoczesnym dążeniem, aby kiedyś osiągnąć taki sam jak oni uprzywilejowany status, sprawił, że Trzecia Droga mogła być postrzegana przez wyborców w mniejszych miastach jako całkiem atrakcyjna formacja. Nie tak bardzo odklejona od ich świata jak PO, ale jednocześnie nie tak ludowa, a przez to mało prestiżowa jak PiS.

Z tego wynika też inny ważny czynnik wpływający na decyzje wyborcze. Otóż pokłady niechęci, o których mowa, nie odnoszą się wyłącznie do bogatej, rozkapryszonej hipsterki z dużych metropolii. Równie silną, jeśli nawet nie silniejszą niechęć aspirujący wyborca często odczuwa wobec ludzi mniej zamożnych oraz mieszkańców wsi. To oni, w jego opinii, byli głównymi beneficjentami rządów Zjednoczonej Prawicy. Dlatego łatwo go przekonać, że to z powodu redystrybucji środków w rodzaju programu 500+, 13. i 14. emerytury, wiedzie mu się gorzej. Taki wyborca, często drobny przedsiębiorca, uważa się za człowieka ciężko pracującego, muszacego oddawać część swoich dochodów na „patologię” i „nierobów”. Za tę sytuację wini PiS i szuka dla siebie alternatywy.

Początkowo część tego elektoratu dość umiejętnie zagospodarowała Konfederacja, ostatecznie jednak – głównie wskutek kompromitującej, niepoważnej kampanii wyborczej Sławomira Mentzena – ludzie ci przeszli pod skrzydła Szymona Hołowni, który na ostatnim etapie kampanii otwarcie przyjął ostry liberalny kurs, zapowiadając „koniec rozdawnictwa”. Jak wynika z badań, proces transferu elektoratu nabrał największej dynamiki bezpośrednio przed wyborami.

UWIEDZENI PRZEZ HOŁOWNIĘ

O ile jednak wyborcy, o których była mowa, mogli mieć jakiś – choćby źle rozumiany – interes w głosowaniu na Trzecią Drogę, o tyle jej nadspodziewanie dobry wynik wyborczy byłby zapewne nieosiągalny bez pomocy

innej grupy – najmłodszych oraz uwiedzionych.

W grupie wiekowej 18–29 lat Trzecia Droga odniosła ewidentny sukces, otrzymując blisko 18 proc. głosów i zajmując drugie miejsce wśród komitetów wyborczych. Z badań wynika, że wielu wyborców tej koalicji głosowało po raz pierwszy w życiu.

Różnie tłumaczą swoją decyzję. Niektórych przekonał występ Hołowni podczas telewizyjnej debaty wyborczej. Innych, zapewne uwiedzionych wcześniej przez Konfederację, zwabił liberalny kurs Trzeciej Drogi. Większość jednak postrzegala głos na tę formację jako opowiedzenie się za nowym rozdaniem w polityce, oddany przeciwko Tuskowi i Kaczyńskiemu. Brak elementarnej wiedzy sprawił, że dali się w ten sposób łatwo oszukać. Bo w rzeczywistości zagłosowali przeciw na Tuska.

W podobny sposób dali się zresztą nabrać liczni beneficjenci programów społecznych PiS: wyborcy z klasy ludowej, którym udało się wmówić, że dalsze rządy prawicy doprowadzą do zapaści państwa. Byli to najczęściej ludzie zaniepokojeni pogarszającą się koniunkturą gospodarczą (choć nie za bardzo rozumiejący jej naturę i źródła), wysokimi cenami oraz niestabilną sytuacją na świecie. Oddając głos na Trzecią Drogę, a więc przeciwko PiS, kierowali się swoimi obawami, mając naiwną nadzieję, że nowa władza przyniesie koniec sporów, bezpieczeństwo i stabilizację. Byli jednocześnie przekonani, że nic w ich życiu nie zmieni się na gorsze, pomoc, jaką otrzymywali za rządów PiS, zostanie utrzymana. To właśnie oni jako pierwsi boleśnie się rozczarują.

WIELKA KREACJA

Największym atutem Trzeciej Drogi jest, w oczach jej wyborców, rzekome „dziewictwo” polityczne tej formacji. Mało kto zauważa, że jej część stanowi PSL – partia, której wielu działaczy ma korzenie jeszcze w peerelowskim ZSL. Jednak większość z nich pozostaje w cieniu Władysława Kosiniaka-Kamysza, człowieka stosunkowo młodego, mało wyrazistego, wręcz mdłego. To duży kontrast z wię-

szością naszej rozkrzyczanej sceny politycznej. I ten kontrast przyciąga wielu wyborców.

Podobnie jest z Szymonem Hołownią, który wydaje się kreacją całkowitą – w tym, co robi, nie ma chyba nic żywiołowego i nieprzemyślanego. To po prostu skrupulatne odgrywanie swojej roli, do czego zresztą Hołownia – przez całe lata występujący przed kamerami – jest przyzwyczajony.

Przytłaczająca większość zwolenników Trzeciej Drogi potrafi rozpoznać jedynie Hołownię i nie ma najmniejszego pojęcia o innych osobach tworzących jego formację.

Oczywiście nie wszyscy z nich są całkiem anonimowi. Ale jedynie mocniej zorientowani w polskim życiu publicznym są w stanie dostrzec wśród działaczy tej formacji Michała Koboskę, wieloletniego redaktora prasy ekonomicznej i liberalnych tygodników, Katarzynę Pelczyńską-Nałęcz, ambasadorkę RP w Rosji z nadania Bronisława Komorowskiego czy gen. Mirosława Różańskiego, byłego Dowódcę Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Dwoje ostatnich ma zresztą spore „zasługi” w zgubnej polityce resetu z Rosją, co też powinno dawać do myślenia w kontekście możliwej polityki przyszłego rządu.

Pozostali są trudni do rozpoznania nawet dla uważniejszych obserwatorów sceny publicznej. Niektórzy z nich – jak wynika z ich życiorysów – robią lub robili karierę biznesową w dużych korporacjach zagranicznych, inni to eksperci, niekiedy współpracujący z Fundacją Batorego lub publikujący na łamach „Gazety Wyborczej”. Krótko mówiąc, są to ewidentnie ludzie z antypisowskiej strony barykady, bywa, że dość wpływowi oraz z rozległymi kontaktami, ale znajdujący się w drugim szeregu i przez to (a może raczej dzięki temu) zupełnie nierozpoznawalni dla przeciętnego Polaka. Również na czele lokalnych struktur stoją zwykle ludzie kompletnie nieznanymi poza swoim środowiskiem.

Jak jednak pokazał wynik wyborów, głosującym na Trzecią Drogę to najwyraźniej nie przeszkadzało. Przeciwnie, uznali to za zaletę i zdecydowali się oddać władzę nad państwem ludziom zupełnie – z ich punktu widzenia – anonimowym.



Konfederacja dysfunkcjonalna

Ryszard Petru, znany jako kreator memów, chwali się, że to on zatrzymał Konfederację. Jest w tym trochę prawdy. Bo to ona, a nie Trzecia Droga, miała dysponować rozstrzygającą siłą w parlamentarnych układankach i „wywracać stolik”. Okazało się, że zlepiąca z kilku środowisk jest projektem politycznie dysfunkcyjnym



MACIEJ WALASZCZYK

„15 października proszę o Twój głos! Mamy szansę wywrócić im ten stolik!” – z takim hasłem kandydaci Konfederacji szli do wyborów, licząc na to, że w nowym rozdaniu będą języczkiem u wagi w politycznych negocjacjach i układzie w parlamencie. Mieli licytować, wpływać na decyzje, a nawet kierować pracami Sejmu z fotela marszałka. I to

stojąc jednocześnie z boku, nie biorąc żadnej odpowiedzialności, bo Konfederacja to typowy twór, który, zdawałoby się, zyskuje wyłącznie na izolacji, niezależności i podkreślaniu swojego nieuwikłania. Nic z tego, co było widać już podczas wieczoru wyborczego – okazało się on kompletną klapą. Okazało się, że wykluczanie współpracy odstrasza elektorat, bo nie ma sensu głosować na kogoś, kto nie chce brać udziału w rządzeniu i woli się przyglądać. Tak można interpretować decyzję tych potencjalnych wyborców, którzy Konfederacji odpłynęli, dostrzegając niedojrzałość partii niechcącej współrządzić.

Ten wynik zdaje się być dla Sławomira Mentzena realizacją jego snu o izolacji

i zwolnienia z konieczności podjęcia politycznych decyzji. Jak pisałem kilka tygodni temu, w praktyce parlamentarnej współkierowane przez niego ugrupowanie jest tworem dysfunkcyjnym. W jej efekcie Zjednoczona Prawica, od współpracy z którą odżegnywali się liderzy Konfederacji, prawdopodobnie pożegna się z rządami, a do władzy wrócić może skompromitowany niegdyś Donald Tusk, PO, PSL i Lewica, odsunięta w Polsce od władzy 18 lat temu. Rząd centrolewu to realna cena, jaką wyborcy prawicy mogą zapłacić za istnienie „jedyną partii prawdziwie opozycyjnej, opozycyjnej wobec układu, który rządzi w Polsce od 30 lat”, za jaką uznała się Konfederacja.

GORZKI „SUKCES”

Ostatecznie Konfederacja wzięła 18 mandatów, przekonując do siebie ponad 1,5 mln wyborców. To nawet o 244 tys. więcej niż cztery lata temu, ale tak naprawdę porażka. W efekcie tych wyborów doszło do swego rodzaju rytualnego ojcobójstwa, bo Janusz Korwin-Mikke został wysłany na emeryturę przez swoich wyborców, przegrywając jako lider listy w okręgu ze startującą z drugiego miejsca Kariną Bosak, prywatnie żoną Krzysztofa Bosaka i prawniczką Ordo Iuris, a nawet Jackiem Wilkiem. Tę sytuację świetnie ilustruje równie symboliczny mem, na którym Karina Bosak i Korwin-Mikke rozgrywają partię szachów z podpisem: „Równie dobrze mogłabym grać z psem”. To rzecz jasna aluzja do licznych wypowiedzi Korwin-Mikkego na temat kobiet, gwałtów, seksu z 12-latkami.

ZDEMASKOWANI PRZEZ PETRU

Jeszcze latem sondaże dawały Konfederacji 16 proc., a więc mniej więcej tyle, ile dziś ma Trzecia Droga, stając się kluczowym podmiotem w negocjacjach w sprawie utworzenia nowego rządu. I najbardziej wygranym w wyborach, bo na pewno nie mogą tego powiedzieć Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak.

Już kilka tygodni przed wyborami Konfederacja zaczęła pikować, a sondaże nie pozostawiały złudzeń. W ciągu dość krótkiego czasu Mentzen przy wydatnej pomocy Janusza Korwin-Mikkego roztrwonął kapitał ciulany na punktowaniu błędów rządów PiS, zmęczeniu społeczeństwa ekonomicznymi skutkami wojny oraz pytaniami o sens bezgranicznej pomocy Ukrainie i uchodźcom ze Wschodu. W czasie piwnego tournée Mentzena po Polsce na pierwszy plan wysunięto również kwestie gospodarcze, pomysł radykalnego obniżenia podatków, prywatyzacji służby zdrowia, których realność i celowość stały się celem politycznych polemik oraz pytań, jak to zrobić, a także jakie skutki przyniosą. Konfederacja odnotowała zwyczaj, nie mając bezpośredniego przeciwnika.

Jednak gdy ten przeciwnik już się pojawił, to w przedwyborczych debatach wcześniej bardzo pewny siebie Mentzen nie poradził sobie z rywalami, stając się

własną parodią. Przegrał nawet z Ryszardem Petru – ten sam w sobie jest postacią memiczną, lecz dziś nie bez powodu może się szczyścić tym, że zdemaskował absurdalny programowy „skrajnej” prawicy i zatrzymał Konfederację.

– Zaczęto się im bliżej przyglądać i okazało się, że nie jest tak fajnie, jak zapowiadano. Historia z setką ustaw Mentzena, które w pewnym momencie zniknęły, czy niektóre postulaty, jak likwidacja ZUS, co, jak się okazało, było po prostu żartem, zdezorientowały wyborców – tłumaczy jeden z polityków prawicy.

Dzisiaj klub parlamentarny Konfederacji tworzyć będzie grupa liberalów z Nowej Nadziei, m.in. Sławomir Mentzen, Przemysław Wipler, Konrad Berkowicz, Stanisław Tyszką czy Bartłomiej Pejo, prywatnie zięć Janusza Korwin-Mikkego, który w 2018 r. objął mandat radnego w radzie powiatu świdnickiego z ramienia PiS. Czterech posłów z Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Brauna i tylko sześciu z Ruchu Narodowego: Witold Tumanowicz, Krzysztof Bosak i jego żona Karina Bosak, Michał Wawer, Krzysztof Tuduj, Krzysztof Mulawa. Najwięksi przegrani tych wyborów to oczywiście Janusz Korwin-Mikke, Anna Siarkowska, Michał Urbaniak, Dobromir Sośnierz, świetnie wypadająca w telewizyjnych debatach prawniczka Anna Bryłka czy znana w tym środowisku Ewa Zajączkowska-Hernik, która zdobyła popularność na zwalczaniu tzw. piątki dla zwierząt, forsowanej przez PiS jesienią 2020 r.

Wyniki głosowania na listy Konfederacji są jednak dziwne, bo do Sejmu nie dostali się popularni wśród sympatyków prawicy posłowie, a wyborcy wskazali na nierozpoznawalnych nowicjuszy. To m.in. nienależący do żadnej partii politycznej Grzegorz Placzek ze Śląska czy Włodzimierz Skalik – ten, choć bezpartyjny, zaliczył debiut w czasie wyborów do tzw. sejmiku kontraktowego w 1989 r., startując z listy PZPR. W latach 80. był dwukrotnym wicemistrzem świata w łataniu precyzyjnym, a teraz jest współpracownikiem Grzegorza Brauna.

KORWIN ZA BURTĄ

Mandatu nie zdobył też dotychczasowy poseł Krystian Kamiński, zajmujący się polityką międzynarodową, często pokazu-

jący się obok prorosyjskiego geopolityka Leszka Sykulskiego. Pamiętajmy, że z list Konfederacji startował też prof. Ryszard Zajączkowski z KUL – członek Polskiego Ruchu Antywojennego, założonego właśnie przez Sykulskiego. Antyukraińska narracja przysparzała Konfederacji sympatii jej żelaznego elektoratu, lecz w realiach rosyjskiej agresji to, co mówił Kamiński czy otwarcie proputinowskie wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego ostatecznie zadziały odstraszaюще na wyborców spoza tej grupy. Tym bardziej że ten nie hamował się zupełnie.

„Wynik Janusza Korwin-Mikkego to czerwona kartka od wyborców. Jest w tym coś symbolicznego, że po negatywnych wypowiedziach o kobietach, kobieta przeskakuje go, jeśli chodzi o wynik wyborczy” – komentował Krzysztof Bosak. Postanowiono więc nie czekać i na fali porażki rozprawić się z kłopotliwym liderem seniorem. Cztery dni po wyborach sąd partyjny usunął go z Rady Liderów i zawiesił jego członkostwo w partii. „Dość syndromu sztokholmskiego i tłumaczenia się z głupoty. Jeśli złamie warunki zawieszenia, Sąd Partyjny będzie rozpatrywał jego usunięcie z Konfederacji” – oświadczył Witold Tumanowicz, inicjator wniosku. Powodem tak dużej frustracji jest zarzut sabotowania przez niego kampanii. „Bardzo dobrze, że Korwin-Mikke nie dostał się do Sejmu, bo nie będzie już szkodził partii” – mówił Witold Tumanowicz. Jak ujął to Przemysław Wipler, Korwin-Mikke „swoimi swobodnymi przemysleniami wjeżdża w nas jak autobusem”. Działo się tak, choć na finiszu kampanii został poproszony, żeby się nie wypowiadać i nie pisać niczego w mediach społecznościowych. Oczywiście stało się inaczej, bo Korwin nie wytrzymał. Ostatecznie wypowiedzi bagatelizujące pedofilię w kontekście afery Pandora Gate wyraźnie zaszkodziły Konfederacji i odstraszyły wielu wyborców, których głosy przeszły do Szymona Hołowni. I to jego ugrupowanie wraz z PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza może dziś nie tyle „wywracać stolik”, ile siadać do niego i negocjować podział wpływów w rządzie, stawiać żądania, i to nie tylko Tuskiowi, jeśli tylko nie zabraknie im do tego zręczności. Konfederacja w dalszym ciągu może się najwyżej przyglądać. ➤



PO WYBORACH

SIECI

Wielkie oczekiwania

Niemcy spodziewają się po zmianie rządu w Polsce poprawy relacji między naszymi krajami. Ale oczekują także przyjęcia paktu migracyjnego, udziału Warszawy w federalizacji Unii Europejskiej oraz rezygnacji z rozbudowy Odry

Teraz Donald Tusk może rządzić” – głosi tytuł artykułu w „Süddeutsche Zeitung” na temat wyniku wyborów parlamentarnych w Polsce. „Nareszcie” – powinni byli dodać redaktorzy monachijskiego dziennika. Nie dodali, ale za Odrą i tak czuć ogromną ulgę. W tych wyborach, dodała gazeta, zwyciężyły demokracja oraz Unia Europejska.

Przeglądając niemiecką prasę, czytamy, że wprawdzie Donald Tusk niczego nie musi w polityce migracyjnej czy



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

klimatycznej, ale „mógłby” lub „powinien”. Przyszły liberalno-lewicowy rząd jest kuszony „powrotem do serca Europy”, „zdjęciem unijnych blokad”, choćby z KPO – o czym z radością donosił po wyborach drugi kanał niemieckiej telewizji publicznej ZDF.

Europejska Partia Ludowa, w której skład wchodzi zarówno partia niemieckiej chadecji, jak i Platforma Obywatelska, jest pewna: „Polacy się zmienili, wybrali Europę”. Jakaś nagroda im się za to należy.

Fot. Shutterstock

GO W SPORCIE?

OGLĄDAJ WE WTORKI O 12.35
W TELEWIZJI W POLSCE PL

Sponsor programu



ZGODA NA RELOKACJĘ

Oczekiwanie Brukseli, a przede wszystkim Berlina, są duże. Pierwszy na europejskiej agendzie będzie pakt migracyjny. W przeszłości duża część PO była zwolennikami relokacji, a niektóre środowiska opozycyjnej koalicji są zwolennikami otwartych granic. Donald Tusk wprowadził krytykę PiS za rzekome setki tysięcy wiz wydane imigrantom (był to zwyczajny fake news) i zarękał się w kampanii, że na relokację w ramach UE się nie zgodzi, lecz nie ma powodów, by sądzić, że traktował ten problem jedynie instrumentalnie, czyli jako narzędzie w kampanii.

Nie da się ukryć, że Berlin liczy na to, iż nowy rząd, stworzony z opozycyjnych partii nad Wisłą, przestanie blokować relokację. Jest to ważne dla rządzącej za Odrą koalicji SPD, Zielonych i FDP, bowiem narastający kryzys migracyjny wzmocnił antyimigrancką Alternatywę dla Niemiec (AfD), drugą siłę polityczną w Niemczech, a w niektórych wschodnich landach nawet pierwszą. Mimo zapewnień opozycyjnej chadecji, że z AfD nigdy nie będzie współpracować, na poziomie landów może się to stać w niedalekiej przyszłości nieuniknione, a „zapora ogniowa”, którą mainstreamowe partie odgradzają się od AfD, może upaść. Dlatego rozwiązania odciążające Niemcy w obszarze migracji są kluczowe. Ponieważ władze w Berlinie nie chcą bądź nie mogą zlikwidować zachęt dla migrantów (najbardziej hojny system zasiłków w Europie), muszą szukać innych „europejskich” rozwiązań. Przy tym równie istotny, jak relokacja w pakcie migracyjnym, jest zapis o przyspieszonym zwracaniu imigrantów do państw pierwszego wejścia, co może doprowadzić do ich coraz większej obecności w Polsce przy braku możliwości skutecznej deportacji. Zachwalany przez szefową Komisji Europejskiej deal z Tunezją ws. powstrzymywania migracji, zawarty w lipcu br., przetrwał zaledwie kilka miesięcy. Umów z bezpiecznymi krajami trzecimi lub krajami pochodzenia migrantów na readmisję w ogóle brak. Pakt migracyjny, pozbawiony tych elementów, czyli powstrzymywania migracji i deportacji, będzie niewiele wart i doprowadzi tylko do zaostrzenia kryzysu migracyjnego.

EKOLOGICZNY SKANSEN NAD ODRĄ

Ale niemieckie oczekiwania wobec Polski dotyczą także innych dziedzin. Polityk Zielonych i posełka do landtagu Brandenburgii Sahra Damus widzi po wyborach nad Wisłą szansę na „nowy dialog ws. rozbudowy Odry”. „PiS uczynił z rzeki pole bitwy dla swojej antyniemieckiej ideologii” – wtórował jej Jan-Niclas Gesenhues, rzecznik ds. polityki ochrony środowiska Grupy Zielonych w Bundestagu. Nie-

mieccy Zieloni od początku sprzeciwiają się rozbudowie Odry, prowadzonej na podstawie umowy międzyrządowej z kwietnia 2015 r. Niemieckie Ministerstwo Środowiska chce ją na nowo przeanalizować, bo „skutki zmian klimatycznych nie zostały w niej wystarczająco uwzględnione”.

Zielonym marzy się ekologiczny skansen w dolnym odcinku rzeki. Tymczasem rząd PiS dążył do przekształcenia Odry tak, by umożliwić żeglugę śródlądową, czyli transport różnego rodzaju materiałów po rzece oraz sprawniejszą i bardziej kompleksową ochronę przeciwpowodziową. Zdaniem Niemców Odra powinna pozostać rzeką dziką i bez ingerencji człowieka, a Polska nie ma prawa do decydowania o tym, jakie inwestycje mogą być na niej realizowane.

To dziwne, jak pisze „Głos Szczeciński”, zważywszy na fakt, że „na 742 kilometry, którymi Odra płynie przez Polskę, tylko 180 km stanowi granicę z Niemcami. „Polsko-niemieckie stosunki sąsiedzkie na rzece określa ustawa, ale nie ma w niej ani słowa o tym, że regulacja rzeki musi być omawiana z Niemcami” – twierdzi gazeta.

Donald Tusk może stać się tym, który sfederalizuje Unię i pozbawi Polskę dużej części suwerenności. Na to liczą Niemcy

REKLAMA



"Co Kościół na to?"

Zofia Kozerańska
środa, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać



Gdy w 2022 r. z rzeki wyciągnięto tony śniętych ryb, politycy PO poparli niemieckie postulaty, czyli apelowali o zatrzymanie prac na Odrze. Nic dziwnego więc, że dziennik „Tageszeitung” uważa dziś, że wraz z możliwym dojściem do władzy koalicji KO, Trzeciej Drogi oraz Lewicy „jest szansa dla Odry”, a raczej na to, by zamienić ją w wymarzony skansen, pozbywając się w ten sposób polskiej konkurencji.

ZATRZYMAĆ ROZBUDOWĘ PORTU W ŚWINOUJŚCIU

Oprócz Odry jest jeszcze kwestia rozbudowy portu kontenerowego w Świnoujściu. Inwestycja ma już decyzję środowiskową, oznaczającą zakończenie procesu konsultacji transgranicznych dotyczących oddziaływania na środowisko. Strona niemiecka jej jednak nie uznaje. Co ciekawe, informacje o braku uznania decyzji pojawiły się w niemieckich mediach tuż po wyborach w naszym kraju. Polska strona uważa, że postępowanie się zakończyło, niemiecka, czyli organizacja Bürgerinitiative Lebensraum Vorpommern (BLV) i burmistrzynie położonego na wyspie Uznam kurortu Heringssdorf Laura Isabelle Marissen, twierdzi, że trwa. Jest przy tym jasne, że strona niemiecka chce przeciągnąć procedury, licząc na nowe władze w Polsce. Po rozbudowie port w Świnoujściu za kilka lat może stać się konkurencją dla tego w Hamburgu.

Pod znakiem zapytania stanęły także inne projekty forsowane przez PiS i krytykowane przez Niemcy, jak elektrownie atomowe czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Niektórzy politycy Koalicji Obywatelskiej proponują, by wstrzymać przygotowania do budowy CPK. Powodem ma być rzekomy „brak środków w budżecie”. Jest to argument, którego można użyć także do usprawiedliwienia spowolnienia lub zarzucenia innych inwestycji rozpoczętych przez PiS.

POLSKA MA BYĆ POSŁUSZNA

Najważniejsze kwestie, w których Niemcy mają nadzieję na uległość Tuska, to jednak sprawy europejskie. Autonomia strategiczna, zmniejszenie zależności Europy od USA, o czym niektóre gazety za Odrą piszą zresztą otwarcie. W skład tej autonomii miałyby wejść armia europejska. Niemiecki politolog Kai-Olaf Lang nie kryje, że Berlin jest zadowolony z tego, iż po perturbacjach ze zbożem Polska straciła uprzywilejowane relacje z Kijowem, którego kluczowym partnerem stały się (ponownie) Niemcy, odzyskując przy tym „przywództwo moralne”.

Wraz ze zmianą władzy w Polsce pojawiła się dodatkowo szansa na dokończenie tzw. federalizacji, czyli instytucjonalnego umocowania dominacji europejskiego centrum nad peryferiami. Niemieccy politycy kuszą przy tym żywieniem formatu Trójkąta Weimarskiego lub, jak przewodniczący polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej w Bundestagu Paul Ziemak, powrotem do polsko-niemieckich konsultacji rządowych. Interes Berlina jest jasny. Chce Polski posłusznej, sprawnie wykonującej zadania, niemarużącej wiecznie o suwerenności i odrębności gospodarczej.

Jak podkreśla europoseł PiS Jacek Saryusz-Wolski, w Brukseli forsowana jest właśnie przyspieszona procedura zmiany traktatów. Proponuje się zmianę metody głosowania w Radzie, tzw. podwójnej większości, likwidację weta w głosowaniu w praktycznie wszystkich sferach, wzmocnienie roli Parlamentu Europejskiego, redukcję liczby komisarzy i ich hierarchizację, nowe unijne podatki na rzecz zasobów własnych dla budżetu, usankcjonowa-

nie zaciągania wspólnego długu, rozszerzenie zakresu działania mechanizmu praworządności. Raport proponuje *de facto* automatyzację sankcjonowania państw w ramach procedury art. 7. unijnego traktatu. Rodzi się UE, która będzie narzucać i karać, a nie budować konsensus. Oznacza to także rezygnację z zasady subsydiarności i jakby odwrócenie porządku europejskiego: to nie państwa dają kompetencję Unii, ale ona je przyznaje państwom członkowskim.

Michael Link, wiceprzewodniczący klubu parlamentarnego FDP, odnosząc się do wstępnych

wyników wyborów w Polsce, stwierdził, że to „zwycęstwo” dla zdolności UE do działania. „Bez Polski zasadniczy postęp w integracji europejskiej jest prawie niemożliwy” – uznał. Jego zdaniem jeśli nad Wisłą powstanie rząd lewicowo-liberalny, „będzie to świetna okazja, by zreformować Europę instytucjonalnie, wzmocnić ją gospodarczo i wraz z Polską i Francją wypełnić życiem zagrożony w impasie Trójkąt Weimarski”.

Donald Tusk może się więc stać tym, który sfederalizuje Unię i pozbawi Polskę dużej części suwerenności. Będzie mu zresztą ciężko odmówić, gdy Berlin czy Bruksela się zgłoszą, w końcu opozycja świadomie wciągnęła unijne instytucje w wewnętrzny spór polityczny w Polsce. Przez osiem lat UE posługiwała się (czysto instrumentalnie) kwestią państwa prawa, by osłabić polską pravicę.

Sporo także zainwestowano w kampanię wyborczą opozycji. Popłynęły miliony od Sorosa czy takich funduszy jak Action for Democracy, który wcześniej usiłował wpłynąć na wybory na Węgrzech. Zapewne teraz oczekują one, podobnie jak Niemcy czy Bruksela, że te inwestycje im się zwrócą. W taki czy inny sposób.

Zdaniem Niemców Odra powinna pozostać rzeką dziką i bez ingerencji człowieka, a Polska nie ma prawa do decydowania o tym, jakie inwestycje mogą być na niej realizowane

Ponad



miliardów
złotych

przekazanych
na polski
sport i kulturę

Dofinansowanie sportu

ponad **15,7 miliardów
złotych** od 1994 roku

Dofinansowanie kultury

ponad **3,3 miliarda
złotych** od 2003 roku

#WygrywamyRazem



Gabriela Topolska

Łyżwiarka szybka,
specjalizująca się w short
track'u, Ambasadorka
Totalizatora Sportowego

Dawid Tomala

Mistrz olimpijski
z Tokio w chodzie na 50 km,
Ambasador Totalizatora
Sportowego



Wrocławskie Jagodno. To w lokalu wyborczym na tym osiedlu głosowanie trwało do godz. 3 nad ranem. W kolejce do urny stało wielu młodych ludzi. Były darmowa pizza, gorąca herbata i determinacja, by dawać PiS, które uzyskało tu zaledwie 5,95 proc. głosów

Zmiana dobra, czyli ciąg dalszy nastąpi

Pozwolę sobie na hipotezę, iż dla dużej grupy wyborców 15 października to był udział w swoistym happeningu. Coś jak „Ice bucket challenge”, czyli uczestnictwo w podpowiadany przez media tzw. społecznościowe ewencie



ANDRZEJ NOWAK

Nie będzie gorącej wojny domowej, bo okazało się, że totalna opozycja osiągnie swój cel bez tego. Cieszę się, że jej nie będzie – byłaby dla Polski w tym momencie szczególnie niebezpieczna. Tusk, korzystając z zapory ogniowej zaprzysiężonych mediów tudzież ze wsparcia całej postępowej Europy, prawdopodobnie do reszty przejmie władzę w Polsce. Z tego się nie cieszę, bo nie przepadam za taką koncentracją władzy. Do władzy sądowniczej, władzy samorządu terytorialnego, większości w Senacie oraz pełnej zgodności z dyktaturą w Parlamencie Europejskim, a przede wszystkim z to-

talną dominacją medialną nad co najmniej połową podłączonych do mediów umysłów w naszym kraju dojdzie możliwość domknięcia tego systemu przez przejęcie zwierzchnictwa nad częścią władzy wykonawczej, którą daje rząd (i kontrolowane przezeń instytucje).

Ale cóż, „i tam są ludzie, i tam mają duszę” – jak pisał w 1831 r. o Rosjanach Juliusz Słowacki. Tu słowo „dusza” zastąpiłbym pojęciem: „natura ludzka” – z jej indywidualnymi ambicjami, rywalizacjami, posłuchem dla własnych przede wszystkim interesów. Koalicja, jaką będzie tworzyć opozycja, nie wróży – na szczęście – końca polityki ani końca historii. Pozostaje także prezydent. To bardzo ważne w sytuacji, gdy PiS zachował zdolność (w niektórych sprawach może nawet z poparciem Konfederacji) podtrzymywania prezydenckiego weta przeciw najbardziej szkodliwym decyzjom, jakie chciałby przeprowadzić rząd ulubionego premiera pani von der Leyen (wcześniej Angeli M.).

W czasie globalnej i także regionalnej (agresja Rosji na Ukrainie) niestabilności Polska będzie znowu płynęła z prądem, w tzw. głównym nurcie, czyli tak, by zadowolić Berlin i Paryż, albo przynajmniej jedną z tych stolic, gdyby akurat był między nimi podział. A także by nie drażnić tak bardzo Moskwy (a do powrotu współpracy z nią wszak spieszą i Berlinowi, i Paryżowi). Odsuwa to może pokusę myśli o likwidacji czy okrojeniu niewygodnego dla wielkich sąsiadów państwa. Bo teraz będzie znowu wygodne i spójne.

Czy jednak powinniśmy się cieszyć z tego, że wrócimy do takiej formuły bezpieczeństwa Polski, jak za panowania Augusta III Wettina? Pytanie pomocnicze: jak długo będzie trwała owa „zmiana dobra”, która zastępuje „dobrą zmianę”? A za tym dalsze pytania: jak długo dobrem będziemy nazywali „roztropną podległość” – nie tylko wobec silniejszych sąsiadów, ale także władzy już przez nikogo – poza owymi sąsia-

dami – niekontrolowanej i nieograniczonej? Jak długo – to pytanie jeszcze chyba ważniejsze – nie będziemy dostrzegali władzy globalnych kontrolerów naszych emocji? Czy zdołamy się obudzić w porę, to znaczy póki jeszcze będziemy w stanie po przebudzeniu poruszać się samodzielnie i samodzielnie myśleć?

Większość komentatorów głosi po tych wyborach, że oto mamy triumf demokracji. Nawiasem mówiąc: jak to możliwe, że demokracja tak łatwo wygrywa w kraju, w którym przez osiem lat panował system dyktatorski, autorytaryzm, a według wielu obserwatorów krajowych i zagranicznych nawet faszyzm? Jak to? Faszyzm po raz drugi (pierwszy raz zdarzyło się to w 2007 r.) oddaje władzę w wyborach demokratycznych?

Nie o tym fenomenie jednak chcę mówić, tylko zastanowić się nad nowym znaczeniem pojęcia „zwycięstwo demokracji”. Otóż pozwolę sobie na hipotezę, iż dla dużej grupy wyborców 15 października nie był zwieńczeniem namysłu nad dorobkiem (dobrym i złym) poszczególnych ugrupowań startujących w wyborach ani też nad ich programami gospodarczymi, społecznymi czy politycznymi tudzież nad ich wiarygodnością w realizacji składanych wcześniej obietnic. Nie, dla dużej części wyborców, zwłaszcza nowych – a ci byli bardzo liczni – był to udział w swoistym happeningu. Coś, jak „Ice bucket challenge”, czyli uczestnictwo w podpowiadającym przez media tzw. społecznościowe „evenie”, wydarzeniu, dającym krótką, ale silną ekscytację udziału w wielkim stadzie, które traktuje jednym takim gestem całe zło świata. To raczej zwieńczenie bardzo sprawnie prowadzonej od lat gry na emocjach, pozwalających oderwać się od rzeczywistości i zapomnieć o niej. Osiem gwiazdek – czyli żyjemy w systemie totalitarnej opresji, z której musimy się wyzwolić: choćby przez wulgarne przekleństwo. Dwa piorunki, czyli znak SS – naklejamy, by dać wyraz poczuciu radykalnego prześladowania kobiet w „tym kraju”. Na czym ono polega, w czym jest tutaj kobietom gorzej niż w Niemczech czy we Francji? O tym dyskutować nie warto. Dwa piorunki, a potem wielka manifestacja

poświęcona cierpieniom pewnej pani na posterunku policji w Krakowie. Pani „odfajkowana” i na następnej manifestacji już całkowicie ze swoją sprawą zapomniana, porzucona. Biedaczka, nie widziała, że jej „ice bucket” w moment się skończył.

Teraz emocjonalnie mobilizowany w taki sposób potencjalny elektorat idzie skończyć swoim głosem z faszyzmem, opresją, idzie, żeby być z innymi „fajnymi ludźmi” przeciw „złu”, które „razem pokonaMY”, jak podpowiadał biało-czerwony plakat Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy pewnej partii. Ludzie tak zmotywowani emocjonalnie idą i wrzucają w świąteczno-rewolucyjnej atmosferze swój głos do urny. Karnawał trwa jeszcze jeden dzień, może dwa, kiedy towarzyszy mu poczucie triumfu. Może taka jest po prostu natura demokracji? A może to jest jej wynaturzenie: całkowite zastąpienie racjonalnej argumentacji emocjami, pojęcia dobra wspólnego pojęciem wspólnego wroga, poza którym i ponad które nic już innego nie ma?

No, ale wróci rzeczywistość. Nowy rząd, jak już się sformuje, może podtrzymywać ten karnawał zemsty na pokonanym wrogu – przez jakiś czas. Ale potem pojawią się pytania: gdzie są te obietnice, tak hucznie i wielokrotnie powtarzane: np. o nieodbieraniu socjalnych dodatków (800+, 13 i 14 emerytura itp.), które wprowadził ten zły, obalony rząd, albo – to obietnica Lewicy – o zrealizowaniu PRAWA każdego człowieka do mieszkania, albo nawet, takie skromne i konkretne, o odzyskaniu „na drugi dzień po wyborach” pieniędzy zablokowanych przez Unię, słynnych 36 mld euro, należących się nam z funduszu odbudowy. A jeśli rzeczywiście pojawi się fala migracji, od ściany Putina i Łukaszenki albo od południa? Co wtedy? Zaczekamy na światłą radę od starszych i mądrzejszych od nas – z Berlina, Brukseli czy Paryża? Zburzymy mur czy będziemy się bronić?

Pojawią się także trudne do uniknięcia sprzeczności między obietnicami różnych części koalicji, spójnej jedną tylko emocją nienawiści (no, może jeszcze drugą: gorączką powrotu do utraconych przez osiem lat stołków i honorów). Czy nieograniczona aborcja

dla wszystkich, dla każdej „osoby z macicą” (bo słowo „kobieta” może będzie już całkowicie zakazane) – czy jednak przyklekający najedno kolano elektorat PSL? Balcerowicz czy Zandberg? Czy nowym wychowawcą młodzieży będzie Giertych, czy raczej Biedroń?

A wreszcie i to: jak nowy rząd będzie sobie radził z kryzysami przychodzącymi z zewnątrz, niespodzianie, jak pandemia, wojna, klęska żywiołowa, globalna recesja – kryzysami, których los akurat odchodzącej ekipie nie szczędził.

Krótko mówiąc: nadejdzie jednak sprawdzian rzeczywistości.

Ale czy coś z tego wyniknie? Niekoniecznie. Rząd PiS nie zrobił nic, by wspomóc budowę silnych mediów, niezależnych od rządu (a więc od wyborów), zdolnych przedstawić skutecznie inny obraz tej rzeczywistości niż media tzw. głównego nurtu (od CNN do TVN i wielkich portali koncernów niemieckich, szwajcarskich czy innych, od lat tak sprawnie formatujących umysły mieszkańców „tego kraju”). Nie pytam o powody. Stwierdzam fakt. Każde łajdactwo, każde nieudacznictwo władzy chronionej za takim puklerzem, jakim będzie już w sposób doskonały dysponować nowy, wspaniały rząd w Polsce, będzie można ukryć, zneutralizować. Przerzucić odpowiedzialność za każde niepowodzenie na wewnętrznego wroga, na czyhający wciąż faszyzm.

Czy rzeczywistość wygra z niereczywistością? Czy obecna ekipa rządząca, która staje się opozycją, będzie w stanie zmobilizować swój elektorat i poszerzyć go wielką grą w emocje – tak, jak zrobiła to dochodząca teraz znowu do władzy grupa sprawdzonych towarzyszy?

Nie desperujemy. Pracujmy dalej, dokąd możemy, tam, gdzie możemy i jak możemy – dla naszego wspólnego domu. Pamiętajmy, że nie jesteśmy sami. Dorobek kultury wolności i niepodległości Rzeczypospolitej w Europie tworzyło ponad 30 pokoleń. Ten dorobek to nie tylko zobowiązanie, ale również fundament nadziei na zwycięstwo, nawet w neobarbarzyńskich czasach. A może zwłaszcza w takich czasach?



Po polską mitologię na pocieszenie

Po stronie opozycji zapanowała totalna i nie do końca uzasadniona euforia, a w obozie niepodległościowym rozżalenie i przygnębienie – również nieuzasadnione. Mamy wiele narzędzi, by powstrzymać zwijanie państwa przez Tuska, a już na pewno mamy powody nie poddawać się i nie załamywać rąk

Poczuli, że mogą ustawić nawet prezydenta. W radiu RMF FM Włodzimierz Cimoszewicz groził Andrzejowi Dudzie Trybunałem Stanu, ale zapowiedział łaskawość, gdyby głowa państwa była spinegliwa wobec Donalda Tuska. Były aparaczek PZPR sugerował także, że w przypadku współpracy z liberałami prezydent może liczyć na poparcie w między-narodowej karierze po zakończonej kadencji. Brzmiał więc bardziej jak swój ojciec z komunistycznej bezpieki niż polityk wolnej i demokratycznej Polski. Takie czasy mają teraz wrócić?

Posłowie opozycji zapowiadają wyrzucenie z TVP Info dziennikarzy, którzy przez lata rozliczali ich z afer i niespełnionych obietnic. W stacji TVN pokazuje się przewagę opozycji jak radosne zwycięstwo nad faszyzmem. Polska ma być wyczyszczona, a katolicy opilowani.

Wybuch tego antypisowskiego entuzjazmu przygnębił wiele osób zatroskanych o Polskę, a w powyborczych komentarzach zwolennicy prawicy znaleźli powody do niepokoju. Wszak po 15 października szybko pojawiły się zapowiedzi „sprawdzenia”, czyli *de facto* ograniczenia zamówień dla wojska, prywatyzacji naszych skarbów narodowych (np. ORLENU), zgodę na tę przeklętą unijną relokację imigrantów i przyjęcie reformy Unii, która jeszcze bardziej ograniczy naszą suwerenność. Potężnym mediom III RP udało się skrócić referendum i obniżyć frekwencję, co pozwoli byle jurgielnikowi odrzucić argument, że „Polacy nie chcą” np. rozbiórki zapory na polsko-białoruskiej granicy. Nic, tylko sięść i płakać.

NIL DESPERANDUM

Gdy jednak politycy i ich specjaliści od wizerunku polują na winnych niewystarczającego wyniku PiS w wyborach parlamentarnych, a komentatorzy rozpisują się o tym, „co należałoby zrobić lepiej”, warto wziąć kilka głębokich wdechów i odpowiedzieć na pytanie: co dalej? Co z Polską, co



JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI

z obozem patriotycznym? Bo też chyba większość z nas żyła złudzeniem, że Zjednoczona Prawica będzie beztrudno wygrywać wybory, dopóki nie zreformuje kraju i nie wejdziemy do pierwszej ligi państw europejskich, a tymczasem w tej części Europy to tak nigdy nie działa. „Nie chcemy Polski, która nic nie kosztuje” – mawiał bł. ks. Jerzy Popiełuszko, który przecież za wolność

i solidarność zapłacił najwyższą cenę – życie, odebrane brutalnymi torturami. Doprawdy głupio się mazgać w sytuacji dalece łagodniejszej niż toporna dyktatura mundurowych Jaruzela!

KAPRYŚNA FORTUNA

Ale też polskie przebudzenia i polskie męstwo mają miejsce właśnie w sytuacjach, gdy zasmakuje się nieco klęski. Nasza narodowa mitologia nakazuje wierzyć, że „Deus mirabilis, fortuna variabilis”. Słowa te padły z ust księdza kanonika krakowskiego Szymona Starowolskiego, gdy przyszło mu oprowadzać po grobach królewskich monarchę, który rzucił Rzeczpospolitą na kolana – Karola X Gustawa, autora szwedzkiego potopu. Co za upokorzenie! Władca północy, idąc od wybrzeża Bałtyku, zdobył więc nawet Kraków i demonstrował duchownemu, że Polski już nie ma i nie będzie. „Bóg miłościwy, a fortuna zmienna” – odpowiedział przytomnie Starowolski.

Po 15 października fortuna zdaje się obracać wyjątkowo szybko, bo koalicja chaosu już się spiera o aborcję (PSL jej nie chce, Lewica jej nie odpuści), Tusk marzy o rządzie bez ludzi Czarastego i Zandberga, a z wywiadów radiowych polityków PO wynika, że nie mają oni żadnego planu – ani na Polskę, ani na rządzenie, ani nawet na zawiązanie koalicji. Tak, przeciwnik jest słabszy, niż sądzimy i wystarczy przeczekać tę chwilę ich próżnego triumfalizmu, by doczekać zaniepokojenia w oczach wyborców opozycji, wyborców zdziwionych raczkującymi kompromitacjami.

MOCNIEJSI NIŻ W 2007 r.

My w Polsce za często poddajemy się deliberacjom i mędrkowaniu, zanurzamy się w dywagacjach, które nas zużywają i frustrują. Irytowało to kiedyś hetmana Żółkiewskiego, który próbował pobić wielokrotnie liczniejszych Moskali pod Kłuszynem, ale jeden z husarzy usilnie mu raportował, że wróg ma taką przewagę i tak jest okopany, że nie sposób go pokonać. Uciał to staropolski przywódca krótkim hasłem: „Nadzieja w męstwie, ratunek w zwycięstwie”. Ten apel o wytrzymłość poskutkował, bo polska jazda, szarżując nawet po dziesięć razy, wreszcie przełamała obronę wroga. Robić swoje, nie marudzić – strywalizowalibyśmy dzisiaj słowa Żółkiewskiego, ale czyż nie są one receptą na rozmaite zakręty historii? Zwłaszcza że – trzeba to powtórzyć – sytuacja jest o niebo lepsza niż we wspomnianych tu czasach. Mamy tu małą powtórkę z 2007 r., kiedy to – także za pomocą sponsorowanych przez dziwne fundacje akcji „profrekwencyjnych” – odsunięto PiS od władzy. Podobnie jak wtedy Tusk z Kosiniakiem chcą urządzić Polskę, podobnie jak wtedy prezydent stoi na straży suwerenności, a najwyżsi urzędnicy państwowi są nastawieni na kontynuację swojej misji: Narodowy Bank Polski, Instytut Pamięci Narodowej czy Rada Mediów Narodowych nie będą się kłaniać rewizji polityki historycznej czy gospodarczej wielkich wyprzedawcy kraju. Choć przy analogii z 2007 r. nasuwa się i taka prośba, by jednak samolotami latać nisko, ostrożnie oraz oddzielnie, ale dość wspomnieć, że w 2023 r. jesteśmy o wiele mocniejsi niż wtedy, choć oczywiście czasy – wojna na Wschodzie i niemieckie koncepcje na Zachodzie – zmuszają nas do większej troski o państwo.

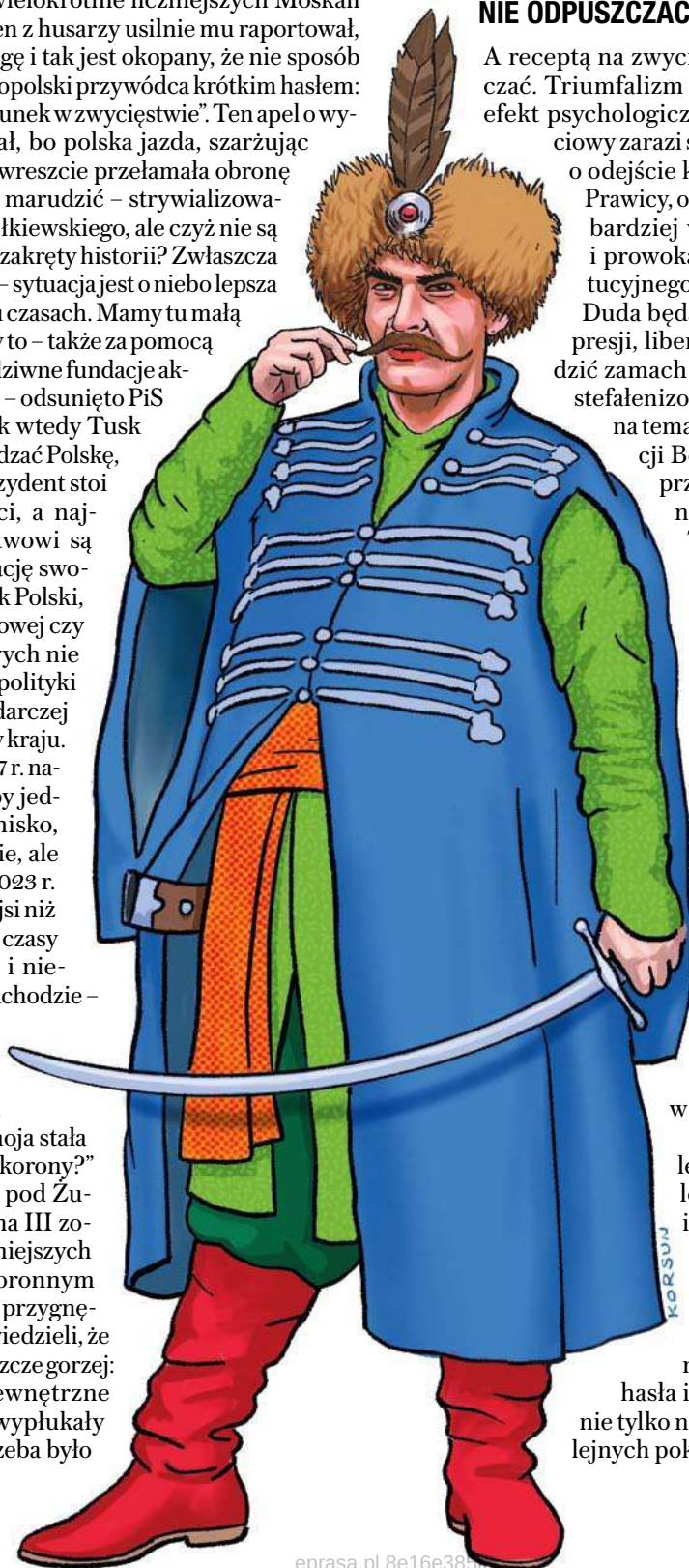
„Z gorszych wprowadzałem was terminów, czy myślicie, że głowa moja stała się cięższa po założeniu korony?” – te słowa padły z kolei pod Żurawnem, gdy wojska Jana III zostały obleżone przez silniejszych Turków, a w obozie koronnym zapanowała rezygnacja i przygnębienie. Jednak nasi nie wiedzieli, że po drugiej stronie jest jeszcze gorzej: jesień, zmęczenie, wewnętrzne zróżnicowanie i chaos wypływały Turków z woli walki, trzeba było

ich jedynie przeczekać. My dziś nie siedzimy w błotnistym obozie wojskowym, więc przeczekać będzie łatwiej, a i nasz Sobieski faktycznie z gorszych wyprowadzał nas dramatów, naprawę, o wiele gorszych.

NIE ODPUSZCZAĆ

A receptą na zwycięstwo jest właśnie nie odpuszczać. Triumfalizm Tuska i jego ludzi ma wywołać efekt psychologiczny, bo jeśli obóz niepodległościowy zarazi się defetyzmem, to łatwiej będzie o odejście kogoś z posłów Zjednoczonej Prawicy, obrońcy naszej suwerenności będą bardziej wystawieni na ostrzał kłamstw i prowokacji. Prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska czy prezydent Duda będą teraz poddawani niesłychanej presji, liberałowie będą chcieli przeprowadzić zamach na TVP, by telewizję publiczną stefalenizować i odciąć Polaków od wiedzy na temat kryzysów w Brukseli czy intencji Berlina. Może się okazać, że – jak przed dekadą – trzeba będzie pójść na marsz, jak w obronie Telewizji Trwam, czy przede wszystkim na Marsz Niepodległości 11 listopada, który Rafał Trzaskowski już nieraz próbował nam odebrać. Być może znów będzie trzeba wskrzesić tak potrzebny w 2015 r. Ruch Kontroli Wyborów, bo już wokół referendum działają się rzeczy niepokojące. Być może będzie trzeba się zaktywizować w internecie, mediach, protestach, może odwiedzić lokalnego parlamentarzystę w jego biurze poselskim, by mu przypomnieć o racji stanu, może pospiskować znowu w salkach parafialnych na spotkaniach o Polsce – zresztą to wszystko całkiem nieźle nam wychodziło w dekadzie Tuska.

„Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – irytował się kiedyś Piłsudski. – A niepodległość jest dobrem nie tylko cenowym, ale bardzo kosztownym”. W polskim kodzie kulturowym nieprzypadkowo przetrwały te hasła i rady, bo wybrzmiały, zdaje się, nie tylko na tamtą chwilę, lecz także dla kolejnych pokoleń.



Lekcja z Hiszpanii, czyli jak prawica odradza się po klęskach

*W powyborczym krajobrazie Polski łatwiej odnaleźć nadzieję,
gdy przyjrzymy się podobnym procesom w Hiszpanii.*

*Demonizowana i maltretowana prawica wciąż się tam
odradza i szuka sposobu na odzyskanie ojczyzny z rąk tzw.
anty-Hiszpanii (komunistów, progresistów, separatystów).
Podobny podział na Polskę i reprezentowaną przez opozycję
totalną anty-Polskę wydaje się uprawiany również u nas*



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Obserwując od lat pasmo klęsk i zwycięstw konserwatystów hiszpańskich, jednego z całą pewnością można się od nich nauczyć: wytrwałości i chęci wymyślenia się na nowo. Nauczeni historią rekonkwisty, owych 700 lat walk z muzułmanami, Hiszpanie mają w swoim DNA upór i wiarę w zwycięstwo mimo wielu przegranych. Hiszpańscy misjonarze uparli się schryścianizować nawet najbardziej wrogie i odległe zakątki świata, np. ówczesną Japonię. Także ich prawica może przypominać wańkę-wstańkę, niedającą się obalić. Kraj, który od dwóch dekad jest synonimem zapateryzmu i najbardziej szalonych ideologicznych ustaw, wciąż potrafi zaskakiwać odradzaniem się prawicy. Trzeba przy tym wspomnieć, że hiszpańscy konserwatyści są w trudniejszej sytuacji z powodu balastu frankistowskich korzeni, przyczepianej im notorycznie metki „faszystów” i niezbyt chlubnej roli Kościoła w czasie dyktatury. Nie wspominając już o tym, że

marksistowska, terrorystyczna ETA narodziła się właściwie na plebaniach kościołów Kraju Basków.

OSIEROCONA PRAWICA

Nic więc dziwnego, że tamtejsza prawica od wielu lat zgodnie podkreśla, że czuje się osierocona przez swoich pastery. Pograżony w stagnacji Kościół hiszpański (zwłaszcza jego hierarchowie) wybrał potulne niewychylanie się z szeregu. Milczy nawet gdy aprobowane są wszystkie wołające o pomstę do nieba ustawy, np. o ekspresowej eutanazji, zmianie płci, a wszystko ze strachu przed kolejnymi prześladowaniami ze strony rządu. Innym powodem jest obawa, aby nie rozeźlić podatników, którzy, rozliczając swój roczny dochód, zaznaczają zwykle przekazanie 0,7 proc. kwoty na finansowanie Kościoła. Tym bardziej więc osamotnionej prawicy należą się wyrazy podziwu, zwłaszcza że przywykła walczyć z aborcją i eutanazją niejako wbrew woli episkopatu. Ten z pełną świadomością finansuje radio i kanały telewizyjne, tj. COPE i Trece TV, w których nie tylko emitowany jest przekaz „cywilizacji śmierci”, lecz także często panuje zakaz wstępu dla posłów najbardziej zasłużonych w obrobie nienarodzonych czy niewinności dzieciństwa.



Jeśli więc dwie frakcje prawicy potrafiły w maju br. wygrać wybory samorządowe, a dodatkowo Partia Ludowa (podobnie jak PiS) wygrała lipcowe wybory parlamentarne (zabrakło im dwóch mandatów do zdobycia wotum zaufania w Kongresie), to znak, że trzeba przyrzeć się ich metodom ciągłej rekonkwisty, dokonywanej przy urnach.

„POWRÓT PRAWICY”

Oto mam przed sobą najnowszą książkę pt. „Powrót prawicy” Federica J. Losantosa, legendarnego hiszpańskiego dziennikarza i guru tamtejszej prawicy, z którym miałam zaszczyt długo rozmawiać w styczniu. Musiałam mu podziękować za jego głośny wywiad radiowy z Estebanem Gonzálezem Pensem – owym unijnym wysłannikiem, wsławnym u nas zdaniem: „Spróbujemy pomóc polskiemu społeczeństwu zmienić władzę, które nie są dobre dla Polski”. Losantos zaprosił Ponsa do programu i ośmieszył go przed całą Hiszpanią, przywołując podstawowe



Santiago Abascal
– lider partii Vox

bią trzy postacie hiszpańskiej prawicy – Santiago Abascal, lider partii Vox, Isabel Ayuso, pani prezydent Wspólnoty Madrytu z ramienia Partii Ludowej i Alberto Núñez Feijóo, czyli obecny szef Partii Ludowej.

Owszem, Partia Ludowa to mocny trzon Europejskiej Partii Ludowej (EPL), a zatem jest w komitywie z Donaldem Tuskiem i KO. Wszystkich tych „chadeków” łączy bezobjawowość w dziedzinie tradycyjnych wartości.

Tym, co jednak pokazało znacząco różnicę jakości między ekipą Tuska a ekipą Gonzaleza Ponsa,

są wydarzenia ostatniego miesiąca. Podczas gdy

„chadecy” Tuska są gotowi na każdego typu alianse, aby pokonać Zjednoczoną Pra-

wicę – choćby z dawnymi komunistami czy lewakami – to w Hiszpanii jest odwrotnie. Otóż, jak należy oczekiwać od ludzi przyzwoitych, to chadecy Ponsa zjednoczyli się z Voxem, by pokonać anty-

-Hiszpanię, czyli socjalistów, komunistów, lewaków, separatystów. Ludowcy byli w identycznej sytuacji jak obecnie PiS, lecz dla dobra kraju potrafili wzniesić się ponad podziały i stworzyć koalicję z konserwatystami. Ten sojusz bardzo zdenerwował Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego – ci nie omieszkali pouczyć hiszpańskich kolegów i udzielić im reprimendy.

Wracając jednak do książki „Powrót prawicy” Losantosa, są w niej rozdziały i pytania, które postawić musi sobie też polska prawica, a brzmia one następująco: „Podstawowe wartości prawicy”, „Naród – najwyższa sprawa”, „Nie ma przywódcy, jeśli nie ma projektu”, „Estetyka jako siła przyciągająca”, „Mentalność obłożonej twierdzy”, „Od kompleksów po triumfalizm”, „Sekrety

odporności na kampanie dezinformacji”, „Strategia wobec mediów”. Wszystkie te i wiele innych kwestii muszą zostać omówione, aby polska prawica wzorem hiszpańskiej umiała się odradzać w coraz to nowej i atrakcyjniejszej formie.

SIŁA PRAWDY I ROZSĄDKU

Siłą każdej prawicy w Europie jest jej program, oparty na tym, co wcześniej czy później i tak musi zwyciężyć, czyli prawie naturalnym i zdrowym rozsądku. Tak zresztą stale powtarzają włoska premier Giorgia Meloni i Santiago Abascal. Skąd więc tyle kompleksów wśród elektoratu Zjednoczonej Prawicy, skoro bronimy wartości odziedziczonych w spadku po Rzymie, Atenach i Jerozolimie? Prawica zawsze będzie bronić równości wobec prawa, bo nie zgodzi się na „pozytywną dyskryminację” grup uprzywilejowanych, uwięzienie z paragrafu o transfobie, wojnę płci, wszczynaną przez radykalny feminizm itd. Zawsze będzie opowiadać się za potrzebą suwerennego państwa, z określonymi granicami i zawsze w ramach legalności, której moralne i ponadczasowe korzenie otrzymała od swych przodków.

Z tego zaś wynika szacunek do prawa i konstytucji, także zgoda na użycie przemocy, np. wobec tych, którzy chcą pogwałcić reguły życia zbiorowego, wolność i własność obywateli. To prawica będzie bronić wolności słowa, przekonań i wyznania, bo konserwatyści z definicji są odporni na totalitarne pokusy lewicy.

Dylemat najważniejszy brzmi – jak do tych odwiecznych wartości przekonać młodych ludzi?

KUSZENIE MŁODYCH

Otóż konserwatywny Vox pokazuje, jak to robić, – jak zjednać sobie pokolenie Z czy milenialsów. Wystarczy spojrzeć na ich konta społecznościowe, a okazuje się, że potrafią świetnie komunikować się z młodymi: newsy, memy oraz prostowanie fake newsów i kampanii oszczerstw. Krótkie przekazy są emitowane codziennie, z ferworem. Na usługach partii pozostają jej entuzjaści:

prawdy o demokracji i przypominając zasługi polskiego rządu w przyjmowaniu uchodźców ukraińskich oraz montowaniu koalicji przeciw Rosji. W hiszpańskim mainstreamie nikt nie zrobił dla nas więcej. Jego książka, przeznaczona dla skłóconej hiszpańskiej prawicy, ma znaczący podtytuł: „Między nadzieją a desperacją”, a okładkę zdo-

młodzi youtuberzy (w tym znany gej), raperzy i didżeje. Gdy w 2019 r. partia była u szczytu popularności i wdarła się na scenę polityczną, przewracając stół i zdobywając nagle aż 52 mandaty w Kongresie, była stworzona przez grupkę przyjaciół, czterdziestolatków, doskonale umiejących komunikować się zarówno z królem, arystokratami, jak i „gimbazą”. Santiago Abascal od początku był otoczony wianuszkami młodych, sprawdzonych dziennikarzy, pomagających mu w kontaktach z prasą i opinią społeczną. Przy młodych, świetnie ubranych liderach Vox inne partie wydawały się zlepkami „dziadersów”. Abascal, choć atakowany ze wszystkich stron, a nawet obrzucany kamieniami przez lewackie bojówki, jednocześnie potrafił wygrać ranking na najseksowniejszego szefa partii lub najlepiej prezentującego się uczestnika debaty przedwyborczej.

Podobnie pani prezydent Wspólnoty Madrytu Isabel Ayuso wygrywa rankingi popularności, ponieważ nie tylko sprawdziła się w polityce, lecz także jest niezwykle zadbaną, atrakcyjną kobietą, w której podkochują się hiszpańscy macho. Jednocześnie reprezentuje bardziej konserwatywne skrzydło Partii Ludowej, wadzi się z feministkami, a czasem upomina o prawa nienarodzonych.

Innym sposobem Vox na zjednanie sobie ludzi były dwudniowe festiwale z cyklu VIVA pod gołym niebem oraz z mnóstwem atrakcji. Na tych masowych spotkaniach i jednocześnie mitingach politycznych każdy mógł znaleźć coś dla siebie, o czym przekonałam się dwukrotnie. Oczywiście ich najważniejszym punktem były wystąpienia liderów światowej prawicy (dlatego dwukrotnie pojawił się tam Mateusz Morawiecki, ostatnim razem osobiście). Ludzi przyciągała nie tylko obecność VIP-ów, szefów państw i partii, lecz także oferta patriotyczna. W licznych stoiskach czekali na swych czytelników znani historycy, gawędziarze, autorzy powieści historycznych. Odbływały się spektakularne pokazy, podczas których każdy region prezentował swoje bogactwo kulturowe, występy didżejów i kabaretów, pokazy sztucznych ognii. Deputowanym Vox trzeba też oddać, że



Isabel Ayuso – prezydent Wspólnoty Madrytu z ramienia Partii Ludowej



Alberto Núñez Feijóo, obecny szef Partii Ludowej

Konserwatywny Vox
pokazuje, jak zjednać sobie pokolenie Z czy milenialsów. Wystarczy spojrzeć na ich konta społecznościowe, a okazuje się, że świetnie potrafią komunikować się z młodymi: codzienne newsy, memy oraz prostowanie fake newsów i kampanii oszczerstw

cych zainwestować w odrodzenie konserwatyzmu w najbardziej gay-friendly kraju Europy. Wiązano ich z fortuną jakiegoś irańskiego dysydenta i opozycjonisty wobec tamtejszego reżimu, także ze środowiskiem Steve’a Bannona, a zatem i Donalda Trumpa. Ostatnio głośno było o transferze 4 mln euro na rzecz Fundacji Disenso, think tanku Vox, której także szefuje Abascal. Trudno się jednak dziwić, że partia inwestuje w swoje prężne zaplecze intelektualne i organizacyjne. Wypada pamiętać też o kampanii oszczerstw oraz pomówień, z jaką nieustan-

nie mieli oporów, aby mieszać się z tłumem, być dostępnymi dla przypadkowych rozmówców, jeść przy wspólnym stole, korzystając z bogactwa stoisk z gastronomią.

SIŁA THINK TANKÓW

Można oczywiście pytać, skąd poniżana i demonizowana hiszpańska prawica bierze pieniądze na swoje imprezy oraz zabiegi PR-owe. Niektóre dzienniki, np. „El País”, sugerowały, że Vox otrzymał spore wsparcie finansowe od donatorów krajowych i zagranicznych, chcą-

nie zмага się formacja psująca interesy międzynarodowych ośrodków władzy, a zwłaszcza pozostających u władzy socjalistów i komunistów.

Polska prawica musi wymyślić się na nowo w bardziej smakowitej i atrakcyjnej formie. Sama prawda i racja moralna już nie wystarczą. Trzeba je umieć sprzedać, podpatrując wzorce płynące z doświadczeń Meloni we Włoszech czy Abascula w Hiszpanii. To wcale nie musi być trudny i bolesny projekt, wręcz przeciwnie: rekonkwista może być pasjonującym przeżyciem dla nas wszystkich, którym zależy na dobru ojczyzny.

DZIAŁAMY WSPÓLNIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEJ PRZYSZŁOŚCI



**W 2022 r. wygenerowaliśmy 335 mld zł
wsparcia dla polskiej gospodarki**



Czy nie zauważyliśmy, że **III wojna światowa** już wybuchła?

Sytuacja na świecie – zmęczonym najpierw pandemią, wojną na Ukrainie, drożyzną żywności, a teraz wojną w Izraelu – jest tak napięta, że może wystarczyć drobny incydent w rodzaju zamachu Gawriły Principa w Sarajewie w 1914 r., a świat stanie w płomieniach



MAREK BUDZISZ

Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, zapytany przez dziennikarzy o to, w jaką stronę ewoluuje sytuacja na świecie powiedział, że jego zdaniem „zmierzamy w stronę konfliktu globalnego”. Ma to nie tylko związek z pojawieniem się nowych ognisk zapalnych, w tym wojną między Izraelem a Hamasem w Strefie Gazy, ale również ze zjawiskiem znacznie poważniejszym, jakim jest zarysowanie się „osi zła” – agresywnych państw autorytarnych, które współpracują coraz bliżej i są za-

interesowane destabilizacją sytuacji na świecie. Chodzi o Rosję, Iran i Koreę Północną; zdaniem niektórych komentatorów do tego trójkąta mogą też dołączyć Chiny i wtedy wybuch starcia w stylu III wojny światowej znacznie się przybliży.

OŚ ZŁA, CZYLI ROSJA, IRAN, KOREA PŁN.

Już teraz dziennikarze i eksperci alarmują o pogłębiającej się współpracy wojskowej między Moskwą, Teheranem i Pjongjangiem. Eksperci RUSI, brytyjskiego think tanku strategicznego, opublikowali w ostatnich dniach specjalny raport, w którym na podstawie zdjęć satelitarnych udowadniają, że Rosjanie wysyłają statki z małego portu pod Władywostokiem, gdzie w przeszłości, za czasów ZSRR, mieściła się baza sowieckich okrętów podwodnych, do północ-

nokoreańskiego portu Rajjin. W opinii brytyjskich ekspertów Korea Północna na masową skalę zaczęła dostarczać Rosji, jak wcześniej Iran, broń i uzbrojenie. Inne doniesienia medialne mówią o setkach północnokoreańskich kontenerów, które dotarły koleją do Władywostoku.

Zacieśnia się również wojskowa współpraca Moskwy i Teheranu. Nikita Smagin, ekspert ds. Bliskiego Wschodu, napisał dla Centrum Carnegie raport, w którym informuje, że Rosjanie i Irańczycy zawarli tajne porozumienie, którego celem jest zmuszenie Amerykanów do ewakuacji ich sił z Syrii. Dowodem na wzrost zagrożenia starciem, nawet przypadkowym, jest lawinowo rosnąca liczba incydentów w syryjskiej przestrzeni powietrznej z udziałem rosyjskiego lotnictwa. Kreml, nie mając możliwości wzmocnienia swego zgrupowania morskiego działającego we wschodniej części Morza Śródziemnego, podjął decyzję o używaniu w tym celu swego lotnictwa.

Współpraca rosyjsko-irańska obejmuje też inne obszary na Bliskim Wschodzie. Budanow zwrócił uwagę na dwie sprawy. Otóż, jak zauważył przed atakiem Hamasu na Izrael, Rosjanie przekierowali swe satelity szpiegowskie na nową orbitę geostacjonarną, umożliwiającą obserwację Izraela, co może być zarówno dowodem na to, iż wiedzieli, że „coś się szykuje”, jak i świadczyć o przekazywaniu informacji wywiadowczych. Kilka dni po wrześniowej wizycie rosyjskiej delegacji wojskowej w Teheranie kanał propagandowy Sputnik zaczął nadawać audycje po arabsku w południowym Libanie, co zapewne również nie jest dziełem przypadku.

BLISKI WSCHÓD NAD PRZEPAŚCIĄ

Izrael znajduje się obecnie na krawędzi wojny, i to od razu na trzech frontach. Jeśli zaatakuje Strefę Gazy, będzie musiał toczyć ciężkie walki z dobrze przygotowanym przeciwnikiem, mającym, jak się szacuje, nawet 30 tys. ludzi pod bronią. Będą to walki w mieście, co oznacza ogromne straty, zarówno po stronie wojska, jak i przede wszystkim ludności cywilnej. Głównie dlatego, że, jak napisał na łamach „The Atlanti” Andrew Exum,

Izrael ma doskonale lotnictwo i dobre siły specjalne, ale poziom wyszkolenia sił lądowych, w skład których wchodzi wielu rezerwistów, pozostawia wiele do życzenia, jest zdecydowanie gorszy niż standardy NATO. Może się zatem okazać, że izraelskie siły obrony (IDF) będą miały problemy i nie będą w stanie przeprowadzić krótkiej „operacji chirurgicznej”, polegającej na unieszkodliwieniu kierownictwa Hamas i wycofaniu się. Do akcji wejdzie wówczas lotnictwo, a to oznacza, że starty wśród ludności cywilnej dramatycznie wzrosną.

Bliski Wschód może wówczas wybuchnąć, czego potwierdzeniem są nie tylko słowa króla Jordanii, który powiedział, że cały Bliski Wschód „stoi nad przepaścią”, a po ataku na szpital w Strefie Gazy odwołał zapowiedziane spotkanie z Bidenem, w którym prócz niego mieli uczestniczyć przedstawiciele OWP i prezydent Egiptu. Prezydentowi Stanów Zjednoczonych, który podjął decyzję o wysłaniu we wschodnią część Morza Śródziemnego dwóch grup lotniskowców oraz okrętów towarzyszących – jak się ocenia po to, aby przestrzec Iran przed zaangażowaniem się – i potem pojechał do Izraela, może się nie udać uspokojenie sytuacji. Tym bardziej że Iran nie musi, z pewnością nie w tej fazie konfliktu, angażować się bezpośrednio.

Uderzenie na Izrael, jeśli ten zaatakuje Gazę, zapowiedział już lider Hezbollahu, proirańskiej organizacji, silnej zarówno w Libanie, jak i w Syrii. Specjaliści uważają, że jest ona znacznie groźniejsza od Hamasu, lepiej wyszkolona, ma więcej ludzi i lepsze wyposażenie. Jak niedawno napisał na łamach „The Telegraph” John Bolton, były amerykański doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, w magazynach Hamasu znajduje się nawet 150 tys. rakiet różnych typów, w tym irańskie modele z głowicami o ładunku 500 kg, mogących razić cele na odległość 300 km. Jeśli zatem wojna wybuchnie, to Izrael może być atakowany z trzech stron, a Iron Dome, system zapewniający ochronę przestrzeni powietrznej, z pewnością nie wytrzyma tak zmasowanego uderzenia, bo Izrael nie dysponuje odpowiednią liczbą pocisków przechwytyjących. Co się wówczas może stać?

Trudno to sobie nawet wyobrazić, tym bardziej że szejik Hasan Nasr

Allah, przywódca Hezbollahu, latem tego roku zapowiedział atakowanie wszystkich celów, w tym reaktora jądrowego w Dimonie. Izrael z pewnością nie będzie się temu bezczynnie przyglądał i jego siły, na pewno lotnictwo, w razie ataku uderzą na południowy Liban. Czy to upadłe państwo, bez prezydenta i z tymczasowymi premierem oraz szefem banku centralnego, mające 7 mld dol. rezerw, przetrwa kolejną wojnę na swoim terenie? Nie ma na to szans.

„Izrael może zniszczyć Liban” – powiedział „Foreign Policy” Sami Nader, analityk zajmujący się sytuacją w tym bliskowschodnim kraju. Państwo-wość Libanu jest tak słaba, że w razie ataku kraj pogryzą się w chaosie, a los uchodźców z południa oraz ponad 2 mln Syryjczyków, którzy schronili się przed represjami Asada, będzie tragiczny.

KOLEJNE ZARZEWIA WOJNY

Na Bliskim Wschodzie może zatem w każdej chwili rozpętać się pandemium wojny, ataków terrorystycznych i dramatu uchodźców. Do starć w Izraelu i na jego granicach trzeba dodać niepewną sytuację w Syrii oraz trwający konflikt w Jemenie. Na obrzeżach też nie jest lepiej. Od miesięcy trwa wojna domowa w Sudanie. Etiopia, po tym, jak wygasła rebelia w Tigraju, stoi w obliczu kolejnej wojny domowej, tym razem w prowincji Amhara.

Antony Blinken, sekretarz stanu USA, przestrzegał niedawno, iż Azerbejdżan ośmielony sukcesem swej operacji przeciw separatystycznej republice Górskiego Karabachu, może rozpocząć kolejną wojnę, tym razem z Armenią, by uzyskać korytarz lądowy łączący go z azerską enklawą w Nachiczewanie. Erywań nie może już liczyć na Moskwę. Jedynie Teheran może próbować hamować apetyty Baku, tym bardziej że w północnych prowincjach Iranu mieszka nawet 16 mln Azerów. Ale jeśli zaangażuje się w konflikt na Bliskim Wschodzie albo Izrael będzie chciał uderzyć w irańskie instalacje jądrowe, to wówczas może okazać się, że Teheran nie będzie w stanie powstrzymać Baku. Może wybuchnąć kolejna wojna.

STAN PODWYŻSZONEJ GOTOWOŚCI

Operacje destabilizacyjne prowadzi też Rosja, zainteresowana rozchwianiem sytuacji w świecie. Na konferencji prasowej w Pekinie, po spotkaniu Inicjatywy Pasa i Szlaku, Władimir Putin poinformował, że rosyjskie myśliwce uzbrojone w rakiety Kindżał o zasięgu 1 tys. km zaczną patrolować między narodową przestrzeń powietrzną nad Morzem Czarnym. W takiej sytuacji o incydent nietrudno, tym bardziej kiedy Ukraina skutecznie przełamuje rosyjską blokadę portów czarnomorskich. Na północy też niemało się dzieje.

Niedawno władze Finlandii poinformowały o uszkodzeniu w wyniku podejrzanego wybuchu gazociągu i kabla światłowodowego łączącego ten kraj z Estonią. O podobnym incydencie donosiły też władze Szwecji. Kilka dni później przedstawiciele prokuratury w Helsinkach ujawnili, że dochodzenie wyjaśnia udział w akcie sabotażu dwóch statków – rosyjskiego i chińskiego. Teraz zmierzają one w stronę północnych wybrzeży Norwegii, gdzie znajdują się kluczowe dla bezpieczeństwa energetycznego Europy pola wydobywania gazu ziemnego oraz podwodne gazociągi. Sytuacja jest tak napięta, że od grudnia ubiegłego roku siły zbrojne Norwegii pozostają w stanie podwyższonej gotowości, a po niedawnym spotkaniu ministrów obrony państw skandynawskich i Wielkiej Brytanii na szwedzkiej Gotlandii brytyjski premier Rishi Sunak powiedział, że w przyszłym roku, w ramach długich, 6-miesięcznych ćwiczeń, Wielka Brytania wyśle do Finlandii, Estonii i Norwegii 20 tys. swoich żołnierzy, samoloty i okręty.

NA UKRAINIE WOJNA BEZ KONCA

Niewiele wskazuje też, że wojna na Ukrainie zmierza do finału. Należy się raczej spodziewać jej zaostrzenia, zwłaszcza że Amerykanie dostarczyli Kijowowi rakiety ATACMS. Co prawda o zasięgu zredukowanym do 160 km, ale

ich dostawa i tak oznacza, że, jak powiedział doradca prezydenta Ukrainy Mychajło Podolak, każdy cel na okupowanych przez Moskalów terenach może zostać rażony przez ukraińskie siły rakietowe. Dowodem na to są zresztą dwa skuteczne ataki na rosyjskie lotniska wojskowe pod Bierdiańskiem i Ługańskiem. Putin powiedział, że dostawy rakiet dla Kijowa to jedynie „przedłużanie

Na Bliskim Wschodzie może zatem w każdej chwili rozpętać się pandemonium wojny, ataków terrorystycznych i dramatu uchodźców. Do starć w Izraelu i na jego granicach trzeba dodać niepewną sytuację w Syrii oraz trwający konflikt w Jemenie

agonii Ukrainy”, ale również, po niepowodzeniu rosyjskiego kontryderżenia w Donbasie, zaczął mówić o przejściu do fazy „aktywnej obrony”.

Trzeba się zatem przyzwyczajać do myśli, że wojna na Ukrainie nie skończy się szybko i Rosjanie będą szukać innych możliwości zadania ciosu albo zastraszenia Zachodu. Ambasador Federacji Rosyjskiej w USA gen. Antonow w ramach rutynowego straszenia powiedział, że „jesteśmy coraz bliżej starcia Rosji z NATO”, ale widząc nieskuteczność tych gróźb, Kreml może postanowić działać.

Na razie Moskwa będzie chciała eskalować napięcie na poziomie nuklearnym – temu ma służyć deratyfikacja w ekspresowym tempie przez Dumę Państwową traktatu o zaniechaniu próbnych eksplozji jądrowych. Następnym krokiem może być podjęcie przez Kreml przygotowań do wznowienia prób nuklearnych, kolejnym – po wystrzeleniu pocisku balistycznego Burawiestnik – ma być zastraszanie Zachodu.

Także na Morzu Południowochińskim i wokół Tajwanu sytuacja jest napięta jak nigdy wcześniej. Przed tygodniem filipiński okręt wojenny przekroczył „barierę morską” ustawioną przez Chiny w okolicach spornego archipelagu Huangyan, co niemal nie doprowadziło do starcia. Niedawne manewry armii chińskiej wokół Tajwanu były największe w historii, a Ely Ratner, odpowiadający w Pentagonie za obszar Dalekiego Wschodu, oskarżył właśnie chińskie lotnictwo o „nieakceptowalne i wysoce prowokacyjne” manewry zwrócone przeciw amerykańskim samolotom. Jego zdaniem w ciągu ostatniego roku Chińczycy co najmniej 180 razy dopuścili się „ryzykownych manewrów” wobec amerykańskich myśliwców i 100 przeciw samolotom państw sojuszników. Każde z takich zdarzeń może się przekształcić w incydent zbrojny.

Tym bardziej jeśli wojna na większą skalę wybuchnie w jakimś oddalonym zakątku świata. Jeżeli dojdzie do tego na Bliskim Wschodzie, Amerykanie mogą nie być w stanie wspierać jednocześnie i Izraela, i Ukrainy oraz przyjąć z pomocą Tajwanowi. Wówczas Pekin może uznać, że otworzyło się dla niego „okienko możliwości” i armia nie musi czekać na wypełnienie rozkazu Xi Jinpinga, który powiedział, że do 2027 r. musi być ona gotowa do zbrojnego „zjednoczenia” Tajwanu i Chin.

Kolejne ogniska napięcia mogą wybuchać również w innych krajach. Ostatnimi czasy coraz goręcej jest w Kosowie, a pod koniec września Serbia wycofała swe oddziały z nad granicy dopiero na ultimatywne w tonie żądanie z Waszyngtonu.

Sytuacja na świecie, zmęczonym najpierw pandemią, potem wojną na Ukrainie i drożyzną żywności, a teraz wojną w Izraelu, jest tak napięta, że może wystarczyć drobny incydent, w rodzaju zamachu Gawriły Principa w Sarajewie w 1914 r., a świat stanie w płomieniach. Pesymiści mówią nawet, że III wojna światowa już trwa, tylko nie objęła jeszcze znacznych obszarów, ma charakter punktowy, a my nie zdajemy sobie sprawy z tego, że „to już początek”. 



Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty



Co pan tu robi?

Do czarnobylskiej zony chciałem pojechać przed laty. Kupiłem bilet na wycieczkę, lecz nie zebrało się wystarczająco wielu chętnych, więc wyjazd spalił na panewce. Obecnie strefa jest nie tylko terenem zamkniętym, lecz także rejonem silnie zmilitaryzowanym i objętym działaniami wojennymi. Żaden dziennikarz nie ma tam wstępu. Nam się udało



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI
korespondencja z Ukrainy

Jeden z wrześniowych tygodni spędziłem w Kijowie. W oczekiwaniu na realizację którejś z opcji wyjazdu dalej na wschód obserwowałem stołeczną rzeczywistość. Ukraińskie społeczeństwo, przynajmniej na terenach oddalonych od frontu, przywykło już do wojny. Lokale

nie mogą narzekać na brak klientów, czemu sprzyja skrócona, obowiązująca od późniejszych pór godzina policyjna. Mieszczanie tłumnie spacerują po parkach i centralnym deptaku – Chreszczatyku, a młodzi ludzie wieczorami bawią się w knajpkach. Pod pomnikiem kniazia Włodzimierza Wielkiego, który zaprowadził na Rusi chrześcijaństwo, po zmroku spotkałem grupę młodzieży tańczącą z ubranymi w tradycyjne stroje dziewczętami z zespołu ludowego.

Jednak ludzi w Kijowie jest jakby mniej. Co rzuca się w oczy – po ulicach spacerują głównie kobiety. W SZU w większości służą mężczyźni, wielu poległo, część wyjechała, a jeszcze inni boją się wyjść z domów.

W tym czasie Ukrainę obiegały przesyłane sobie przez wszystkich nagrania z telefonów komórkowych. Na pierwszym z nich żandarmi próbowali wciągnąć do furgonetki młodego mężczyznę, który, niczego się nie spodziewając, szedł wieczorem po chodniku. Krótki film pokazuje, jak chłopak próbuje się wyrwać, a ludzie z okien krzyczą do żołnierzy, żeby go zostawili, że są gorsi od Rosjan. Ostatecznie wojskowi musieli się przestraszyć presji społecznej i odjechali jak niepyszni.

Tego typu łapanki są konsekwencją coraz liczniejszych przypadków nieodbierania przez poborowych wysyłanych listownie powołań w szeregi ukraińskiej armii.

Drugie nagranie zostało zapisane z ukrycia w pomieszczeniu, gdzie żandarmeria umieściła mężczyznę w średnim wieku, próbującego wydostać się z Ukrainy przez góry i tym samym uniknąć wcielenia do armii. Jeden z wojskowych wyzywa i bije siedzącego na przyczepie, grożąc mu przy tym „przedmiotem przypominającym pistolet”. Gdy sprawa nabrała rozgłosu i zainteresowały się nią media, bijący i jego pomocnik zostali zawieszani do wyjaśnienia. Gdyby nie telefon komórkowy z kamerą, nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. Możemy się tylko domyślać, z iloma podobnymi sytuacjami mają do czynienia Ukraińcy.

Z bezpiecznej pozycji łatwo jest oceniać zachowanie jednych czy drugich. Jednak to Ukraińcy, dzień w dzień patrzący na brutalne konsekwencje wojny – inwalidów bez rąk i nóg, codzienne pogrzeby oraz bombardowane miasta

– stają w obliczu dramatycznych wyborów. My, przynajmniej na razie, nie mamy podobnych dylematów.

GŁOŚNE NOCE

W Kijowie prawie co noc rozlegały się dźwięki syren alarmowych. W zależności od miejsca, w którym nocowałem, reagowaliśmy różnie. Jeżeli w domu były dzieci, schodziliśmy z materacami na parter i kładliśmy się pod schodami. Wprawdzie zagrożenie nie było wielkie, bo dom ten znajdował się w jednej z podkijowskich miejscowości – obecnie nie bywają one celami bombardowań, lecz należało dawać dobry przykład najmłodszemu. Kiedy ich nie było, nie zawsze był sens schodzić do schronu. Alarm przeciwlotniczy nie oznacza, że zaraz coś nadleci. System reaguje, gdy w przestrzeni powietrznej województwa zostanie wykryty wrogi obiekt, a te często kluczą nad niemal całą Ukrainą, próbując zmylić obronę przeciwlotniczą i maskując jednocześnie cel, do którego zmierzają (trajektorie rosyjskich rakiet pokazują mapy ze smartfonowych aplikacji u dołu strony). Jednocześnie im dłuższą trasę ma do pokonania wrogi pocisk, tym większa jest szansa na jego strącenie, lecz także więcej osób wyrwą ze snu alarmy przeciwlotnicze.

W Kijowie zdarzają się też mniej spokojne przebudzenia. Tego ranka syreny zawyły tuż przed godz. 6.00. Ich dźwiękom towarzyszyły inne, znacznie potężniejsze i wręcz wyczuwalne w wibrującym powietrzu ryki silników rakietowych. Nocowaliśmy akurat na ostatnim piętrze kamienicy w centrum miasta. Przez okna obserwowaliśmy, jak nad szarymi chmurami mkną,



Czarnobylski sarkofag

oświetlając je od góry ogniem wyrzucanym z silników, śmiertelne rakiety. Szybko nadeszła odpowiedź. Z różnych miejsc na ziemi wystrzeliły w powietrze pociski obrony przeciwlotniczej. Część z nich dosięgnęła celów, kilka się jednak przedarło i eksplodowało na ziemi. Nie wszystkie ruskie rakiety trafiają w wyznaczony cel – ale w gęsto zabudowanym mieście zawsze coś zniszczą. A odłamki z tych strąconych też spadają na ziemię i mogą wywoływać pożary.

Nalot trwał kilka minut i szczęśliwie nas nie dosięgnął, lecz z kilku trafionych miejsc unosił się smolisty dym. Sam efekt nalotu nie był tak przerażający jak towarzyszące mu odgłosy. Bo na psychikę bardziej oddziałuje ryk silników odrzutowych, wywołujący trzęsienie się ścian budynków, basowe odgłosy eksplozji czy kakofonia dział przeciwlotniczych.

NA GRANICY

Tak przywitał nas dzień, w którym mieliśmy w końcu opuścić Kijów. Wszystkie dotychczasowe próby uzyskania pozwolenia na wjazd do strefy przygranicznej z Białorusią spotykały się z odmową. Tym razem, drogą

mniej oficjalną, korzystając ze znajomości, uzyskaliśmy zapewnienie, że zostaniemy przepuszczeni. Udało się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, bo nie dość, że zbliżyliśmy się do granicy kraju Łukaszenki, zrobimy to w miejscu, do którego chciałem dotrzeć już przed laty – zamkniętej czarnobylskiej zonie.

Obudzeni przed czasem spokojnie przygotowaliśmy się do wyprawy. Jak w większości przypadków na Ukrainie, otrzymaliśmy informację, gdzie i o której godzinie mamy czekać na spotkanie – nie w miejscu docelowym, a gdzieś indziej, skąd nas ktoś odbierze.

Tym razem informacja brzmiała: „Żurawie w Iwankowie”. Okazało się, że na samym wjeździe do tego położonego w połowie drogi pomiędzy Kijowem a Czarnobyliem miasta stał zajazd o tej nazwie. Drogą, którą tam dojechaliliśmy, na początku wojny ruskie czołgi parły na południe, a w samym Iwankowie, w obecnie zniszczonej ostrzałami kawiarni, mieścił się wrogi sztab.

Wkrótce po naszym przybyciu „do żurawi” podjechały samochody mające zabrać nas w dalszą drogę. Przywitaliśmy się i zgodnie z instrukcjami naszych przewodników zostawiliśmy w naszym aucie wszystko, co mogłoby sugerować, że możemy być dziennikarzami. Jakież było moje zdziwienie, gdy w pewnym



momencie jedna z osób, które po nas przyjechały, odezwała się do mnie czystą polszczyzną: „Co pan tu robi?”. „Zwiedzam tak jak ty” – odpowiedziałem, odwzajemniając uśmiech. Okazało się, że rozmawiałem z kimś, kto jeszcze przed wojną przez kilka lat pracował w Polsce, a po 24 lutego 2022 r. wrócił do ojczyzny i chwycił za broń.

Wsiedliśmy do samochodów i ruszyliśmy na północ. Jechaliśmy przez tereny zajęte przez Rosjan w pierwszej fazie wojny. Blisko półtora roku później nie widać wielkich zniszczeń. Spalone pojazdy już usunięto, a budynki odnowiono. Jedynie mosty nadal są rozbrane lub tylko częściowo odbudowane, by spowolnić ewentualne ponowne natarcie z terenów Białorusi. Wzdłuż dróg na zachodniej i centralnej Ukrainie większość bunkrów jest już opuszczona, a jeżyki – zapory przeciwczołgowe zespawane z metalowych sztab – złożone na poboczach. Częściowa defortyfikacja nie dotyczy jednak terenów, które przemierzaliśmy.

Ponowna inwazja z tego kierunku nadal nie jest wykluczona. Wojenne reżimy nie mogą zostać tu rozluźnione. Dojeżdżamy do silnie umocnionego punktu kontrolnego. „Wsie wojenne?” – pyta strażnik. Twierdząca odpowiedź kierowcy nie wystarcza. „Pokażcie dokumenty” – nakazuje. Wszyscy sięgają do kieszeni, ja też, chociaż nie mam żadnego ukraińskiego glejtu, a tym bardziej tamtejszej książeczki wojskowej. Żołnierzowi najwyraźniej wystarczyło zerknięcie na papiery osób z jego strony samochodu, bo machnął ręką, odprawiając nas w dalszą drogę.

Przejeżdżamy przez Czarnobyl. Miasto funkcjonuje w miarę normalnie. Rotacyjnie mieszkają w nim głównie ludzie obsługujący dawną elektrownię atomową – technicy, strażacy, inżynierowie badający radiację, a także pracownicy sklepów, zakładów usługowych. Prawie w każdej z miejscowości położonej w strefie wykluczenia upamiętniani pomnikami i nazwami ulic są likwidatorzy – ratownicy różnych profesji, walczący ze skutkami katastrofy z 1986 r., a tu jest najwięcej takich pamiątek.

Zbliżamy się do terenu elektrowni atomowej, jedziemy drogą wzdłuż kanału doprowadzającego wodę do chłodzenia reaktorów. Spomiędzy drzew wylania się gigantyczny, srebrzysty półwalec – sar-



Hotel Polesie



Pałac kultury Energetyk

kofag zbudowany nad blokiem elektrowni, gdzie wydarzyła się tragedia. Chroni świat przed radiacją. Moi towarzysze przestrzegają mnie, bym w żadnym wypadku nie robił zdjęć. Koledze z drugiego auta najwyraźniej zapomnieli o tym powiedzieć, bo nagrał film.

W Prypeci sygnał GPS jest zagłuszany, kilka razy gubimy drogę w tutejszej dżungli. Miasto, w którym mieszkali pracownicy elektrowni, obecnie jest we władaniu natury. Z drogi czasami trudno zauważyć oddalone od niej o kilkadziesiąt metrów bloki mieszkalne – za sprawą nie tylko drzew, lecz także roślin, oplatających je niczym liany.

Wielu skrzyżowań strzegą obsadzone żołnierzami bunkry, drogi są ufortyfikowane, a teren z powietrza patrolują drony. Według moich przewodników w różnych miejscach są też rozstawione kamery, a co kilka dni operatorzy zmieniają ich położenie. Wszystko, by wykryć dywersantów, próbujących się przedostać z Białorusi. Teoretycznie mamy się nie zatrzymywać, bo innym patrolom trudniej jest tak zobaczyć, że tu jestem, co skutkowałoby poważnymi konsekwencjami, nie tylko dla mnie. Wychodzimy jednak z samochodów przy diabelskim młynie, który miał być uruchomiony tydzień po katastrofie.

Pożerająca go rdza nie pozwoli jego kołu już nigdy zrobić nawet jednego obrotu.

Niestety, musimy zrezygnować z wejścia na dach jednego z opuszczonych wieżowców. Jest tam wojskowa instalacja. Jedziemy na główny plac miasta, gdzie stoi dawny hotel Polesie i pałac kultury Energetyk.

„Czy poza ukraińskimi dronami latają też tu białoruskie?” – pytam. „Tylko ruskie, zwiadowcze” – pada odpowiedź. „A czy z Białorusi przylatują jeszcze rakiety?” – dopytuję. „Teraz już nie. Pewnie zabrakło im paliwa z ziemniaków!” – pada wywołująca ogólny śmiech odpowiedź.

Moi opiekunowie muszą wracać do swoich zajęć. Ruszamy w drogę powrotną do żurawi. Na punkcie kontrolnym przy wyjeździe ze strefy wykluczenia jesteśmy sprawdzani dozymetrem, nie ulegliśmy napromienieniu. „Może sobie kupisz suwennir na pamiątkę?” – rzuca kierowca, wskazując na siedzące gdzieś przy szosie babuszki z koszami dorodnych grzybów. „Albo je zjesz, albo wkręcisz zamiast żarówki” – dodaje z przymrużeniem oka.

Wróciliśmy do żurawi. „Do zobaczenia, po wojnie!” – pożegnaliśmy się z chłopakami ze strefy. Pytanie tylko, ilu z nich tego dożyje.



Ludzie są naszym najcenniejszym kapitałem

www.hasco-lek.pl/kariera/

HASCO - LEK POLSKA

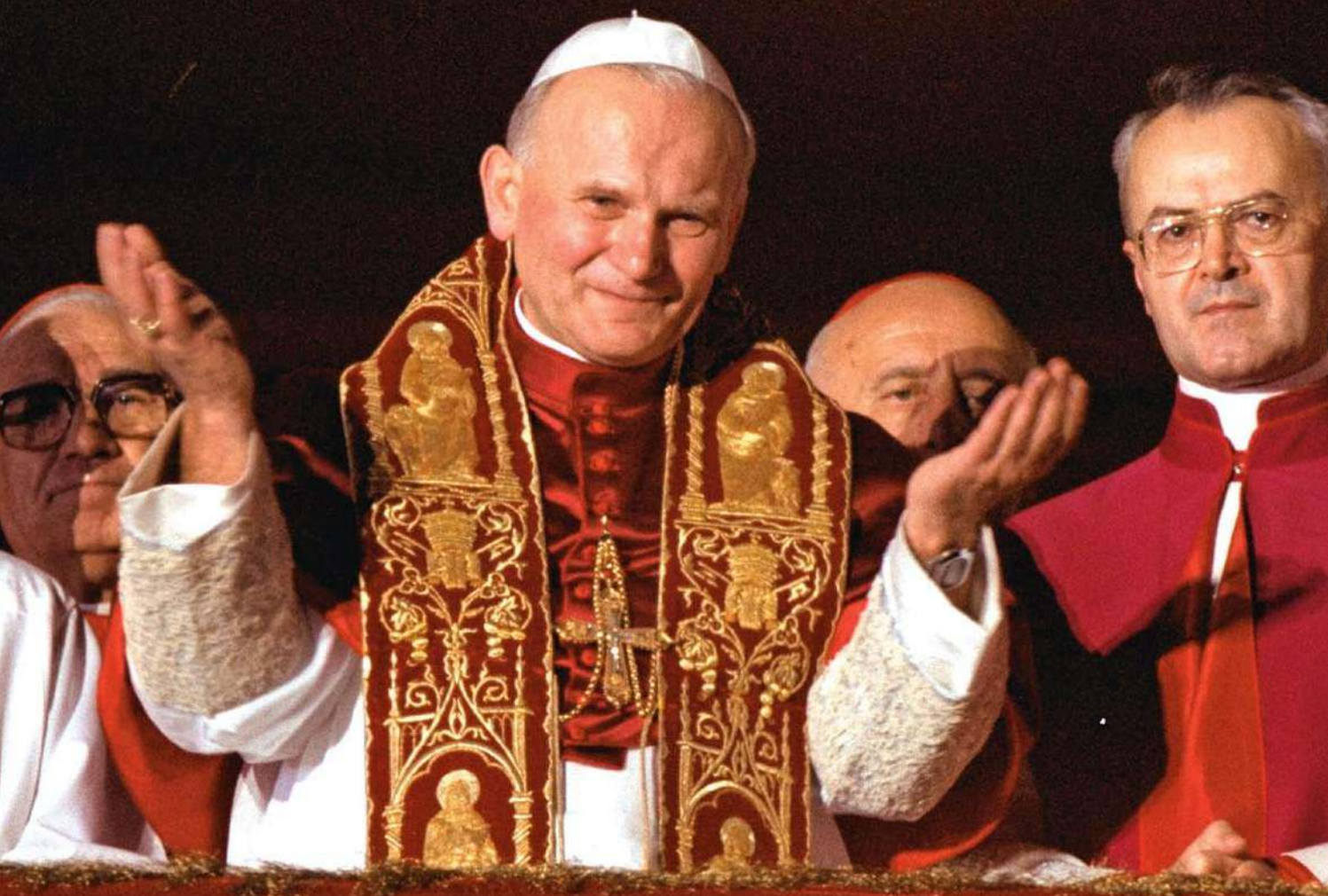
Partner strategiczny Konkursu Pracodawca Godny Zaufania



pracodawcagodnyzaufania.pl



„To była bomba”, czyli reakcje na wybór Karola Wojtyły na papieża



16 października 1978 r. wieczorem (przed godz. 19.00) ogłoszono wybór nowego papieża. Niespodziewanie, przynajmniej dla zdecydowanej większości osób, został nim szerzej nieznanym kardynał z Polski – Karol Wojtyła. Jak to świetnie ujął korespondent zachodnioniemieckiej agencji DPA, w Watykanie „nawet komputery nie mogły tego wyboru przewidzieć”...

Niespodzianka była tym większa, że przy okazji została przerwana trwająca ponad 450 lat seria obsadzania Tronu Piotrowego przez Włochów. Nowy papież przyjął imię Jan Paweł II. Jego wybór był szeroko komentowany – zarówno w Polsce, jak i na całym świecie. Dla władz PRL był to cios, dla zwykłych Polaków powód do dumy i radości. A jakie – oprócz zaskoczenia – były reakcje w innych krajach?



GRZEGORZ MAJCHRZAK

GRATULACJE I NADZIEJE

Jako jeden z pierwszych zareagował doradca ds. bezpieczeństwa prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy'ego Cartera i rodak nowego lokatora Watykanu Zbigniew Brzeziński. Z okazji wyboru Karola Wojtyły wydał on specjalne oświadczenie, w którym stwierdzał: „Jestem uradowany. Nowy papież jest człowiekiem rozumiejącym rzeczywistość współczesnego świata. Był księdzem robotnikiem, ceni więc trud człowieka pracy, jest oddanym przywódcą wiernych i narodu”. I przewidywał – jak się okazało – słusznie: „Będzie papieżem wielkim”.

Z kolei wspomniany wcześniej prezydent Carter, oprócz normalnych w takiej sytuacji gratulacji, wyraził swoją radość z powodu wyboru nowego papieża, o którym mówił m.in.: „Wie, co to znaczy walczyć o wiarę, o wolność, o samo życie. Jego znajomość współczesnych dylematów wzbogaci i będzie wzbogacana przez niemijające tradycje Kościoła polskiego”. Podobnie jak Brzeziński wskazywał na jego życiowe doświadczenia.

Wśród polityków z całego świata składających gratulacje Wojtyłe znalazł się m.in. sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych Kurt Waldheim, który w specjalnym telegramie wyrażał również nadzieję, że nowy papież jeszcze bardziej energicznie będzie działał na rzecz sprawiedliwości oraz pokoju, a także po to, by „przynieść wszystkim ludziom dobrej woli, a zwłaszcza cierpiącym, nadzieję i pocieszenie”.

Rząd holenderski w specjalnym oświadczeniu stwierdzał, że wybór nie-Włocha na papieża po 450 latach wskazuje, że „uniwersalizm Kościoła w dalszym ciągu istnieje”, a także dziękował „Polsce tak odległej od Rzymu za prezent w postaci nowego Ojca Świętego”. Nie zabrakło też gratulacji od króla Hiszpanii Juana Carlosa, składającego je w imieniu własnym oraz narodu hiszpańskiego. Monarcha wyrażał przy okazji nadzieję, że pontyfikat Jana Pawła II „będzie owocny i utoruje na świecie drogę do sprawiedliwości, pokoju oraz respektu i godności jednostki ludzkiej”.

Reagowali również przywódcy innych kościołów. I tak np. Światowa Rada Kościołów, skupiająca ponad 200 wyznań niekatolickich, przy okazji gratulacji (powitania nowego pa-

pieża „ze szczera i głęboką nadzieją”) wyraziła oczekiwanie, że Karol Wojtyła, sprawując swój urząd, tchnie w niego „bogata tradycja i walory duchowe narodu polskiego”, a także liczy na kontynuację ekumenicznej współpracy, zgodnie z duchem ekumenizmem soboru watykańskiego II. Przywódca kościoła anglikańskiego i arcybiskup Canterbury stwierdził zaś,

że „przyjął z wielką satysfakcją” decyzję konklawe. Co ciekawe, nie ograniczył się on do gratulacji, lecz wezwał członków kierowanego przez siebie kościoła do modlitwy w intencji nowego papieża. Tak na marginesie – co może zaskakiwać – w gronie hierarchów składających gratulacje Wojtyłe znalazł się również Pimen, czyli prawosławny patriarcha Moskwy wybrany na to stanowisko z poparciem władz sowieckich.

MIEDZY WSCHODEM I ZACHODEM

Wybór papieża z Polski stał się oczywiście wydarzeniem medialnym, któremu poświęcono czołówki najważniejszych gazet. I tak np. teksty na ten temat w „The Washington Post”, największej i najstarszej gazecie codziennej w USA, zajął dwie trzecie pierwszej strony. W Stanach Zjednoczonych o Wojtyłe pisano – na podstawie relacji osób, które go znały – w samych superlatywach, jako o człowieku niezmiernie błyskotliwym, miłym czy „cieplej osobowości”, a w końcu o kimś wielkiej wiary oraz wielkiej odwagi. Ogólnie media zachodnie przedstawiały nowego papieża jako wybitnego intelektualistę i wytrawnego teologa, a także człowieka o wielostronnych uzdolnieniach. Podkreślały jego umiejętność lingwistyczne – biegle mówił bowiem w kilku językach (m.in. włoskim, niemieckim, francuskim czy angielskim). Co ciekawe, prasa włoska – w tym komunistyczna – wybór Wojtyły na papieża przyjęła z entuzjazmem. Z kolei ton prasy brytyjskiej był – jak informowało Radio Wolna Europa – „jeśli nie wręcz entuzjastyczny, to bardzo, ale to bardzo przychylny”.

Nie inaczej było w innych mediach. Jak relacjonował na antenie RWE Andrzej Krzeczunowicz: „Rozgłoszenie radiowe i stacje telewizyjne na wszystkich kontynentach przerwały swe normalne transmisje, by nadać bezpośrednie reportaże z entuzjastycznych scen rozgrywających się na przepełnionym pl. św. Piotra w Rzymie. Setki milionów ludzi mogły w ten sposób oglądać i słyszeć pierwsze słowa oraz pierwsze błogosławieństwo nowego papieża”. Oczywiście miał na myśli jedynie te zachodnie. Nie ograniczano się w nich do relacji na temat wyboru nowego papieża, przedstawiania sylwetki Jana Pawła II czy transmisji mszy św. inaugurującej jego pontyfikat. Zastanawiano się także nad potencjalnymi reperkusjami politycznymi

tego wyboru, dosyć trafnie zresztą przewidując, że może on mieć znaczący wpływ na rozwój wydarzeń na świecie (zwłaszcza stosunki Wschód–Zachód; nadzieję na ich poprawę wyrażał m.in. amerykański senator Edward Kennedy).

Korespondent BBC (głównego brytyjskiego nadawcy radiowo-telewizyjnego) w Wiedniu Maurice Gent komentował: „Wybór Polaka na papieża, a szczególnie zaś kardynała, który ostatnio zajął zdecydowane stanowisko w kwestii praw Kościoła, nie będzie z radością przyjęty przez komunistyczne rządy krajów wschodniej Europy”. Jednocześnie w jednej z audycji BBC dość naiwnie stwierdzono, że ten wybór jest „symbolem nadziei”, „na dialog z komunizmem i wszystkimi innymi formami marksizmu”. Z kolei włoski komunistyczny dziennik „L’Unità” przewidywał, że będzie to punkt zwrotny w historii Kościoła.

Podobną, choć nieco bardziej enigmatyczną opinię wyrażała – co ciekawe – oficjalna jugosłowiańska agencja informacyjna Tanjug. W jej ocenie wybór Polaka na papieża miał mieć „istotne konsekwencje dla polityki Watykanu”. Z kolei korespondent elitarniej brytyjskiej gazety „Financial Times” Anthony Robinson twierdził, że będzie on miał „głęboki wpływ polityczny i ideologiczny”, nie tylko zresztą w Polsce, lecz także w „całym bloku komunistycznym”. Mało tego, miał on obejmować również Amerykę Łacińską, znajdującą się pod znacznym wpływem ideologii lewicowych. Oceniał – chyba zresztą nader optymistycznie – iż „Polski papież na czele Kościoła powszechnego [...] sprawi, że ewentualność używania militarnego atutu w razie ostateczności na wzór Węgier z 1956 czy Czechosłowacji w 1968 r. staje się coraz mniej prawdopodobne”. Jak zauważył z kolei Maurice Latey z BBC, Karol Wojtyła został papieżem w trudnym czasie, „w okresie, gdy Kościół katolicki stoi w obliczu wrogiego ateizmu w wielu częściach świata i sceptycznego braku zainteresowania w innych”.

DOWÓD UZNANIA DLA POLSKICH KATOLIKÓW

Wybór Karola Wojtyły komentowano również wewnątrz Kościoła katolickiego. Np. rzecznik kurii wiedeńskiej uznał go za „decyzję niezwykle szczęśliwą”, a także wyraził przekonanie, że „przedstawiciel narodu pod rządami komunistycznymi przyniesie, jako głowa Kościoła, poprawę warunków dla wiernych w Europie Wschodniej”. Z kolei kardynał Wiednia Franz Konig stwierdzał, że Jan Paweł II „jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu”. Arcybiskup Londynu, który znał osobście Karola Wojtyłę, mówił o nim jako o „człowieku mocnym, posiadającym wielką siłę duchową i moralną, a także wyjątkowo wysokiej klasy i etyki”. I dodawał: „Jest chyba najmądrzejszym i najbardziej inteligentnym człowiekiem, jakiego znam”. Natomiast przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec Joseph Hoeffner stwierdził, że „wysoko ceni skromność nowego papieża, jego głęboką pobożność, siłę jego wiary, jego oddanie

duszpasterskie i niezachwianą ufność”, z kolei jego wybór przez konklawe uznał za „dowód uznania dla katolików polskich”. Arcybiskup Toronto Philip Francis Pocock nazwał ten wybór „godnym uwagi zerwaniem z tradycją” i dodał, że „w starym Kościele istnieje jeszcze życie”.

Znamy nie tylko reakcje hierarchów, lecz także zwykłych księży. Np. we Francji, w małym, wiejskim kościółku w Normandii, gdzie wieczorem spontanicznie zebrał się wierni, miejscowy proboszcz z 20-letnim stażem zapytany o to, czy spodziewał się wyboru Wojtyły, stwierdził: „O, nie [...] to była bomba”. I jak dodał, gdy zobaczył oraz usłyszał pierwsze słowa nowego papieża: „Ale byłem zachwycony, gdy usłyszałem, jak mówił, gdy zobaczyłem go pełnego entuzjazmu”.

OFICJAŁKI Z DEMOLUDÓW

W tej kwestii wypowiadali się również – w przeciwieństwie do większości rządzących w tych państwach – dysydenci z Europy Wschodniej. Np. Andriej Sacharow uznał, że wybór Karola Wojtyły na papieża jest wydarzeniem korzystnym dla ruchu obrony praw człowieka w tym regionie. Wyraził przy tym uznanie dla polskiego Kościoła, stwierdzając przy tym, że to dzięki jego pozycji „reżim PRL ma charakter w mniejszym stopniu totalitarny niż w innych krajach Europy Wschodniej”.

Na gratulacje dla Jana Pawła II zdecydowali się prezydenci Jugosławii (Josip Broz Tito) oraz Węgier (Pál Losonczy). Wysłano je również z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W tych węgierskich i wschodnioniemieckich wyrażano przy okazji nadzieję, że Jan Paweł II „będzie działał na rzecz odprężenia”.

Oczywiście w krajach demokracji ludowej w prasie nie było obszernych artykułów na temat nowego papieża czy szerokich relacji w związku z jego wyborem, a tym bardziej spekulacji jego konsekwencji dla Kościoła i świata. Jedynie odnotowano ten fakt.

RADOŚĆ POLAKÓW

Na koniec warto przypomnieć, że z objęcia Tronu Piotrowego przez Karola Wojtyłę cieszyli się Polacy nie tylko w kraju, lecz także za granicą. Np. w Chicago, gdzie istniało jedno z największych, jeśli nie największe skupisko naszych rodaków, wręcz – jak informowało Radio Wolna Europa – szaleli oni z radości. Nie inaczej było w innych krajach, np. we Francji Polacy spontanicznie zbierali się w kościołach, aby modlić się w intencji nowego papieża. Jego wybór komentowała również polska prasa emigracyjna. Np. na łamach wychodzącego we Francji „Narodowca” jego redaktor naczelny Michał Kwiatkowski pisał, że wybranie na nowego papieża Wojtyły jest „dopełnieniem i ukoronowaniem obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce”.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

K

ULTURY

Serial „Dewajtis” na podstawie powieści Marii Rodziewiczówny stał się przebojem niedzielnych, telewizyjnych wieczorów. To zasługa m.in. znakomitej obsady, zwłaszcza Karola Dziuby, świetnie radzącego sobie w głównej roli
– Marka Czertwana

Romantyk u podstaw

Fot. Alpa



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Młody Kargul w filmie „Sami swoi. Początek”, rycerz Mściśław w „Koronie królów. Jagiellonach”, jeden z bohaterskich obrońców Monte Cassino w najnowszej produkcji – „Czerwone maki”, ale przede wszystkim Marek Czertwan w serialowej adaptacji powieści Marii Rodziewiczówny „Dewajtis”. Taki zestaw ekranowych zadań robi wrażenie.

WYJŚCIE Z KOMEDII

W zawodowym życiu Karola Dziuby (rocznik 1991) wiele się ostatnio dzieje. Głównie w realizacjach kostiumowych. Kręconych z rozmachem, o jakich marzy większość aktorów. Jeszcze trzy lata temu był wśród nich. Znany telewizjom przede wszystkim z ról o zacięciu komediowym. Jak w serialach: „O mnie się nie martw”, „Mecenas Porada”, „Przyjaciółki” czy „Rodzina na Maxa”.

Tuż przed finałem kostiumowego „Dewajtis” (w reż. Filipa Zylbera), można powiedzieć, że Karol Dziuba jest już w zupełnie innym zawodowym miejscu.

Jako Marek Czertwan podbił serca nie tylko większości ekranowych pań na wydaniu, lecz także widzów, dowodząc, jak wszechstronnym potrafi być aktorem.

I nie chodzi tu tylko o wiarygodne oddanie przywiązania do ziemi oraz przyrody (odnajdywanie się zarówno w scenach w lesie, na wodzie i w polu), lecz także o swobodę jazdy konnej. Choć zważywszy na ostatnią umiejętność przy wzroście 193 cm robi wrażenie.

Serialowy Marek Czertwan to – jak uważa Dziuba – bohater pełen ukrywanych latami namiętności, romantyk wpisany przez życie w pozytywistyczną narrację (i pracę u podstaw). Dla aktora postać wprost wymarzona: „Jestem szczęśliwy, że mogłem sprawdzić się w tak rozbudowanej kostiumowej produkcji, podejmując się roli zarazem dramatycznej, jak i sprawczej”.



Z MOCĄ NATURY

Powieść Marii Rodziewiczówny, dla wielu czytelników zbytnio już trąca myszką, na ekranie odsłoniła nowe walory. Jej niektóre elementy okazały się nie tylko ponadczasowe, ale i wybiegające w przyszłość. Leśne uniwersum, związek z naturą, duchowość i moc zamknięta w świętym drzewie... Zachowując proporcje, czy nie kojarzy się to z mentalnym ekosystemem futurystycznego megaprzeboju „Avatar”?

W świecie, w którym szanuje się i bierze pod uwagę siłę oraz moc przyrody, zarówno fizyczny, jak i duchowy kontakt z tytułowym dębem Dewajtisem, przestaje być postrzegany, zwłaszcza przez młodszych widzów, jedynie przez pryzmat pogańskich tradycji.

Karol Dziuba zdradza, że nim wszedł na plan serialu, zdarzało mu się przytulać do drzew, choć właśnie takie sceny okazały się podczas realizacji wyjątkowo wymagające. „Była w nich cienka granica między wrażliwością a sentymentalizmem. Cały czas miałem tego świadomość. Liczę, że wszystkie emocje udało się odpowiednio zrównoważyć”.

Na filmowej Żmudzi aktor przytulał się też do koni. Zwłaszcza jednego: „Gotic jest wspaniałym zwierzęciem, był bardzo dla mnie wyrozumiały. Starałem się mu jak najmniej przeszkadzać” – komentował skromnie swoje jeździeckie poczynania.

Gotic, jak się okazuje, został ekranowym „partnerem” Dziuby po raz kolejny. „Kiedy zaczynały się zdjęcia do »Dewajtisa«, byłem już po bitwie pod Grunwaldem – wspomina aktor. – Rok wcześniej, w »Koronie królów. Jagiellonach«, bardzo dużo jeździłem konno (właśnie na Gotiku) i miałem sporo elementów kaskaderki. Można powiedzieć, że przeszedłem

wtedy prawdziwy obóz jeździecki, więc przy kolejnej produkcji byłem bogatszy o wcześniejsze doświadczenia”.

PODEJDŹ DO PŁOTA

Na plan „Dewajtisa” Karol Dziuba przyjechał tuż po zakończeniu zdjęć do filmu „Sami swoi. Początek”, w którym zagrał młodego Władysława Kargula (w Kazimierza Pawlaka wcielił się Adam Bobik, reżyserował Artur Żmijewski). Mówi, że gdy przyszła propozycja kontynuacji kultowej kinowej serii, zgodził się natychmiast, z pełną świadomością, że nie da się uniknąć porównań do pierwszych odtwórców (Kargula grał Władysław Hańcza). Skupił się jednak na tym, by jak najlepiej wykonać powierzone zadanie, nie zajmując się sprawami, na które nie może mieć wpływu.

Film „Sami swoi. Początek” wejdzie do kin 16 lutego. W „Czerwonych makach” (jeszcze w produkcji) dostał epizod, ale niezmiernie się ucieszył, że „doloży cegielkę do nie tylko ważnego, lecz także, w co głęboko wierzy, świetnego filmu”. W reżyserii Krzysztofa Łukaszewicza, któremu zawodowo wiele zawdzięcza (Łukaszewicz to także reżyser „Korony królów. Jagiellonów”).

W AKTORSKIM DOMU

Karol Dziuba jest absolwentem warszawskiej Akademii Teatralnej. Na studiach poznał swoją żonę Milenę Suszyńską, mającą na koncie nie tylko aktorskie role (teraz m.in. w serialu „Leśniczówka”), lecz także doktorat obroniony na AT. Para doczekała się syna, dziś pięcioletniego Guccia. Jego dziadkiem jest aktor Zbigniew Suszyński. Karol Dziuba z pasją fotografuje całą rodzinę.

Święty dąb ze Żmudzi - uroki serialu „Dewajtis

Kiedy usłyszałem, że TVP zamierza kręcić serial na podstawie „romansu” Marii Rodziewiczówny „Dewajtis”, zareagowałem sceptycznie. Po co wracać do staroci? Przecież tego nie ma już w naszym kulturalnym krwioobieg, pomyślałem. I... nie miałem racji. Jestem po czwartym odcinku. Wszystkim, którzy nie widzieli, polecam serial na platformie VOD.

Maria Rodziewiczówna, ziemiańska córka z Grodzieńszczyzny, po zesłaniu rodziców na Syberię za wspieranie powstania styczniowego tułała się po krewnych, mieszkała w Warszawie, potem odzyskała wraz z rodziną status panny z dworku. Wyglądała trochę jak mężczyzna, nie założyła rodziny, możliwe, że, jak się to dziś mówi, była nieheteronormatywna. Zarazem uważała się za narodową konserwatystkę. Była reliktem świata, w którym pańskie dworki miały być ostoją polskości. Jednocześnie umieszczając akcję swoich utworów na kresach, utrwalała ich swoistą wielokulturowość. No i знаła siłę popularnego opowiadania – o uczuciach, ludziach. Język był ewgaltowany, ale historie się kleiły.

Akcja „Dewajtis” (napisała powieść jako 25-latką, w 1889 r.) dzieje się na Żmudzi, rozpiętej między litewskością chłopów a polskością, lecz specyficzną, szlachecką elitą. Mamy tradycję powstania styczniowego pokazaną w filmie dobitniej niż w powieści, bo autorkę hamowała carska cenzura. I mamy też nastrój dziwnego zakątka, gdzie ludzie chodzą do katolickiego kościoła, ale czczą święty dąb Dewajtis z powkładanymi w pień świętkami. A weteran powstania Remko straszy chłopów czarami.

Zarazem dostajemy konflikt znany z XIX-wiecznych utworów – od „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej, powieści też w litewskim krajobrazie, po przypominaną ostatnio w lubelskim Teatrze im. Juliusza Osterwy galicyjską komedię Michała Bałuckiego „Ciężkie czasy”. Mamy szlachcica, który broni swego prawa do ziemi ciężką pracą. Taki jest Marek Czertwan, schłopiały i szorstki. Po śmierci ojca jego

antagonistami są macocha i przyrodni brat, utracjusz i nicpoń. Ci ziemi nie szanują, za nic mają tradycję, są gotowi ryzykować utratę ojcowizny.

Jest więc szlachta dobra i szlachta zła. Inaczej niż w „Nad Niemnem” mniej istotne są relacje z ludem, choć Marek jest ludzkim pracodawcą i sąsiadem chłopów. Brzmi to wszystko dydaktycznie, a przecież oglądamy postacie z krwi i kości, nie zawsze jednoznaczne, podkrecone inwencją reżysera Filipa Żylbera. To się ogląda nie tylko z powodu pięknych krajobrazów i litewskich cudowności. Jesteśmy ciekawi, jak zakończy się bratobójcza wojna, lecz także jak zostaną rozwikłane wielokąty męsko-damskie. Te w filmowej wersji są rysowane smacznie, choć z szacunkiem dla ówczesnej obyczajowości. Młodzi bohaterowie nie muszą się rzucać ze sobą do łóżka, jak w najnowszym „Znachorze”. I jest to interesujące, może nawet bardziej, kiedy musimy pojąć, jakie konwenanse pętały relacje miłosne pod koniec XIX w. Nawet na takim końcu świata jak Żmudź.

Jest w tym serialu cała garść tajemnic. I świat, o którym chcielibyśmy wiedzieć więcej. Oczywiście galeria postaci nie byłaby



tak ciekawa, gdyby nie aktorstwo. Szacunek dla Karola Dziuby (Marek), Michaliny Olszańskiej (piękna panna na Poświęciu Irena Orwid), dla Małgorzaty Pieczyńskiej (macocha) i Jana Hrynkiewicza (zły brat Witold), lecz także Jakuba Gąsowskiego (zabawna rolka przybysza z Ameryki Clarka) czy Marka Bukowskiego (rosyjski kupiec Gierasimow). Show kradną jednak Tomasz Sapryk i Maria Pakulnis

jako Remko i ciotka Aneta, para dziwadeł, ale też dobrych duchów odrobinę dzikiego Czertwana. To takie postacie i role budują atrakcyjność chętnie oglądanego serialu.

Piotr Zaremba

Życie wyrzucone na śmietnik

Niemiecka fotograf przeprowadziła aborcję na oczach setek followersów: „Jestem niespokojna, poruszam się szybko, czuję się chora. Bałam się stracić kontrolę nad moim ciałem, ale na szczęście tak się nie stało. Wracam do ubikacji. Czuję parcie. Nagle mięśnie się rozluźniają, a ze mnie wypływa wreszcie różowa bańka. To koniec. Nie muszę już tego trzymać, popatrzę na to nazajutrz rano, zanim wyniosą śmieci. Stoję z moją przyjaciółką na balkonie i jestem szczęśliwa. Czuję się taka odważna i silna”. Esther Mauersberger to znany fotograf dziecięcy. Jej Instagram jest pełen zdjęć noworodków.

Za oknem trzy szybujące jastrzębie. Prawie czyste niebo, dwie białe, pierwsze chmury i gnieźdząca się 300 m od mojego domu para drapieżników, którą obserwuję od siedmiu lat. O tej porze roku rzadko krążą tak wysoko, ciekawe też, kim jest ten trzeci, bo jastrzębie łączą się w monogamiczne pary na całe życie. W ciągu roku wyprowadzają jeden lęg, ale nie spotkałem się z tym, żeby wyrosnięte młode tak długo towarzyszyło rodzicom.

W literaturze, która jest otwarta na symboliczną mądrość, pojawienie się motywu drapieżnych ptaków wprowadza niepokój, zapowiada nieszczęście czy osobiste zagrożenie bohatera. Na swój prosty sposób tę symbolikę przejęło Hollywood. U niektórych autorów zainteresowanych tematyką duchową znajdujemy informacje, iż demoniczne inteligencje, odwiedzając nasz świat, mogą się wcielać nie w sikorki, gołębie czy zięby, a właśnie w ptaki drapieżne. Co tłumaczyłoby ich negatywną symboliczną konotację. Ten demoniczny trop potwierdza też wiele historii, opowydane mi przez ludzi uwolnionych z opętania.

Piszę to w czasie, w którym Polska znalazła się w bardzo niebezpiecznym momencie swej historii. Przez najbliższe

lata nasze społeczeństwo będzie w sposób masowy otwierane na cywilizację śmierci, która zmiażdżyła starą Europę. Cywilizację śmierci fizycznej, związanej z aborcją, eutanazją, ale też śmierci duchowej. Widać wyraźnie, że dla człowieka Zachodu nadeszły wieki ciemne: uniwersytet w Exeter właśnie wprowadza studia magisterskie na innowacyjnym kierunku magia i nauki okultystyczne. Jak podaje BBC, to odpowiedź na wzrost zainteresowania magią. Skąd to zainteresowanie?

Widać wyraźnie, że dla człowieka Zachodu nadeszły wieki ciemne: uniwersytet w Exeter właśnie wprowadza studia magisterskie na innowacyjnym kierunku magia i nauki okultystyczne. Jak podaje BBC, to odpowiedź na wzrost zainteresowania magią

Remigiusz Biegański, przedsiębiorca: „Czułem pustkę w sobie, czegoś szukałem. Natknąłem się na medytację transcendentną i miałem potężne doznania. Następnym krokiem było doskonalenie umysłu. Tygodniowy kurs z Lechem Emfazym Stefańskim. Uczono nas relaksacji, odprężenia, wchodzenia we własny świat, w którym mogłem kreować rzeczywistość. Nazywali to refugium. Napotykałem tam jednak na takie miejsca, które napawały mnie panicznym lękiem. Najgorsza była głęboka, ciemna jama, w której czaiło się zło. Ciemny dół. To miała być



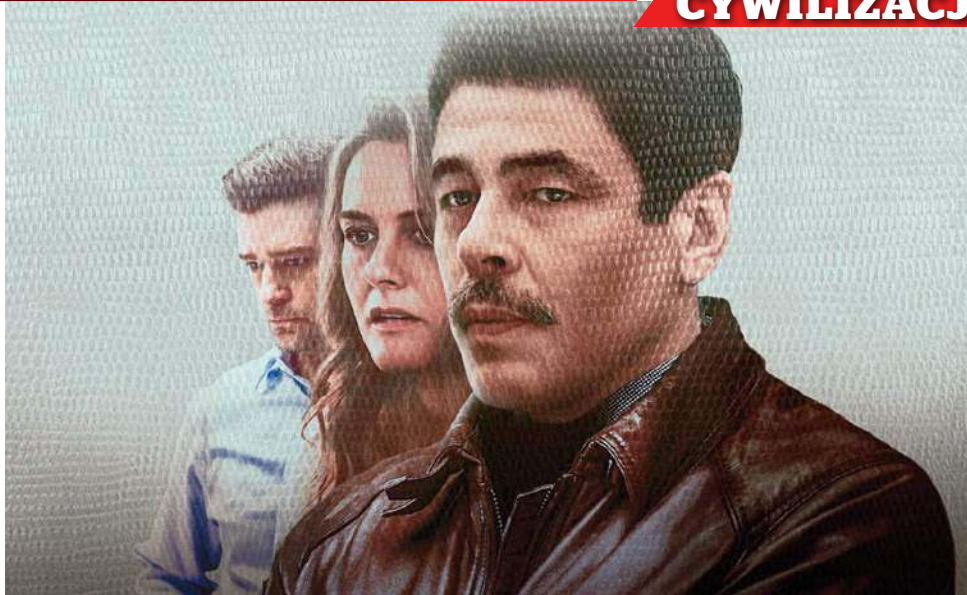
ROBERT TEKIELI

przestrzeń wyobraźni, ale ja nie miałem na nią wpływu. Nie chciałem, żeby tam była. Ale ona była.

W czasie ćwiczeń, trzeba było mieć duchowego przewodnika. Zaprosiłem więc taką istotę i nawet poznałem jej imię. Ubrana była w średniowieczny strój mnicha, a kiedy się odwróciła, okazało się, że pod kapturem nie ma twarzy. Po latach zobaczyłem rzeźbę tej potwornej postaci w jednym ze śląskich kościołów. Zrozumiałem, że ona obiektywnie istnieje. Bo wieki temu również inni ludzie ją widzieli. Nachodziły na mnie wtedy okropne stany lękowe, doły, depresja, paniczny strach.

To wszystko się skończyło, gdy mój 26-letni kolega zachorował na raka. Wy-niszczono go, wraka człowieka, zabrałem na spacer i zobaczyłem, że wobec takiego cierpienia, techniki, których się uczyłem kilkanaście lat, nic nie pomogą. Miałem przyjaciół, nawróconych chrześcijan, charyzmatyków, modlili się nade mną. Zamknąłem oczy i zacząłem Bogu wywalać żal, złość, agresję, gorycz, niecenzuralne słowa. Była to płynąca z serca modlitwa. I nagle poczułem, jak ktoś stojący z boku z własnej woli coś mi dał. Było to ciepło, pokój, było to prawdziwe przeżycie duchowe, jakich wcześniej nigdy nie miałem, pomimo tylu technik duchowych...”

Indywidualne wybawienie istnieje. A jak miałoby wyglądać wybawienie zagubionej coraz bardziej wielomilionowej zbiorowości? Być może Polacy, by nie poddać się w swej masie cywilizacji śmierci, muszą się skonfrontować z perspektywą i duchowej, i fizycznej zagłady. Bezwzględnie niezbędna będzie pokuta, ale najpierw potrzebne jest zrozumienie. I odrzucenie przewrotnej hierarchii wartości. Zejdźcie z drogi ku śmierci.



Dla Toma sprawy są jasno postawione, jak w klasycznym westernie. Najważniejsze jest małżeństwo, na drugim miejscu praca – jego pasja i misja. Raz w życiu Tom zszedł już z prostej drogi, ale dostał drugą szansę, odzyskał dobre imię. Wie, o co toczy się gra, czasami na decyzje ma ułamki sekund – niespieszna narracja momentami przyspiesza, wręcz eksploduje. Tyle że „Gad” to nie jest jedynie kolejny sprawnie zrobiony thriller. Jeśli ktoś myśli, że najważniejsza dla kryminału jest odpowiedź na pytanie widza, kto zabił, zostaje wyprowadzony z błędu.

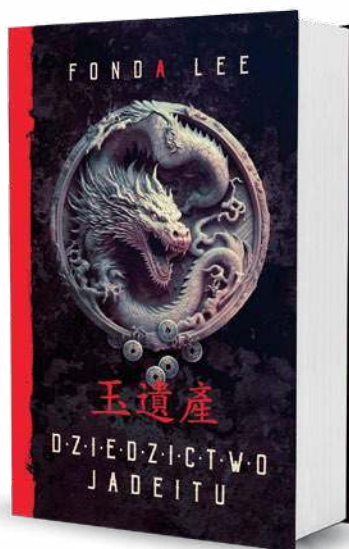
Dzięki cechom gatunku reżyser może przykuć do ekranu i powiedzieć mu ważne rzeczy.

Zdziwiło mnie, że niektórzy piszący o filmie krytycy, często zwolennicy transgresji, nagle stają na straży gatunkowych zasad. Twierdzą np., że „Gad” to słaby kryminał, bo pozostawia widza z lawiną pytań bez jednoznacznych odpowiedzi. I doskonale! Nie ma znaczenia, że niektóre wątki są urwane, jeśli spełniły swoją rolę. Strzelba pojawiająca się w pierwszym akcie wcale nie musi wystrzelić w finale. Liczy się emocja, utożsamienie się widza z pozytywnym bohaterem, postawienie najważniejszych wartości pod znakiem zapytania i finałowe katharsis. Świat został uratowany. Moralne zasady istnieją. Białe jest białe, czarne jest czarne. Oczywiście, w różnych sferach życia zawsze pojawiają się półtony i szarości, ale najważniejsze ludzkie wybory polegają na tym, że albo stajesz po stronie tych dobrych, albo tych złych. Reszta to racjonalizacja i wyparcie.

Warte Wśród filmowych nowości perełka „Gad”, trzymający w napięciu thriller kryminalny, dzięki któremu mężczyźni mogą podumać nad własną hierarchią wartości, a kobiety próbować zrozumieć prymitywne mechanizmy, jakimi jesteśmy. Intryga rozwija się powoli, ale reżyser, debiutant Grant Singer, który rzemiosła uczył się, tworząc teledyski dla pierwszoligowych gwiazd, nie pozwala wymknąć się uwadze widza choćby na sekundę. Wiarygodność obrazu buduje sprawnie uchwyconym konkretem i kilkanaście nadmiarowymi kilogramami Alicii Silverstone.

Porządny gliniarz rozwiązuje sprawę morderstwa agentki nieruchomości. Gdy wydaje się, że morderca został ujęty, pojawiają się nowe okoliczności. Standardowe śledztwo zamienia się w grę, która bezpowrotnie zmienia życie głównego bohatera. Dla Toma Nicholasa – znakomity Benicio del Toro – liczą się dwie rzeczy: bezpieczeństwo żony i uczciwość. Jest świadom zagrożenia i tego, że dokonuje ostatecznych wyborów. Od pewnego momentu każdy z jego kumpi może okazać się zdrajcą i katem. Ważne jest dosłownie każde wypowiedziane słowo. Detektyw może odpuścić sprawę, została wyjaśniona i zamknięta, a prawdziwymi podejrzanymi okazują się jego policyjni koledzy, z którymi ma doskonałe, wręcz rodzinne relacje.

W całej historii niemalą rolę odgrywa żona Toma, Judy. Alicia Silverstone znakomicie wykreowała postać partnerki detektywa, która, gdy trzeba, angażuje się w prowadzenie śledztwa, testuje z mężem różne hipotezy, jest zaangażowana i skuteczna. Daje mu oparcie i zrozumienie. Od dawna nie widziałem w kinie szczęśliwego małżeństwa.



Warte Z przyjemnością polecam też trzeci, finałowy tom jadeitowej sagi Fondy Lee „Dziedzictwo jadeitu”. Ta blisko 800-stronicowa powieść jest najdojrzalsza z całej trylogii, a perypetie są niemal szekspirowskie. Tyle że Lee nie dzieli się z nami swoimi przemyśleniami na temat ludzkiej natury, pozwala za to poznać świat kultury skrajnie dla nas niezrozumiałej. Dzięki swym orientalnym korzeniom kanadyjsko-amerykańska pisarka jest przewodnikiem po japońskiej duszy. Zanurzamy się w zupełnie obce chrześcijanom uniwersum, lecz z radością możemy odkryć ukryte w nim okrucieństwa uniwersalnej prawdy oraz bliskich i nam wartości.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Mrożkową kreską

Ta książka, dociekliwa i gęsta, została zarazem obdarzona darem wielkiej lekkości. A Mrozek – szczupły, wysoki – okazuje się prawdziwym kaduceuszem narodowym

O tym, że będzie to biografia wyjątkowa, wiedziałem na pewno po stronie – jednej z pierwszych – na której opisane zostało zdjęcie ślubne rodziców. Autorka, zastrzegłszy się, że nie lubi chwytu, jakim jest analiza fotografii („na zdjęciu przecież każdy widzi to samo, obraz mówi sam za siebie”), odnotowuje: że zdjęcie zrobiono w profesjonalnym atelier („najbliżej mogli ją wykonać w Brzesku”), że spódnica panny młodej ma dwie kontrafałdy z przodu, a całość dopełniają „trochę zbyt obszerny zakiet ze srebrnym lisem i modny kapelusz z końca lat dwudziestych”. A do tego – beżowe buty na niskim obcasie. „To ważne, bo pan młody ledwie dorównuje jej wzrostem i Zofia lekko się garbi, aby prezentowali się jako idealna para”. Tak, wiem, słowo „uwaga” jest tak wyświechtane, że należy go unikać nie tylko w eseju, lecz także w recenzji. Jak jednak inaczej uhonorować spojrzenie badaczki, które dostrzega delikatny połysk pończoch, to, że styl zdjęcia może mieć potencjał modernizacyjny oraz to lekkie ugięcie kolan i szyi, konieczne, żeby nie wydać się wyższą od Antoniego?

Naturalnie kontrafałda to najmniejszy z drobiazgów: w tym samym podrozdziale znalazło się jeszcze miejsce na uwagi o warstwach społecznych i ścieżkach awansu na wsi małopolskiej u progu dwudziestolecia międzywojennego, o miejscowej sieci kolejowej, toponomastyce i hydrografii (wraz z chronologią wylewów Uszwicy!), na cytatach z „Sofiówki” Trembeckiego, opis obyczajów chrzciel-



Anna Nasilowska, „Mrozek. Biografia”, Wydawnictwo Literackie, 2023

nym, półzartem wtrąconą uwagę o zodiakalnym przypisaniu Mrożka (rak!), na opis relacji pisarza z Andrzejem Mleczką, z pradziadkami, dziadkami, rodzeństwem, krajobrazami przeszłości, Kościołem, żywiołem wody i na przytyk (kto powie, że niesłuszny?) do polskiej dendrofobii.

Biografia totalna? Bez trudu mogłaby się taką stać przy kompetencjach autorki i sieciach kwerendy, których zasięgu można się czasem domyślić z wtrąconych uwag, ze szczegółów adaptacji sztuk Mrożka w Stanach, Ameryce Połu-

dniowej, Skandynawii, naszkicowanych profilach dziesiątków postaci, które znalazły się na drodze pisarza. Z trwożnym podziwem wyobrażam sobie materiały zgromadzone do tej książki, gigantyczne zaplecze dzieła. Ale tym, co robi na mnie większe wrażenie, to lekkość tej precyzyjnej opowieści. Bardzo niewielu jest autorów potrafiących do tego stopnia oprzeć się pokusie opowiedzenia wszystkiego (niczym w kolejnej zakalcowanej monografii IPN), zarysowania konturu sytuacji, „punktów ekstremalnych funkcji”, zamiast tropienia jej punkt po punkcie.

Taka jest ta biografia, opisująca Mrożka w kilku planach: jego „życie i dzieło”, czyli podstawowy plan biograficzny (lata nauki, debiuty, sława, konflikty z władzami, wędrówki, emigracje, znacznie bardziej skomplikowane niż można było sądzić z prostych biogramów życie uczuciowe oraz kolejne teksty, a z początku również rysunki). Są omawiane w kilku akapitach – kto nie dotarł do rzadko wznawianej „Ucieczki na południe”, kto nie widział (nie widział niemal nikt) filmów Mrożka z lat 70., będzie miał możliwość zestawienia tych dzieł z Mrożkiem kanonicznym, tym od „Wesela w Atomicach”, „Tanga” i „Miłości na Krymie”.

Ale na tym nie koniec: Annie Nasilowskiej udało się opisać zmiany w Mrożkowym postrzeganiu świata, jego kompleksy i neurozy, zrzucanie kolejnych skór i stylów, ucieczki nie tyle „na”, co „od”: wzorów, dyktatów, peer pressure. „Mrozek metafizyczny to zapewne temat

na zupełnie inną książkę” – zastrzega się w końcowych słowach autorka biografii. Niepotrzebnie: w jej książce znalazło się miejsce i na metafizykę – stanowisko Mrożka wobec cudzej i własnej śmierci, wobec swoich win i pychy, wobec roli i sensu pisarstwa, wobec wojny i tyranii: jedna z nich, komunistyczna w kolejnych odcieniach – stalinowskim, gomulkówskim, Jaruzelskim, sowieckim – warunkowała go przez większość życia, choć stronili płaskiej polityczności.

Brzmi to zbyt solennie? Niepotrzebnie. Lekkość narracji, szczypta dygresji (tylko tyle, ile potrzeba, by nadać książce osobisty rys), jej świetne złamanie, z mnóstwem Mrożkowych rysunków oddanych oryginalnie zieloną kreską (cały tom jest zaś smacznie złożony w różnych zieleniach, od limonkowej do grynszpanu!) sprawiają, że chociaż ta biografia mieści się na antypodach

zbiorku typu „Mrozek we wspomnieniach”, wolna jest od cytowanych już sto razy anegdot z Krupniczej i okolic, co chwila pojawia się okazja do uśmiechu. Chociaż jest też potwierdzeniem starej, również zbyt często powtarzanej prawdy o tym, jaką powagą i smutkiem podszyci bywają „humoryści” i królowie życia: Mrozek, mistrz paradoksu i żartu, ostrzenia brzytwy tak, by została sama ostrość, i kabanosów w spirytusie, materializujących się podczas seansu dziadów odprowadzanych w geesie, w ważnych sprawach – artystycznych, życiowych, także politycznych – bywał prostolinijny jak John Wayne, zdecydowany i bez uduźnień. Choćby pisząc często przywoływane trzydziestolateczne oświadczenie po wejściu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji, które oznaczało dlań przymusową emigrację i zapis cenzury w Polsce.

Mimo nadal zdarzających się okrzyków: „To jak z Mrożka!”, ściąganych z internetu kultowych rysunków, „Dzieł zebranych” wydanych nakładem Noir sur Blanc, obecności w lekturach i na scenie, w ostatnich latach pisarz znalazł się w jednym z dalszych szeregów panteonu, ani przywoływany zbyt często, ani odrzucany. Świetna biografia, której autorka definiuje go jako pisarza programowo nieromantycznego, inteligentnego z wyboru (inteligentem zawsze się zostaje, bo się to wybiera, twierdzi Nasilowska), niechętnego Edkowi w każdym przebraniu, ale też przewrotnie deklarującego się w ostatnich latach życia jako „reakcjonista”, zgorszony wymogami poprawności politycznej – może stać się wydarzeniem nie tylko dla historyków literatury. Nie chodzi przecież o to, żeby Mrożka i jego idiosynkrazje zawłaszczać: wystarczy je zrozumieć. ▶

Długie gojenie blizn

To tytuł świetny niekoniecznie dlatego, że stuprocentowo celny – trzeba sporo swady, żeby uznać termin „Odrzania” za *pars pro toto* dla całości Ziem Północnych i Zachodnich vel Ziem Odzyskanych/ Wyzyskanych. Ale pokazuje, w czym wyobraźnia Zbigniewa Rokity sprawdza się najlepiej: w tworzeniu terminów pasujących jak ulał, a przynajmniej dających do myślenia. Polska złożona z Odrzania i Wiślanii (plus w bonusie Zabuzania, wielki pas kresów): o ile to świeższe od zwyczajowego „widać zabory”, którym komentujemy w tych dniach powyborcze mapki?

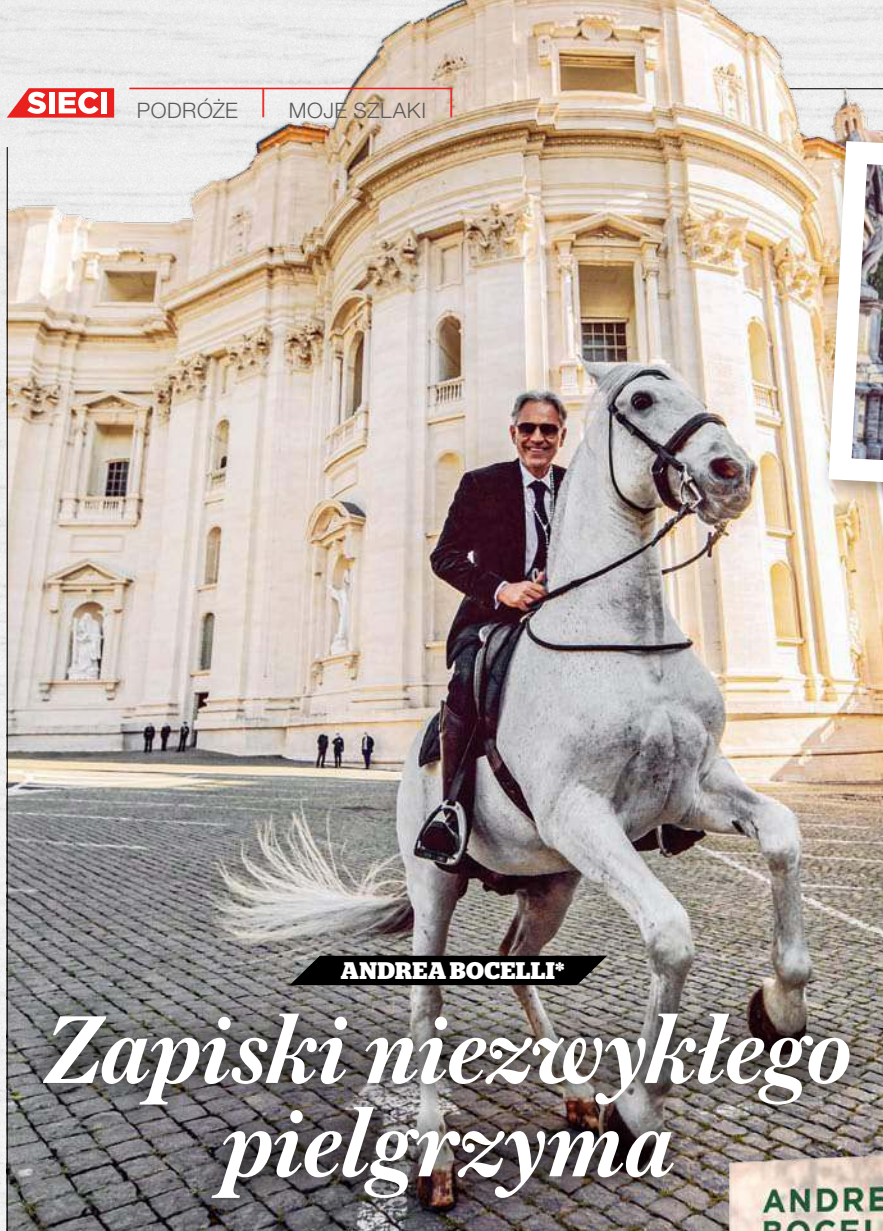
Jest w tej gawędzie rozmach, pęd, haj – czasem mam wrażenie, że Rokita najlepiej sprawdza się w słowotwórstwie z zakresu geografii historycznej (w tej samej książce pojawiają się jeszcze m.in. „Borussowie”, „Poniemiecczyzna” i „wschodniosłowiańska umma”), pochodnej transu, w jaki wpada, pisząc. Kiedy czytam te niemal rapowane akapity o powojennych zamianach patronów ulic, o wędrowaniu po Olsztynie/Allensteinie, uszyszka duszy słyszę niekończące się frazy Pilcha, Konwickiego i Hrabala. Anegdota w „Odrzaniu” bywają przepyszne (polecam tę o niemieckim szyldzie „FILMPALAST”, który ewoluował w „KINO PIAST”, by za sprawą wiatru, tumiwizizmu i rdzy skończyć

jako „NO PAST”), rozmówcy – celnie dobrani. Demitologizacje – czasem trochę spóźnione (przecież wiadomo, że historycy wczesnego średniowiecza traktują szybkowiążącym betonem swoje niekonkretne ustalenia), podobnie jak lektury: teza „Skrwawionych ziem” Snydera, że najbardziej prześladowaną mniejszością narodową w Europie późnych lat 30. było 600 tys. Polaków w Sowietach, zmroziła większość czytelników Rokity już dobrych kilka lat temu.

Gdyby „Odrzania” była podręcznikiem akademickim, pewnie kręciłbym nosem. Dlatego, że podobne obserwacje znaleźć można w co najmniej kilku książkach Czarnego z serii Sulina – u Karoliny Kuszyk, Beaty Szady, Piotra Oleksego. I dlatego, że podkreślanie odrębności, ba, niemal sieroctwa Odrzania, która za mało ma ministrów, cytatów w wypisach szkolnych i reprezentacji w pamięci zbiorowej może dość fatalnie rozszczepiać polską spuściznę, i tak popękaną. Ale kiedy opowiada o tym Rokita, urodzony „pabitel” z Górnego Śląska, gwarantujący genealogią rodziny, że jest i stamtąd, i stąd, z Gliwic i Lwowa – czytamy spokojny o tych za mało znanych dziejach konstruowaniu tożsamości lubuskiej, przesuwaniu granicy polsko-sowieckiej w Prusach Wschodnich i zdumiewającej nadreprezentacji batiarów w Breslau. ▶



Zbigniew Rokita, „Odrzania. Podróż po Ziemach Odzyskanych”, Czarne, 2023



ANDREA BOCELLI*

Zapiski niezwykłego pielgrzymy



aby pomodlić się przy grobie apostoła Piotra. Ten liczący ponad 3 tys. km szlak prowadzi przez święte miejsca, wiekowe świadectwa wiary utrwalone w kamieniu, w dziełach sztuki pełnych olśniewającego piękna, widokach, które nie mogą nie wzbudzić pytań o cały świat stworzony, a więc i o jego Stwórcę”.

„Zwykle celem pielgrzymki jest umocnienie wiary odbywającego ją pątnika. W naszym przypadku wiara była już obecna, była już kamieniem węgielnym duszy” – deklaruje artysta. „Z takim przekonaniem wyruszyliśmy z najmniejszego państwa świata, które jednak duchowo obejmuje wszystkie pozostałe, to znaczy z Watykanu. Następnie, opuściwszy Rzym, jego wielkość i hałaśliwe piękno, rozpoczęliśmy podróż w odwrotnym kierunku, do Toskanii, a w szczególności do regionu Valdera, gdzie są moje korzenie”.

Bocelli dodaje, że jego pielgrzymka po Via Francigena miała jeszcze jedną, głęboko zakorzenioną, motywację, płynącą z pasji do koni. „Nie jako środka transportu, ale jako towarzysza podróży” podkreśla. „Pomysł przebycia tej drogi konno zrodził się spontanicznie, ponieważ od zawsze uważam, że taki sposób przemieszczania się daje poczucie wolności, a sam koń jest idealnym partnerem

w autentycznym kontakcie z przyrodą”.

Wyzwanie zrealizowane przez włoskiego tenora zostało uwiecznione zarówno w książce, jak i w filmie dokumentalnym („The Journey con Andrea Bocelli”) nakręconym przez wytwórnię Paramount.

Jolanta Gajda-Zadworna
*Jeden z najśłynniejszych współczesnych tenorów



To marzenie nosiłem w sobie od dawna. Wiosną 2021 [rok po słynnym covidowym koncercie w pustej mediolańskiej katedrze i na placu przed nią – przyp. red.] stało się ono rzeczywistością, która przybrała konkretną postać ponad 370 km przebytych konno [z Rzymu do Lajatico w Toskanii, gdzie urodził się artysta – przyp. red.]. Doświadczenie to było mocne, złożone, poruszające, niepozbawione trudności, ale też pełne nadzwyczajnych niespodzianek” – czytamy we wstępie do wyjątkowego wydawnictwa.

Ilustrowana malowniczymi zdjęciami książka „Andrea Bocelli. W drodze. Zapiski pielgrzymy” (w Polsce ukazująca się nakładem Wydawnictwa Jedność) to duchowe i artystyczne świadectwo złożone przez jednego z najwybitniejszych teno-

rów naszych czasów. Wypełnione pogłębiłą refleksją, ale też wspomnieniami i anegdotami, pojawiającymi się podczas trzytygodniowej podróży śpiewaka – wraz z rodziną – wzdłuż starożytnej drogi Lombardzkiej.

„Pielgrzymkę wymyśliśmy z żoną jako formę modlitwy, która wyrazi się przez pewną dyscyplinę i wysiłek fizyczny, przez muzykę i liczne spotkania” – czytamy dalej. „Via Francigena [jeden z najdłuższych i najstarszych europejskich szlaków pątniczych – przyp. red.], jak wiadomo, ucieleśnia pragnienie pielgrzymów z całej Europy,



Mrożne grzyby

ANNA MONICKA



W orzechowym sadzie

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pierwsze przymrozki za nami. Ale poranne skrobanie samochodu to nic, bo pojawiły się rydze. Moje ulubione i najbardziej wyczekiwane grzyby. „Panienki za wysmukłym gonią borowikiem / Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem. / Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy / I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy. / Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory, / Czy zimą” – każdy zna pewnie ten fragment z „Pana Tadeusza”, ale nie każdy miał szczęście widzieć je w naturze, bo nie każdy umie rydze wypatrzeć. Lubią pobocza dróg i lasów, zwłaszcza porośnięte trawą, pod którą chowają się tak sprytnie, że trzeba ją odgarniać kijem – u moich rodziców jest taki specjalny drąg, ten sam od kilkunastu lat.

W swoim ulubionym lesie moja mama ma kilkanaście rydzowych miejsc. Kilka ostatnio straciła, bo grzybiarze zamiast na parkingach parkują wzdłuż drzew i nieświadomi tego, co czynią, niszczą drogocenne siedliska tych wspańiałych jesiennych grzybów. Kiedyś znosiła je koszami, teraz zbiorów jest co kot napłakał, ale może ten rok będzie bardziej szczodry. To, co widziałam wczoraj u moich ulubionych rolników w sklepiu na Żeraniu, zapowiada niezłe żniwa. Cena – 20 zł za nieduży pojemniczek – skutecznie mnie zachęciła do sobotniej wyprawy do lasu.

A gdy już nazbieram trochę rydzów, rzucę je po prostu na patelnię, na masło, na którym podsmażyłam czosnek. Kilka minut z jednej i z drugiej strony i gotowe. Takie są najlepsze. Nie potrzebują żadnych innych dodatków ani wyszukanych przypraw – po co poprawiać doskonały, naturalny smak. Można je podać z podpieczoną na blasze, pokrojoną i natartą czosnkiem bagietką. Konkurować z nimi mogą chyba tylko pięknie pachnące, rozłożyste kanie. Kilka kapeluszy wystarczy za cały obiad, bo i jedno, i drugie są bardzo pożywne.

Oczywiście zrobię też kilka słoiczek w octowej zalewie z cebulką, bo takie cieszą się u nas największą popularnością w Wigilię. Znikają nawet szybciej niż prawdziwki.

Jeśli uda nam się znaleźć ich więcej, lekko obgotowane i poukładane w plastikowych woreczkach kapelusze zamrozę. Będą idealne do rydzowej zupy na warzywnym bulionie.

Niedaleko moich okiem rosną drzewa. Nieduże: z brzegu, wzdłuż drogi pas klonów, a na jego obu końcach dwie wyższe od klonów brzozy. W głębi, za tym pasem, orzechy włoskie. Być może kiedyś był to orzechowy sad, który zdziczał, a może orzechy wyrosły, rozsiane przez gawrony i sójki. W każdym razie drzewa rosną w sposób nieuporządkowany i gęsto – tym gęściej, że pod nimi rozrosły się czerechy i leszczyny, a na skraju kolczaste jeżyny.

W ciepłych porach roku zagajnik jest niedostępny, a masa zielonych liści nie pozwala zajrzeć do wnętrza. Niewątpliwie jednak nie jest miejscem pustym – ma swoich mieszkańców. Część z nich można dostrzec. Wieczorami spomiędzy orzechów lekkim, nie do pomylenia krokiem wybiega lis. Czasem na skraju pokazują się wiewiórki. Wysoko na brzozie, zawsze w rozwidleniu gałęzi, gniazdo w kształcie miseczki wyplecionej z traw zakładają wilgi. Tak przypuszczam, bo chociaż nigdy go nie zauważyłem, widuję żółto-czarne sylwetki tych ptaków. Każdej wiosny słyszę też śpiew samca i nawoływanie samicy.

Dziki sad to jednak raczej dźwięki świadczące o ukrytym życiu. Uderzenia skrzydeł tłukących nagle o gałęzie to walczące ze sobą gołębie grzywacze – jeżeli rozlegają się w dzień, bo wieczorem, zresztą bardziej dyskretnie, są odgłosem bażanta zapadającego na nocleg w koronie drzewa. Zagadkowe wrzaski to znak obecności sów uszatyh – te, odkąd w sadzie zaczęły się gnieździć wrony siwe, wykorzystują ich stare gniazda. Nagle skrzeczenie to sójka, która zauważyła przemykającego kota. Są też dzięcioły: pstry duży, rzadszy od niego średni, a jakiś czas temu po raz pierwszy usłyszałem wołanie dzięcioła czarnego.

Czasem, zwłaszcza wieczorem lub nocą, kiedy w sadzie jest zupełnie ciemno i nic nie widać, ze środka słychać zagadkowe odgłosy świadczące o tym, że mieszkańców, którzy niekoniecznie chcą się ujawniać, jest znacznie więcej.

Od paru dni sad się zmienia. Jednego dnia z orzechów opadły wszystkie liście i zniknęła gęstwina. Nie ma już tajemnicy, tylko grupka drzew przy drodze, po której jeżdżą samochody i z domami po drugiej stronie, dobrze widocznymi bez liści.

Nie dają się jednak zmylić. Minie trochę czasu i liście odrosną, a sad znowu będzie zieloną zagadką.

Oni nas zobowiązują

W ten smutny powyborczy czas warto powrócić do tych, którzy tak niedawno byli z nami, walczyli o Polskę, o naszą niepodległość i dali świadectwo najwyższego człowieczeństwa.

Już tyle lat minęło od tamtych październikowych dni – pamiętam je doskonale. Atmosfera strachu, buntu i niemocy. Dla nas, młodych, ks. Jerzy był jednym z nas, a jednocześnie kimś jedynym, odważnym przewodnikiem, wzorem człowieka, takim, jakim trzeba być, by się nie dać zastraszyć i pokonać. Na pewno osoby związane bliżej z ks. Jerzym wiedziały więcej o nasilonej nagonce na niego, realnym zagrożeniu życia. My wszyscy, zwykli uczestnicy mszy za ojczyznę na warszawskim Żoliborzu, mimo świadomości okrucieństwa i cynizmu bezpieki nie dopuszczaliśmy myśli, że mogą go zabić. Widzieliśmy, że był dla wszystkich przyjazny, serdeczny, w mroźne dni częstował gorącą herbatą dyżurnych ubeków. Był znany we wszystkich środowiskach, kochany, wręcz uwielbiany przez różnych ludzi, niezależnie od wieku, wykształcenia, zawodu, nawet przez niewierzących. Mówił jasno, czytelnie dla wszystkich i zachowywał się tak autentycznie, bez odrobiny gry, pozy. Wydawało się, że nawet podli i mali duchem ludzie nie odważą się go skrzywdzić, nie mówiąc, zabić. Mówił do nas i za nas, z wielką miłością, ludzie to czuli, słuchali i stawali się wolni. Plakali, śpiewali pieśni patriotyczne, nie zważali na zomowców, szczerze obstawiających plac wokół kościoła, ubeków, milicjantów i różnych innych kapusiów. Od tego drobnego, chłopcęgo księdza płynęła taka siła, której nic i nikt nie mógł nam zabrać. Był dla nas wzorem, przywódcą w walce o podstawowe prawa człowieka, nie ułakł się władzy, wielkiej, zbrodniczej maszyny zła.

„Dążenie do prawdy wszczepił w człowieka sam Bóg. Prawda i wolność ludzi jednoczy i zespala, a kłamstwo zniewała i znieprawia. Sprawiedliwość wynika z miłości i prawdy. Kierując się nienawiścią, przemocą i zniewoleniem, nie można zbudować sprawiedliwości” – to słowa ks. Jerzego z ostatniej homilii. Trzeba do nich powracać i na nowo je odczytywać, wszak tak szybko je zapominamy, a młodzi w ogóle nie znają jego homilii, jego słów, dzisiaj tak bardzo aktualnych.

Okrutnie zdradzony, zamordowany ks. Jerzy zwyciężył! Wielcy i zwykli, miliony ludzi ze wszystkich zakątków świata przybywają do jego grobu z potrzeby serca, by набrać siły na trudy życia, prosić o pomoc, o uzdrowienie. Powstają nowe książki, filmy, wiersze, pieśni, idzie w świat jego nauka, odwaga, wierność Bogu, ojczyźnie, służba bliźnim do końca. „Człowiek powinien się bać tylko jednego, judaszowej zdrady” – powtarzał wielokrotnie. Zleceniodawcy i mordercy ks. Jerzego żyją, prawdę ukryli, zbrodnie usprawiedliwili, uciekli od miejsc, nazwisk, lecz nie mogą uciec od siebie. Przegrali życie, unieważnili wieczność, oddali za marne współczesne srebrniki.



**Alina
Czerniakowska**

Postać ks. Jerzego coraz bardziej rośnie w naszej skarlalej rzeczywistości. Warto dzisiaj powrócić do słów płk. Ryszarda Kuklińskiego: „Ja swoją wojnę z Sowietami zakończyłem. Dzisiaj przydałby się drugi Kukliński. Kto wie, może już gdzieś studiuje młody zapaleniec, podchorąży, któremu Polska droższa jest niż własna kariera, a nawet życie”.

Zdemaskował on zbrodniczy ustrój komunistyczny oparty na terrorze, kłamstwie, mordach politycznych i walce z patriotyzmem. Zastopował komunizm, ujawnił zbrodnicze sowieckie plany nuklearne zniszczenia Polski i Europy. Za bohaterskie ratowanie ojczyzny zapłacił straszną cenę, poświęcił życie swoje i rodziny, w niewyjaśnionych okolicznościach zamordowali jego dwóch dorosłych synów. Zaszczuty, oskarżany, opuszczony, zapomniany.

„Trzeba czuć odpowiedzialność za to wielkie dziedzictwo, któremu na imię Polska. To imię nas wszystkich określa! To imię nas wszystkich zobowiązuje! To imię nas wszystkich kosztuje! Ale właśnie to, co kosztuje, stanowi wartość. Nie pragniemy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała” – powracają dzisiaj pamiętne słowa Jana Pawła II, pierwszego w dziejach świata papieża Polaka, papieża, jakiego nie było. Niemal dokładnie 45 lat temu jego rozwarłe ramiona i słowa – „Nie lękajcie się” – ogarnęły świat. Niezwykłość Jana Pawła II promieniowała wielkością, a jednocześnie bliskością i serdecznością. Wymagał, lecz nie zostawiał bez pomocy. Potrafił przemawiać do wielomilionowych tłumów tak jakby mówił do każdego z osobna. Rosyjski bojownik o prawa człowieka Andriej Sacharow powiedział wówczas: „Ten człowiek emanuje światłem”. Wskazywał, jak żyć, jak wierzyć, jak dochować wierności Chrystusowi. Był z nami, pokazywał drogę do wolności, a potem pytał nas tonem ojca zaniepokojonego przyszłością swoich dzieci – co zrobiliście z tą wolnością? Był radosnym, pięknym człowiekiem, my, młodzi, kochaliśmy go najbardziej na świecie. Dawał nadzieję, odkrywał sens życia, promieniał radością, której nam w umęczonej Polsce bardzo brakowało. Przestrzegał przed prymatem „mieć” nad „być”, wzywał do budowy cywilizacji miłości. Powiedział, że najważniejsze zdanie ewangelii to słowa Jezusa: „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

Dzisiaj każdy ma swoją prawdę, wszystko stało się relatywne, dlatego nie wolno ulegać wrogiej propagandzie ludzi, chcących nam odebrać nasz największy autorytet. Jan Paweł II naprawdę nas kochał, wszędzie na świecie z dumą podkreślał swoją polskość – „Naród, który taką ceną okupił swoją niepodległość, ma prawo do stanowienia o swoich sprawach w sposób samodzielny. I to prawo do samostanowienia jest zasadą porządku międzynarodowego! Należy je szanować, ponieważ tego domaga się także prawdziwa wola pokoju”. Swoje spotkania kończył znamienymi słowami wypowiedzianymi w takiej kolejności – „Niech Bóg błogosławi Polsce i światu!”

*Autorka jest reżyserem filmowym,
scenarzystką i dziennikarką*



Masz jedno **życie i zdrowie**. **Ubezpiecz je**

Wystarczy **jedna polisa**, żeby zabezpieczyć
życie i zdrowie całej rodziny

Dowiedz się więcej u agenta, w oddziale
lub na pzu.pl/masz-wplyw-na-swoje-zycie



Materiał PZU Życie SA. Szczegółowe informacje, w tym wyłączenia i graniczenia odpowiedzialności znajdziesz w aktualnych OWU poszczególnych indywidualnych ubezpieczeń na życie na pzu.pl

PRZESZŁOŚĆ

Julizm

Z okazji tego, że PO na nowo dorwała się do władzy, prezydent Sopotu Jacek Karnowski obciął włosy – przez wiele lat nosił długie. To wiekopomne wydarzenie oglądał tłum jego zwolenników, a ci, którzy nie zmieścili się w zakładzie fryzjerskim, tłoczyli się na zewnątrz. Po co? W zrozumieniu tego może leży klucz do zrozumienia, co się działo w niedzielę.

Wyobraźmy sobie, że umowny Marek Jakubiak namawia swój elektorat, by poszedł zobaczyć, jak goli wasy po wyborach. Wszyscy popukaliby się w głowę, choćby i PiS dostał 90 proc. miejsc w Sejmie, a Jakubiak najwięcej głosów ze wszystkich. Chłop goli wasy – jego sprawa, co tu oglądać, ani pieniędzy dla kraju i dla nas z tego nie będzie, ani czołgu nie przybędzie. Tymczasem w Sopocie stado wyznawców w różnym wieku oglądało faceta u fryzjera.

Odpowiada za to obśmiewane zjawisko julkizmu. Julki to miała być grupa młodych dziewcząt, które – powiedzmy sobie szczerze – prawica omijała szerokim łukiem, a jedyne co miała im do zaferowania, włącznie z niżej podpisanym, to politowanie. Tymczasem Julek jest trochę więcej. Są w różnym wieku, czasem i emerytalnym. Bywają mężczyźni, choć częściej kobietami. Co je łączy? Chęć działania, a nie analizowania. Dlatego Tusk mógł jednego dnia mówić, że jest przeciwko płotowi granicznemu, drugiego,



**Wiktor
Świątlik**

że za, i podobnie traktować inne tematy. Płynął na falach emocjonalnych, działał poprzez modę, aspiracje, chęć uczestnictwa.

A na owe Julki, które tak naprawdę należałoby nazwać jakoś inaczej, ta kombinacja działa idealnie. Kiedyś część z nich zapewne płakała po Janie Pawle II. Następnie angażowały się w obronę prześladowanych gejów, przygarniały zwierzęta i przechodziły na dietę wegetariańską, walczyły ze śladem węglowym. A potem, za przeproszeniem, j...y PiS. Julki uwielbiają działanie, wspólne akcje, wzmożenie moralne, dzielenie się nim w mediach społecznościowych. Złość na tych „niedobrych” i miłość do idoli. Uśmieški i kciuki w górę zamiast refleksji oraz wymiany myśli. Polemiki nie lubią, a także tych, którzy wprowadzają nieznośny dysonans. Stąd taka złość na symetrystów, mogących Julkom namieszać w głowach.

Te Julki, ten wyborca nowego typu, wyprodukowany przez TikToka, Instagrama, Netflixa czy co tam jeszcze nie zniknie i nie będzie nieliczącą się grupką młodego elektoratu. Będzie go coraz więcej. Zamienia się w niego nawet część wsi, do niedawna twardo stąpającej po ziemi. By kiedyś jeszcze coś wygrać, trzeba jakoś do nich dotrzeć. A jak? I tu zaczyna się problem, albo jak mawiają ambitniejsi – wyzwanie.

„Honor i Ojczyzna”

Już wiemy: następne cztery lata rządzić będzie szeroko rozumiana opozycja (z wyjątkiem Konfederacji, pozostającej na marginesie polityki). Nie ma co się oburzać na demokratyczne rozstrzygnięcia. Skoro większość Polaków tak zdecydowała – będziemy żyć w nowej rzeczywistości. Ze względu na skromność rubryki wypunktuję tylko główne przyczyny zmian, jakie zaszły w mentalności naszego społeczeństwa, a zwłaszcza najmłodszej generacji.

W lata 90. XX w. wychodziliśmy jako spadkobiercy wolnościowej Solidarności i natchnione pokolenie Jana Pawła II. Przez czasy zaborów, okupacji i półwiecze komuny przechowyaliśmy naszą tożsamość oraz unikatowe wartości. Ostatnie trzy dekady to czas gigantycznej pracy rodzimej postkomuny i zachodniego lewactwa, zawłaszczających edukację (wyższe uczelnie) i popkulturę (artyści, celebryci). Pseudowolnościowe hasła, obietnica raju na ziemi oraz gwałtowna laicyzacja młodzieży nie napotkały na skuteczną ripostę



**Lech
Makowiecki**

tradycjonalistów. Upadek autorytetu Kościoła i etosu inteligencji szeroko otworzył wrota dla modernizmu. Demoralizacja jest skuteczniejsza od przemocy, a dezinformacja i nieznajomość historii sprzyjają irracjonalnym zachowaniom. Można by uniknąć destrukcji świeckiego państwa, zachowując przynajmniej człon dewizy: „Honor i Ojczyzna”. Tak się nie stało. Demograficzna zapaść i luzackie „róbta co chceta” wiodą nas wprost do „raju” dzisiejszej Europy. Za cztery lata obudzimy się w zupełnie innej Polsce. Jakiej?

Wystarczy popatrzeć na kierunek dryfu UE. Dołączymy do strefy euro, wyprzedamy ostatnie przedsiębiorstwa, zamkniemy kopalnie, a do szkół i przedszkoli wprowadzimy tolerancję zamiast wiedzy. Zaoszczędzimy na armii, zlikwidujemy programy socjalne (ale tylko dla Polaków) i będziemy zgłębiać szkołę przetrwania w miejskiej dżungli. Lub forsować granicę Białorusi. Na szczęście konstytucja zapewni nam prawo do aborcji i eutanazji!

PS Ważne daty: 24 października 1795 r. – III rozbiór Polski.

Enea kupiła od PAD RES farmę fotowoltaiczną o mocy 35 MW zlokalizowaną w Wielkopolsce

Położona pod Koninem Farma Fotowoltaiczna Genowefa o mocy 35 MW powiększyła moce wytwórcze OZE Grupy Enea. Działająca instalacja została zakupiona od firmy PAD RES, wiodącego dewelopera w sektorze czystych źródeł energii. To kolejna z ogłoszonych w ostatnich tygodniach inwestycji Enei, realizujących strategię konsekwentnego zwiększania zainstalowanej mocy OZE grupy

Szacujecie się, że zlokalizowana w okolicach Kleczewa (Wielkopolskie) Farma Fotowoltaiczna Genowefa w pierwszych latach swojej pracy może wyprodukować rocznie ponad 35 tys. MWh zielonej energii, zapewniając czystą energię dla ok. 17,5 tys. gospodarstw domowych. Budowa instalacji rozpoczęła się w kwietniu 2022 r., a farma rozpoczęła produkcję energii w sierpniu br. Instalacja składa się z 65 420 paneli i zajmuje obszar ok. 40 ha.

– W ostatnich miesiącach deklarowaliśmy wyraźne przyspieszenie naszych działań związanych ze zwiększaniem mocy zainstalowanej Grupy Enea w odnawialnych źródłach energii. Ostatnie tygodnie i kolejne inwestycje, tak jak kupno Farmy PV Genowefa, są potwierdzeniem realizacji naszych zobowiązań oraz wkładem w transformację sektora energetycznego. Kolejne instalacje są w przygotowaniu, a obecnie w ramach spółek Grupy mamy projekty z określonymi warunkami przyłączenia na ok. 525 MW. Z kolei w 2024 r. planujemy dysponować projektami na ok. 800 MW z wydanymi pozwoleniami na budowę – powiedział Paweł Majewski, Prezes Zarządu Enea S.A.

W ostatnich miesiącach Grupa Enea znacząco zwiększyła swoje moce wytwórcze OZE, w tym m.in. nabywając farmy fotowoltaiczne Tarnów i Tykocin, a ostatnio nowo budowaną farmę wiatrową Bejsce o mocy 19,8 MW. Równolegle Enea prowadzi prace nad kolejnymi

akwizycjami oraz własnymi projektami (tzw. greenfield), które są na różnym etapie zaawansowania.

PAD RES to joint venture Griffin Capital Partners i Kajima Europe. Projekt w Kleczewie jest ważnym kamieniem milowym w rozwoju PAD RES, ponieważ to pierwsza kompleksowo zrealizowana inwestycja od momentu przejęcia większościowych udziałów przez Kajima Europe i Griffin Capital Partners we wrześniu 2021 r. PAD RES odpowiadał za budowę, oddanie do użytku i transakcję sprzedaży farmy Genowefa.

Transakcja wpisuje się również w strategię biznesową PAD RES, polegającą na aktywnym poszukiwaniu nowych możliwości inwestycyjnych, przejmowaniu projektów deweloperskich na wczesnym etapie rozwoju oraz realizacji tych inwestycji, gwarantując ich sprawne oddanie do użytku, aby mogły zapewniać Polsce czystą energię, zwiększając jednocześnie możliwości inwestycyjne PAD RES na globalnym rynku.

– Genowefa jest doskonałym przykładem zaangażowania firmy Kajima w dostarczenie potrzebnej polskiej gospodarce czystej energii. Sprzedaż tej farmy fotowoltaicznej świadczy o trwającej transformacji polskiego sektora energetycznego oraz rosnącym zapotrzebowaniu na odnawialne źródła energii. Wspólnie z PAD RES i Griffin Capital

Partners planujemy dostarczać kolejne aktywa i umacniać naszą pozycję rynkową w Polsce – komentuje Chris Gill, Investments Director & Head of Renewables w Kajima.

– Decydując się na wejście na rynek energii odnawialnej w Polsce, dostrzegliśmy duże możliwości rozwoju i wzrostu w tym segmencie. Sukcesy naszych platform inwestycyjnych w ostatnich miesiącach potwierdzają, że trafnie zidentyfikowaliśmy ten potencjał. Dzięki naszym wspólnym działaniom moc odnawialnych źródeł energii PAD RES przekroczyła 2 GW, plasując spółkę w czołówce polskiego sektora OZE – mówi Jędrzej Socha, Senior Vice President Investments w Griffin Capital Partners.

– Z radością nawiązaliśmy współpracę z Eneą, jedną z największych polskich grup energetycznych i drugim co do wielkości producentem energii elektrycznej w Polsce. Naszą wspólną misją jest aktywny udział w transformacji sektora energetycznego i rozwój odnawialnych źródeł energii. Jako PAD RES tylko od 2022 r. nabyliśmy 13 projektów o łącznej mocy 450 MW, wszystkie posiadają pozytywnie rozpatrzone wnioski o warunkach przyłączenia do sieci przesyłowej. Mamy także aktywne plany inwestycyjne – w tym roku planujemy rozpocząć realizację kolejnych projektów fotowoltaicznych o łącznej mocy 140 MW – dodaje Julian Rudd-Jones, Dyrektor w PAD RES Group. 

Śmiesznie już było



**Piotr
Cywiński**

Chodzi sobie po Berlinie roześmiany Murzyn, pardon, uchodźca o ciemnej karnacji. Właśnie wrócił z wypadu do swej afrykańskiej ojczyzny. „Taka tam bida z nędzą, a tu? Masz wszystko, robić nie musisz, z socjału stać cię nawet na takie urlopy...” – myśli sobie i uradowany, że tak mu dobrze, łapie za rękaw jakiegoś przechodnia, żeby wyrazić swą wdzięczność: „Dziękuję wam, Niemcom, że...” – ale zagadnięty mu przerywa: „Daj spokój, jestem z Albanii!”. Gdy nagabuje kolejnych, słyszy: „Coś pan, ja z Syrii”, „z Jemenu”, „...Afganistanu” itd. Wreszcie zaczepia staruszkę: „Może pani jest Niemką?” – pyta. – Niece, Turczynką. – To gdzie u diabła są wszyscy Niemcy? Na to staruszka, zerkając na zegarek: – No, pewnie w pracy...”

Kawał niemiecki, ale Niemcom po prawdzie nie do śmiechu. „Agencja pracy prawie nie zatrudnia bezrobotnych”, alarmuje telewizja NTV. Imigrantów liczy się w milionach, a chętnych brak; bo nie znają języka, nie mają wykształcenia albo po prostu nie mają ochoty pracować. A że wszystko wokół kusi, to i przestępczość rośnie. Daruję sobie dramatyczne opisy kto, kogo i gdzie zastrzelił, zadźgał czy zgwałcił. Wróćmy do kawałów:

„Nauczycielka w szkole sprawdza listę obecności: – Ahmed El Cabul? – Jestem! – Mustafa El Ekhzceri? – Obecny! Kadir El Ohlmi? – Jestem! – Mel Ani El Sner? Ciszka. Pani głośniej: – Mel Ani El Sner...?!”

Na to nieśmiało dziewczynka z ostatniej ławki: – Może pani chodzi o mnie, ale ja nazywam się Melanie Elsner”...

Śmieszne? Śmiesznie już było. Pod pręgierz krytyki dostała się niedawno dyrektorka szkoły w Berlinie, która ośmieliła się wygarnąć, że na 103 pierwszoklasistów z pięciu klas tylko słownie jeden uczeń pochodzi z niemieckiej rodziny. „Jesteśmy arabizowani! Dzieci imigrantów nie rozumieją, co się do nich mówi, jak mamy im przekazywać wiedzę?!” – zagrziała Astrid Busse. „Poziom kształcenia w Niemczech dramatycznie się pogorszył!” – donosi chłodno telewizja ZDF. „Niemcy mogą wiele nauczyć się od Polaków” – pochwalili nasze szkolnictwo w „Die Welt” Andreas Schleicher, szef PISA i dyrektorki do spraw edukacji w OECD. Podczas gdy Polska w ostatnich latach dołączyła do najlepszych w Europie, Niemcy spadli o kilkanaście miejsc.

Společne niezadowolenie z polityki migracyjnej za Odrą odzwierciedla dziś wzrost poparcia dla partii AfD. Referenda są w Niemczech ustawowo niedopuszczalne. We Francji są możliwe, co więcej, siedmiu na dziesięciu obywateli chciałoby wypowiedzieć się w sprawie tzw. uchodźców, co wykazał sondaż telewizji CNews, ale nikt Francuzów o zdanie nie pyta. U nas referendum już było...

No to, gute Reise, bon voyage, udanej podróży...



**Adam
Ciesielski**

Opera na torowisku Europy

W świecie opery, chronicznie cierpiącym na brak atrakcyjnego, aktualnego repertuaru, rewelacją, i to na międzynarodową skalę, jest „Ślepy tor” Krzysztofa Meyera z librettem Antoniego Libery. Dzieło, błyskotliwie wykorzystując m.in. poetykę teatru absurdu, podejmuje temat duchowego kryzysu zachodniej cywilizacji.

Na stacyjce kolejowej gdzieś w centrum Europy zjawiają się kolejne grupy pasażerów, różne w każdym z trzech aktów. Moderniści wybierają się na kongres postępu do Paryża, Konserwatyści na „Dni Świętości” do Rzymu, a Terrorysty na planowany zamach do Berlina. Czas skracają sobie celebryckimi popisami, oracjami politycznymi i religijnymi, także aktami przemocy. Planom podróży zagraża spóźnienie lokalnego pociągu. Nadzieję pokładają w międzynarodowym ekspresie, który trzeba awaryjnie zatrzymać, bo do torów łańcuchami przykuł się desperat. Ekspres wreszcie nadjeżdża, staje i rusza, zabierając dodatkowych pasażerów. Chwilę później Zawiadowca, symbolizujący wiarę w porządek, oraz Samobójca, odzwierciedlający zwątpienie i dekadencję, giną razem pod kołami pociągu na sąsiednim torze...

Trudno o bardziej posępną wizję, wszakże jest jeszcze epilog. Po krótkim zaciemnieniu na proscenium wychodzą rozcharakteryzowani już śpiewacy, ironicznie komentujący przebieg spektaklu, w którym brali udział.

Na myśl przychodzą tropy Witkacego, Pirandella, Mrożka, Becketta, wszakże kapitalne libretto to oryginalne dzieło Antoniego Libery. Idealnie zgrane z muzyką Krzysztofa Meyera. Komunikatywną, ale niełatwą w wykonaniu. Panuje nad nią i pomaga wokalistom prowadzący orkiestrę Łukasz Borowicz. Recytatywy są popisem solistów ze Stanisławem Kuflukiem (Samobójca), Krzysztofem Szumańskim (Zawiadowca), Robertem Gierlachem (Profesor, Generał Zakonu, terrorysta Timur) na czele.

Reżyser Marek Weiss, niepodzielający eurosceptycznych poglądów librecisty, interweniował w paru miejscach spektaklu. Jego trafnym pomysłem było wprowadzenie nieistniejącej w tekście postaci Oczekującej, staruszki siedzącej na peronie i na coś czekającej. To alegoria śmierci, ożywiona w finale, obecna też w epilogu, jako nieuchronna pointa życiowej podróży każdego z nas.



Krzysztof Meyer, „Ślepy tor”, Opera w trzech aktach z epilogiem, Libretto Antoni Libera, reżyseria Marek Weiss, scenografia Jagna Janicka, w obsadzie: Stanisław Kufluk, Krzysztof Szumański, Robert Gerlach, Elwira Janasik, Anna Bernacka i in., Orkiestra TW-ON pod dyr. Łukasza Borowicza, Spektakl 15 X 2023 r., Teatr Wielki – Opera Narodowa



Referencje fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (2x)

Wycinki z przeszłości

Dziś w naszym kąciaku kilka ogłoszeń drobnych z października 1931 r.

- „POSZUKUJĘ kilku wagonów suchego drzewa opałowego 20 x 50. Katowice, Marjacka 1.
- ŻOŁĄDŹ do siewów jesiennych sprzedaje Dyrekcja lasów Czerce, powiat Sieniawa, stacja kolejowa Surochów.
- JADALNIE, sypialnie, najnowsze modele na dogodnych warunkach do sprzedania w stolarni, Kraków, Kościuszki 27.
- MASZYNĘ DO PISANIA mało używaną kupię. Zgłoszenia z podaniem marki i ceny do redakcji »Ilustrowanego Kurjera Codziennego«, Kraków, Wielopole 1.
- TRAN ŚWIEŻY nadszedł. Do nabycia: Drogeria Sanitas, Kraków, Długa 18.
- ORZECHY 13 zł, miód gwarantowany pszczeli 15 zł. zaliczką wysyła 5 kilogramów, Fest, Zaleszczyki.

• TORBY SZKOLNE, teki aktowe, liczydła dziecinne i biurowe. Ziembicki, Kraków, plac Mariacki 2”.

Jak widać, sprawy codzienne podobne do naszych. Na ilustracji fragment ogłoszenia z tego samego okresu. **(mk)**



Żegnając Staszka Radwana

14 października po długiej chorobie zmarł w Krakowie Stanisław Radwan. Jeden z najciekawszych polskich kompozytorów. Artysta „piwniczny” – a to oznacza pewien styl twórczości, lecz także życia. Obok Zygmunta Koniecznego twórca muzyki szczególnie związanej z teatrem, filmem. Specyficznej, bogatej w oryginalną funkcjonalność. Zaprzyjaźnieni, w latach 60. i 70. w Piwnicy pod Baranami, sporo współpracowaliśmy. Zostawił w tej Piwnicy parę pięknych piosenek, operę – „Łaska imperatora”, „Psalm Dawidowe” wykonywane przez Ewę Demarczyk. Wieloletni dyrektor krakowskich teatrów (Bagatela, Teatr Stary), ktoś wyjątkowo kreatywny, pomocny, dowcipny, lubiany... Mnożyć by można, co najlepsze. Wspominam go, przywołując jego piosenkę do wiersza Balińskiego. Prawdziwy klejnot liryki. Sala z zapartym tchem chłonęła słowa i tę muzyczną frazę, podejmując z solistką (Irenką Wiśniewską) refren: „Nie ma, nie ma prawdziwej miłości bez rozstania”. Staszku, trudno na tym splachetku coś więcej... Świat tu po tej stronie, bez Ciebie? Smutniejszy, uboższy, mniej piękny.



Leszek Długosz

„Pieśń kochanków” Stanisław Baliński (1898–1984)

*I znów słyhać kochanków piosenkę
Ktoś w niej żegna się, bierze za rękę
Ktoś odchodzi na palcach, zawraca
Potem ma wrócić, nie wraca
Potem ma pisać, lecz zwleka
I ma czekać, lecz się nie doczeka
Wszystko razem oczadziało, śpiewem
Nie pamiętasz, już doprawdy nie wiesz
Tylko odgłos melodii dalekiej
Rozwianej na wieki.
Tylko szept co na palcach się skłania
I powtarza jak można najprościej
Nie ma, nie ma prawdziwej miłości
Bez rozstania
Ile trzeba wycierpieć i wyśnić
Żeby taką melodię wymyślić
Ile trzeba utracić, porzucić,
By po latach spokojnie ją nucić
I powtarzać w ciemności te słowa
Kiedy pierwsza się gwiazda odsłania
Nie ma, nie ma prawdziwej miłości
Bez rozstania*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Cuda na kiju

*Doprawdy dawno nie czułam się tak skolowana
po lekturze jednej strony gazety*

W „Rzeczpospolitej” z wtorku 17 października czytam komentarze ze strony drugiej.

AUTORYTET TATY

„PiS obudził olbrzymia” tytułuje swój tekst Michał Szuldrzyński. Lead: „Dlaczego frekwencja przebiła historyczny wynik z 1989 r., gdy Polacy poszli odrzucić komunizm?”. Redaktor jest przekonany, że obecne wybory są tej rangi, co historyczne wybory w 1989 r. Obalenie PiS niczym obalenie „komuny”! Ma o tym świadczyć ogromna frekwencja.

W 1989 r. głosowałam po raz pierwszy w życiu. Nie było internetu, smartfonów, takiej swobody ekspresji poglądów, tak historycznych emocji. Obraz komunistycznego reżimu, więźniów politycznych, wyrzucania z pracy, cenzury i całego mnóstwa innych prześladowań był świeży. Demokracja oznaczała przeciwieństwo tego wszystkiego. Autorytetem w sprawach polityki był dla mnie tata. To jego się radziłam, na kogo oddać głos.

Teraz zastanawia mnie, czym jeszcze poza „gniewem” kierowało się wielu Polaków w tych wyborach. Zwłaszcza ci młodzi, tzw. tubylcy cyfrowi, których naturalnym środowiskiem dorastania

i kształtowania postaw jest internetowa sieć. Gdy Szuldrzyński pisze, że fatalna frekwencja dotycząca referendum oznacza, że „wyborcy okazali się zaskakująco świadomi”, że był to „świadomy gest obywateli”, to zachodzę w głowę, jak można coś takiego napisać w dobie przemożnego wpływu mediów społecznościowych. Przecież redaktor doskonale wie, iż żyjemy w cyfrowym świecie algorytmów, które zmanipulują nie jedną głowę. Nigdy wcześniej techniki manipulacji nie były stosowane na tak masową skalę i zarazem tak profesjonalnie. Być może sam termin „świadomość społeczna” stracił już znaczenie. Ilu młodych skrzyknęło się dzięki mediom społecznościowym w ostatniej chwili, pod wpływem krótkotrwałego impulsu?

CUD NADCHODZI

Komentarz ekonomiczny to „dobra wiadomość dla gospodarki” Cezarego Szymanka. Mam kłopot z tym tekstem. Tak natężonych szoków w ekonomii (pandemia, wojna, kolejna wojna itd.) nie było od dawna, zamęt technologiczny pominę. Jednoznaczne prognozy gospodarcze to już przeszłość. Ale tu, w „Rzepie”, jest inaczej: inwestorzy „znów widzą Polskę w Unii Europejskiej”; złoty umacnia się „z powodu wizji przejęcia władzy przez demokratyczną opozycję”; tańsze paliwo „paradoksalnie” się utrzyma. Ale przede wszystkim „nowy rząd odblokuje fundusze unijne”, co „wpłynie na nasze portfele”. Cud gospodarczy nadchodzi! Przecież to w istocie komentarz polityczny, nie ekonomiczny.

Jest i komentarz prawny. Tekst Wojciecha Tumidałskiego pt. „Czy PKW jeszcze nas zaskoczy” z leadem: „Na-

uczyciel, chcąc zachęcić ucznia do większego wysiłku, pisze w dzienniczku: stać cię na więcej. To samo można napisać dziś Państwowej Komisji Wyborczej”. Aż boję się czytać dalej. Autor zarzuca Państwowej Komisji Wyborczej, że „nie była wystarczająco aktywna przed dniem głosowania, nie dostrzegła nierówności broni w kampanii wyborczej”, a teraz ważność wyborów oceni Sąd Najwyższy i PKW „dopiero przygotuje i zaprezentuje tam swoją ocenę prawidłowości procesu wyborczego. Czy teraz przejrzy na oczy?” Czyli co, że głosy oddane na PiS są nieważne?

INSYNUACJE NA KANWIE INSYNUACJI

Na koniec w rubryce „Advocatus diaboli” Jerzy Surdykowski pyta: „Dlaczego parę dni przed wyborami dwaj najważniejsi generałowie złożyli niespodziewaną dymisję?”, „a za nimi grupka niżej stojących, lecz też ważnych dowódców?”. Czyżby umknęła mi tak istotna informacja o innych dymisjach poza generalskimi? Przeszukuję internet, stopy gazet papierowych. Nic o „grupce” poza nawiązaniami do godnych platformy X (d. Twitter) insynuacji Donalda Tuska. Surdykowski jeszcze próbuje straszyć, że ten perfidny PiS mógłby wyprowadzić wojsko na ulicę, by zademonstrować siłę „w niewralgicznym momencie przejmowania władzy”, albo użyć wojska „w prowokacji granicznej umożliwiającej wprowadzenie stanu wyjątkowego”.

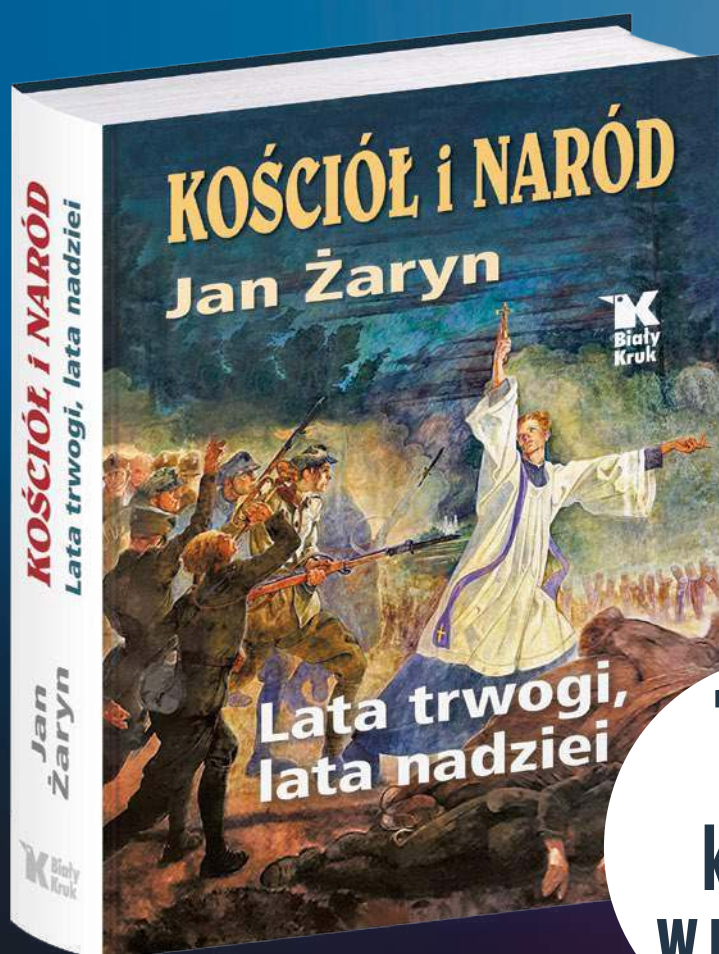
Doprawdy dawno nie czułam się tak skolowana po lekturze jednej strony gazety. A rano w tramwaju ktoś powiedział: „Panie, baby chłopów na barana noszą, to dopiero cuda na kiju”.

Katarzyna Zybortowicz

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**w SIECI
HISTORII**



Kościół i naród polski – to nierozłączne pojęcia. Prof. Jan Żaryn przywołuje kilkadziesiąt wydarzeń i ponad sto postaci wyznaczających katolicki szlak polskich dziejów aż po lata najnowsze.

Dramatyczne wydarzenia z historii Polski, szlachetne postawy patriotów, ale też podłość i zdrady m.in. czasów komunizmu.

568 STRON | TWARDA OPRAWA | ŚWIETNE ILUSTRACJE
| DLA WIELBICIELI HISTORII

150
książek
w prezencie

Książkę prof. Jana Żaryna „**Kościół i naród. Lata trwogi, lata nadziei**” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

MODA NA ZDRAPKI JEST ZAWSZE



Wygraj nawet
1 000 000 zł

